

# Berg Elizabeth

## Pozostań sobą

Myra Lipinsky, stara panna z wyboru, ma pięćdziesiąt lat i jest dosyć zadowolona ze swojego spokojnego życia. Po latach pracy na oddziale intensywnej opieki przenosi się do agencji zatrudniającej pielęgniarki środowiskowe. Doskwiera jej samotność. Gdy jej nowym pacjentem zostaje Chip Reardon, niegdyś kolega ze szkoły średniej, bożyszcze dziewcząt, w którym sama się podkochiwała, jej świat się zmienia. Chory na raka Chip zrezygnował z kuracji i wrócił do rodzinnego miasta, żeby spędzić tu resztę życia. Nieoczekiwanie Myra i Chip odnajdują się po latach.



## *Prolog*

Wtorek poprzedzający te zdarzenia był pięknym letnim dniem. Jadąc przez miasto do domu, zobaczyłam dwie dziewczynki trzymające się za ręce i próbujące przejść przez ulicę przy czerwonym świetle. Robiły krok i zatrzymywały się; znów ruszały i zatrzymywały się. Wreszcie samochody z westchnieniem stanęły; dziewczynki przebiegły na drugą stronę i zaczęły ze śmiechem się popychać, uszczęśliwione, że tak im się udało.

Potem zobaczyłam siedzącą na przystanku starszą kobietę, która z kocią precyzją lizła lody. Była ubrana w prostą żółtą sukienkę i białe ortopedyczne sandały. Obok, jakby dotrzymując jej towarzystwa, stała na ławce torebka. Kobieta założyła nogę na nogę i rytmicznie kołysała stopą. Zapatrzyła się przed siebie, zapewne pogrążona we wspomnieniach.

Minęłam małe dziecko, które stąpało delikatnie po kamiennym murku, trzymając się matczynej ręki. *Pas de deux* pełne gracji; struna połączonych rąk grała miłością i zadowoleniem. Dawała bolesną pewność.

Przejechałam obok dwóch jedenastoletków szalejących na rowerach, jak to zwykle robią chłopcy w tym wieku, sfrustrowani, że tyle ich jeszcze dzieli od prawdziwej męskości. Jaka słodka zawziętość w napiętych małych karkach. Mijali się, pokrzykując ostro, obrzucając się wyzwiskami, ale za każdym razem się oglądali, czy ten drugi aby na pewno zawrócił.

Dwie przecznice przed domem minęłam bibliotekę. Mogłam wejść do sali dla dzieci, usiąść na krześle i patrzeć, rozkoszując się każdym wilgotnym kosmykiem włosów, każdym dołeczkiem na łokciu, każdym pytaniem zadany ochryplym głosem, każdą parą oczu zwróconą na matkę lub ojca -z jakże bezbrzeżnym zaufaniem! Mogłam przyłożyć dłonie do śladów po dziecięcych rączkach na ścianach klatki dla chomika, spróbować zobaczyć to, co widziały dzieci, spojrzeć ich oczami. Mogłam przerzucić karty książki, którą jedno z dzieci zaczęło oglądać i odłożyć. Stare pytanie: Dlaczego ta nie została wybrana?

Tak, mogłabym zostać na czytanie na dobranoc, jak to nieraz robiłam, i przyglądać się dzieciom, gromadzącym się na dywanie z pachnącymi snem, wyściskanymi przytulankami. Mogłabym z przyjemnością obserwować ich niczym nieskrępowane zaangażowanie - patrzeć, jak wyciągają palec z buzi, klękają, żeby zobaczyć obrazek, bezwiednie opierają się na ramionach malców siedzących bliżej, żeby nie stracić równowagi.

Potem mogłabym pójść na górę do czytelnicy, ściągnąć z półki opasłe tomisko i wyszukać jakiś cudowny fakt, o którym do tej pory nie wiedziałam. Mogłabym znowu usiąść przy drewnianym stole, z torebką postawioną na krześle obok, i czekać na bezcielesny uścisk słów.

Nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy. Pojechałam do domu, ku swemu przeznaczeniu.

Znasz takie jak ja. To ja siedziałam na składanym krzeselku w holu z kasetką po cygarach na kolanach i sprzedawałam bilety na bal maturalny, a sama na niego nie poszłam - chociaż pod koniec lat sześćdziesiątych tylko frajerzy chodzili na bale maturalne. Aleja bym poszła. Poszłabym bardzo chętnie; ach, jaka byłabym szczęśliwa. Chciałam, żeby chropawy głos w słuchawce spytał: „Czy zechciałabyś...?”. Chciałam dotykać wiszących długimi rzędami jedwabnych i szyfonowych sukienek w pastelowych kolorach - przesuwając palcami po dekoltach w kształcie serca i szerokich wstążkach. Chciałam mieć ufarbowaną parę butów; uważałam za cud, że można to zrobić. Chciałam włożyć do lodówki bukiet przywiązywany do nadgarstka, zamknąć się w łazience i wziąć kąpiel w perfumowanej wodzie z lokówkami we włosach i tranzystorem na umywalce grającym na cały regulator *Sugar Pie, Honey Bunch*. Chciałam przeznaczyć całą godzinę na nałożenie wszystkich kosmetyków z mojego nowego zestawu Maybelline, znieść natrętne błyski flesza, gdy rodzice będą robili mi zdjęcia, balować całą noc, zjeść śniadanie poza domem i wrócić z zaczerwienionymi oczami, wtajemniczona.

Nikt mnie nie zaprosił. Ani razu nie zostałam zaproszona. Ani na bal maturalny, ani na zwykłą potańcówkę, ani do kina, ani na prywatkę, ani na zakupy z dziewczynami.

Nie mogę powiedzieć, że nikt ze mną nie rozmawiał. Mam

na myśli coś więcej niż „cześć!” rzucone w korytarzu, niż zaferowany gwar w sali jadalnej. Często ze mną rozmawiano. Te ładne dziewczyny dzwoniły do mnie. Dzwoniły i przez telefon rozmawiały o poważnych sprawach: o alkoholizmie rodziców. O ukrywanej skoliozie. O możliwej ciąży. Rozmawiały ze mną, ponieważ umiałam słuchać i udzielałam dobrych rad. Nie miałam dużego własnego doświadczenia, ale wiele rzeczy wiedziałam, bo czytałam i obserwowałam. Tyle ja miałam z tego. Dziewczyny rozmawiały ze mną - raz nawet zwierzył mi się chłopiec - ponieważ wiedziały, że ich nie zdradzę. One oczywiście ciągle mnie zdradzały. Ale nie ze złej woli. Pewnie o tym nie wiedziały. Nie zastanawiały się nad tym specjalnie.

Byłam tą, którą wszyscy lubili, Myrą Lipiński, „o tak, Myra, miła dziewczyna” - wszyscy mnie lubili, ale nikt nie chciał ze mną być. Niezgrabna. Skarpetki, ach te skarpetki -no cóż, rodzice mówiący z obcym akcentem. Pechowa twarz, za małe oczy, zbyt szerokie usta. Włosy mysiego koloru, za rzadkie i proste, przetłuszczone po pół dnia, żeby nie wiem co. Kiedy miałam pięć lat, ciocia z wujkiem przyszli raz z wizytą, siedzieli z moją matką przy kuchennym stole, rozmawiali cicho po polsku i posyłali mi uśmiechy. „Co oni mówią?” - spytałam matkę, podchodząc do niej, kładąc się na jej kolanach i nieśmiało uśmiechając do wujka i cioci. „Co oni o mnie mówią?” Moja matka w końcu przeszła na angielski i odpowiedziała: „Mówią, że jesteś podobna... do ojca. Ale teraz już nie będziemy mówić o tobie”. Nadal leżę na jej kolanach, wpatruję się w żółto-pomarańczowy wzór na fartuchu i powstrzymuję się od włożenia palca do buzi, aż mama zakłada nogę na nogę i mnie strąca.

Więc tak to było. Sprzedawałam bilety, dekorowałam salę gimnastyczną, pomagałam wygrywać mecze siatkówki, śpiewałam dobrym altem w chórze i pożyczalam notatki każdemu, kto o nie poprosił; a jeżeli ktoś chciał przepisywać ode mnie na teście, też pozwalałam. Nie zgorzkniałam. Nie wiem czemu. Może uważałam, że nie mam prawa.

Po ukończeniu szkoły zostałam tu, w Ashton, nie wypuszczając się dalej niż dwadzieścia dwie mile dzielące mnie od Boston College, gdzie po studiach uzyskałam dyplom z pielęgniarstwa. Poszłam do szkoły dla pielęgniarek, bo widziałam

w tym sposób na to, żeby ludzie mnie kochali. A także na to, żebym ja ich kochała. Tak dzieje się w chorobie. Smutne płyty pancerza rozchodzą się; wnika światło.

Na początku pracowałam na oddziale intensywnej terapii. Podobało mi się wyzwanie i prestiż pracy na najtrudniejszym odcinku. Jesz lunch w stołówce, ubrana w strój operacyjny, z nowoczesnym stetoskopem na szyi, przypiętym gdzieś hemostatem i przywiązanymi do niego krępulcami. Znasz na wrywki długą listę odczytów laboratoryjnych; potrafisz w razie potrzeby intubować pacjenta; umiesz ocenić szmery serca i stan płuc, pobrać krew i podłączyć kroplówkę lepiej od większości lekarzy. Widzisz biegnący raptem przez monitor zapis częstoskurczu komorowego i ratujesz pacjenta, a lekarza zawiadamiasz po fakcie, w wolnej chwili. Możesz podać wiele leków, o których pielęgniarki na innych oddziałach nie mogą decydować same. Możesz podejmować decyzję, kiedy przeprowadzić niektóre badania. Gdy dzwonisz do innego oddziału szpitala i mówisz: „Tu oddział intensywnej terapii”, słuchają cię bardzo uważnie. Masz pierwszeństwo. Jeśli mówisz „natychmiast”, twoje polecenie jest wykonywane natychmiast.

Jesz sobie na przykład lunch i nagle przez głośniki słychać przywołanie do pacjenta z zatrzymaną akcją serca. Zrywasz się i biegniesz na oddział. Prawdopodobnie będziesz potrzebna, niezależnie od tego, w której części szpitala doszło do zatrzymania. Inni ludzie w stołówce patrzą, jak zostawiasz na stole talerz zupy, i kiwają ci głową, kiedy przechodzisz. W armii pielęgniarek nosisz cztery gwiazdki.

Płaca jest całkiem dobra, zwłaszcza dla samotnej kobiety bez zobowiązań - bezdzietna jedynaczka, oboje rodzice już nie żyją. Kupiłam mały domek z dwiema sypialniami kilka przecznic od centrum. Kupiłam też porsche carrera 911. Jest czarny, wykończony w środku jasnobrązową skórą. Z niewiarygodnym systemem głośników. Chłopcy patrzą, gdy się przy nich zatrzymuję, potem odwracają wzrok. Za każdym razem wyprzedzam ich na starcie.

Problem z intensywną terapią polega na tym, że pacjenci zwykle nie mogą mówić. Są podłączeni do respiratorów. Albo nieprzytomni. Albo mają tak rozregulowaną chemię, że miesza im się w głowie. Albo pozostają dopóty, dopóki ich stan

się nie ustabilizuje, a potem są przenoszeni gdzie indziej i wjeżdża następny wrak. Tak nazywamy ciężkie przypadki: wrak. Znaczy to tyle co: teraz nie mogę się do ciebie zbliżyć, jesteś o krok od śmierci. A poza tym nie mam czasu.

Brak zatem okazji, żeby na tym oddziale usiąść przy łóżku i pogawędzić z pacjentem. Poznać go bliżej. Podziwiać zdjęcia dzieci, uczesać i ułożyć włosy, bez pośpiechu nakarmić. Niewielu z nich je. Rurki. Znam pielęgniarkę, która pracuje na oddziale intensywnej terapii właśnie dlatego, że pacjenci nie jedzą. „Nie po to chodziłam cztery lata do szkoły dla pielęgniarek, żeby zbierać widelcem tłuczone ziemniaki” - mówi. Ale ja lubię karmić ludzi. Wcale nie czuję się tym poniżona. Dla mnie to wielki przywilej.

Najlepiej wspominałam dzień, kiedy na oddziale mieliśmy pacjentkę na przechowaniu, ponieważ nie przyjęto jej na właściwy oddział z braku miejsc. Siedziała na krześle. Miała dobrą orientację w czasie, wiedziała, gdzie jest i kim jest. Po kąpieli sięgnęła do torebki po szminkę. Tego dnia była jedyną pacjentką na oddziale. Powiedziała, że podkochuje się w swoim lekarzu - nic dziwnego, wszystkie podkochiwałyśmy się w doktorze LaGuardia, śniadym, o urodzie Latynosa - więc zaproponowałam, że zakręcę jej włosy, żeby pięknie wyglądała, kiedy do niej przyjdzie. Z gazików cztery na cztery całe zrobiliśmy papiloty i naprawdę pięknie wyglądała, gdy się pojawił. Zatrzymałam go przed jej pokojem i poprosiłam, żeby zwrócił uwagę na jej fryzurę. Doktor LaGuardia jest dobrym człowiekiem. Wszedł do pokoju i stanął jak wryty, „(idzie odbywał się konkurs piękności?” - spytał z takim akcentem, że aż miękną kolana. „Gdzie trofeum?” Potem powiedział pacjentce, że może się już przenieść na swój oddział, bo zwolniło się łóżko; dwadzieścia minut później zajmowałam się pacjentem szarym na twarzy, z niewydolnością wielu organów.

Długo pracowałam na oddziale intensywnej terapii. Mieszałam leki, odliczałam krople, monitorowałam urządzenia, reanimowałam pacjentów z zatrzymaną akcją serca i po półgodzinie, gdy /nów im się zatrzymało, reanimowałam ich ponownie. Rzadko miałam czas, żeby porozmawiać ze zrozpaczoną rodziną. Musiałam odchodzić od smutnych grupiek zmartwionych ludzi; musiałam iść i wyciskać zawartość rurek

wychodzących z klatki piersiowej, podczas gdy członkowie rodziny płakali i rozmawiali przyciszonymi głosami.

Nieraz pracowałam we śnie. Słyszałam pikanie kroplówki, sygnalizujące zakończenie infuzji, rytmiczne westchnienia wentylatora, głuchy alarm monitora serca. Zmieniałam we śnie opatrunki, wylewałam do toalety urynę, żółć i wydzielinę z ran, odsyłałam do laboratorium patologii polipy, kamienie nerkowe i płyn mózgowo-rdzeniowy. Sprawdzałam, czy w kale nie ma krwi, czy w moczu nie ma krwi, czy w wymiocinach nie ma krwi, odnotowywałam każdą uncję przyjmowaną przez organizm pacjenta i każdą uncję przezeń wydalaną, monitorowałam poziom świadomości, wsłuchiwałam się w pracę płuc, serc i organów w czterech częściach brzucha. Po takich nocach budziłam się wyczerpana, jakbym po ośmiogodzinnym dyżurze w szpitalu przepracowała we śnie drugie osiem godzin. Albo szesnaście.

Teraz pracuję dla bostońskiej agencji o nazwie Protemp, jako pielęgniarka środowiskowa. Kiedy mnie zatrudniono, poprosiłam o łatwych pacjentów; miałam dość ciągłego wyęczenia wzroku, słuchu i intelektu. Po przepracowaniu dla agencji dziesięciu lat, wątpię, czy usłyszałabym szmer serca, nawet tak głośny jak pocieranie o siebie dwóch kawałków papieru ściernego. Ale jestem szczęśliwa. Teraz śnią mi się już tylko, jak dawniej, osnute mgiełką tajemnice.

Kilkoro pacjentów widuję codziennie. Rose Banovitz, która mieszka w zaniedbanej dzielnicy przy Commonwealth Avenue, codziennie rano potrzebuje dawki insuliny i często śpiewa dla mnie wysokim, drżącym głosem. Fitz Walters mieszka w Chinatown, trzeba zmierzyć mu ciśnienie i posłuchać nierównego bicia serca, żeby ustalić dawkę Nitropaste. Fitz chodzi co wieczór do klubu ze striptizem, chociaż jest niewidomy. Schwartzowie mieszkają w sercu Brookline i odwiedzam ich raz na tydzień, żeby skontrolować, czy biorą leki, a także powstrzymać od pozabijania się nawzajem. Jeszcze jedną pacjentkę, którą odwiedzam raz na tydzień, Murzynkę w Dorchester, słusznie noszącą imię Marvelous, czyli Cudowna, będę odwiedzała nawet wtedy, kiedy już przestaną mi płacić za pomaganie jej przy colostomii. Widuję także niejakiego DeWitta Washingtona, ponieważ nikt inny nie chce stawić czoła takiemu połączeniu osobowości i miejsca zamieszkania



w Roxbury. Muszę tam bywać każdego popołudnia i zmieniać opatrunek na ranie postrzałowej.

Codziennie podaję też krople do oczu bogatej mieszkance Back Bay, Ann Peters, sama bowiem nie potrafi tego zrobić, a rodzina nie śpieszy się z pomocą. Od zeszłego tygodnia jeżdżę do Allston, żeby pomóc piętnastoletniej Grace przy dziecku, które niedawno urodziła. Podałam jej swój numer telefonu i przynajmniej raz dziennie zostawia mi wiadomość na sekretarce. Na przykład: „Okay. Zrobił kupkę jak jajecznicą. Niemożliwe, żeby to było normalne. Ja wszystko pieprzę, a on nawet nie płacze. Możesz zadzwonić? Przepraszam, że klnę, błagam, zadzwoń!”.

Pamiętasz tego chłopca, który w liceum raz do mnie zadzwonił? To był Chip Reardon. Zadzwonił, bo wiedział, że rozmawiałam z jego dziewczyną, Diann Briedenbach. Nie układało im się. Chciał się mnie poradzić, chciał się czegoś ode mnie dowiedzieć. Czuł, że może mnie spytać bez skrępowania - chodziliśmy razem na wiele zajęć i wiedział, jaką jestem uważną obserwatorką. Zdarzyło się nawet, że po lekcji angielskiego, na której odczytałam na głos swój esej, zagadnął mnie i pogratulował wnikliwości. Przechowywałam troskliwie w pamięci to drobne zdarzenie, niosłam wspomnienie o nim ze szkoły do domu jak zapakowany prezent. Wmówiłam sobie nawet głupio, że gdyby nie zadzwonił dzwonek, nasza rozmowa mogłaby doprowadzić do czegoś więcej. Pamiętam, że weszłam do domu i przejrzałam się w dużym lustrze rodziców, zastanawiając się, czy wreszcie ubrałam się odpowiednio, włożyłam coś, co sprawiło, że taki chłopak mnie dostrzegł. Tydzień później ubrałam się dokładnie tak samo, miałam nawet tę samą opaskę na włosach, ale, oczywiście, nic się nie wydarzyło.

Tak czy owak tamtego wieczoru, gdy do mnie zadzwonił, powiedziałam tylko, żeby się nie martwił, że Diann go kocha, wiem to na pewno. Podziękował, choć nie usłyszałam w jego głosie wielkiej ulgi. Potem jednak uznałam, że to zmyśliłam, chcąc widzieć mniejsze niż w rzeczywistości zaangażowanie z jego strony. Po skończonej rozmowie przyłożyłam palce do miejsca, z którego dochodził jego głos.

Jedna taka jak ja znajdzie się w każdej szkole, jeden taki jak Chip Reardon też. Drugi biegun. Wymarzony chłopak każdej

dziewczyny. Przystojny sportowiec z sukcesami, a przy tym z głową na karku. I naprawdę miły. Wszystkie college'e chciały go mieć u siebie.

Chip pojechał na zachód. Tak powiedział, żeby nie przechwalać się, że idzie na Uniwersytet Stanforda - nikt z naszej szkoły, Ashton High, jeszcze się tam nie dostał. A teraz wrócił. Wiem, bo dostałam wiadomość od agencji z pytaniem, czy mogłabym zmieścić jeszcze jednego pacjenta. Chipa Reardona. Pięćdziesiąt jeden lat. Guz mózgu, wszystko wskazuje na stadium końcowe; niewiele do roboty. Prawdopodobnie wrócił do domu, żeby tu umrzeć - wymaga wyłącznie opieki paliatywnej.

Oddzwoniłam do agencji. Powiedziałam, że przyjmę jeszcze jednego pacjenta. Wyjaśnili, że z początku będą to wizyty codzienne, począwszy od jutra. Podali mi adres rodziców, u których miał zamieszkać - gdzieś w południowej części miasta, na nowym, bogatym osiedlu, wyróżniającym się w robotniczej dzielnicy. Za daleko, żeby dojść stamtąd do sklepu z artykułami przemysłowymi, do biblioteki, do piekarni czy na błonia, za to blisko do otwartej przestrzeni pól i łąk, poprzedzielanych uroczymi kamiennymi murkami, do łagodnych wzgórz zamieszkałych przez spokojne stada owiec i krów. Zapisałam sobie miły adres i straszliwą diagnozę w rubryczce obok godziny drugiej po południu we środę. Chcesz dowiedzieć się czegoś złego? Chcesz dowiedzieć się czegoś złego o mnie? Kiedy robiłam tę notatkę, czułam się szczęśliwa. Myślałam tylko o jednym. Myślałam: dobrze. Teraz jest mój.

Nie myśl, że nie przeżyłam wyjątkowych chwil. Przeżyłam. Kilka. Chwil. Na przykład na randce w ciemno z chłopakiem, który wykrzywia się, widząc, co mu się trafiło. Ale - szczególnie kiedy się skończy czterdzieści pięć lat - można się jakoś urządzać. Dorosła kobieta potrafi dać trochę przyjemności dorosłemu mężczyźnie. Chociaż zwykle nie zostawali na noc -tylko dwóch zostało - byłam z tego zadowolona. Po jednej z rzadkich przygód wolę sama zjeść kanapkę przy własnym kuchennym stole. Wiem, że jest mi znacznie lepiej siedzieć samej w szlafroku, pod fluorescencyjną lampą, przegryzać piklami kanapkę z szynką i serem, przeglądać katalog Chambersa i wybrać jedną rzecz, na jaką sobie pozwolę - to jest o wiele lepsze

niż wymuszone uśmiechy i rozmowa, którą muszę znieść, gdy mężczyzna zostaje. Niezręczne pożegnanie z rana, upokarzające wyjmowanie męskiego włosa z umywalki, kiedy wiem, że już się nigdy nie zobaczymy. Lepiej zjeść kanapkę, a potem sprawdzić, czy nadają jakiś odcinek *Mary Tyler Moore*, w którym Mary mieszka nadal w starym mieszkaniu. Jedyne, co mi się w tym serialu nie podoba, to to, że wszyscy traktują Rhodeę jako mało atrakcyjną.

Ludzie uważają, że kobiety takie jak ja powinny założyć rodzinę. Że nie powinnyśmy mierzyć zbyt wysoko. No cóż, ja też podkochiwałam się w Chipie Reardonie, tak jak wszystkie inne dziewczęta. Tęskniłam całym sercem i było to coś więcej niż krótkotrwała fantazja, jaką snułam po tamtej pamiętnej lekcji angielskiego. Wyobrażałam sobie, że mnie całuje. Nie byłam kimś innym, kiedy to sobie wyobrażałam. Widziałam, jak on całuje właśnie mnie. Zdawałam sobie sprawę, że gdyby moje koleżanki i koledzy wiedzieli o tym, prychnęłyby z niechęcią i pogardą. Chcieli, żebym zakochała się w chłopaku podobnym do mnie. Ale ja tego nie zrobiłam. Nikt tak nie robi. Nie chciałam Thomasa Osterhouta, tego niezgrabiasza z wystającą grdyką i łupieżem sypiącym się na ramiona czarnego wdzianka wepchniętego w spodnie przewiązane wysoko w pasie - nie chciałam go, tak jak on nie chciał mnie. Zapewne Thomas marzył o tym, że całuje Diann, że obwozi ją małym zdezelowanym gremlinem, a wszyscy supermani gapią się z rękami głęboko w kieszeniach.

Przede wszystkim to ja mam psa. Nie śmieć się. Przyjrzyj się małżeństwom, które przetrwały, i przekonaj się, czy pies, czy współmałżonek daje więcej radości. Pies nie może wezwać lekarza; nie może iść z tobą na prośzoną kolację ani do teatru. Ale będzie leżał przy tobie cały czas, gdy będziesz chora, będzie wsłuchiwał się w każde twoje słowo i aprobował je bez zastrzeżeń. Mój pies wabi się Frank, waży osiemdziesiąt pięć funtów, jest mieszańcem przypominającym goldena, wybranym spośród nieszczęsnej gromadki w schronisku. Siedział spokojnie w kącie betonowego boksu, o nic nie prosząc. Kiedy zatrzymałam się przed jego cuchnącą celą, podszedł do mnie i usiadł. Podniósł łob. Popatrzył mi w oczy i czekał. „Ten” - powiedziałam przepracowanemu opiekunowi.

Frank wszedł do biura na smyczy, którą ze sobą przynios-

łam, i uniósł trwożnie łapę przy biurku, na którym wypełniałam niezbędne formularze. Nigdy potem nie załatwił się w nieodpowiednim miejscu.

Frank zwykle śpi tuż przy moim łóżku, cichy jak cień, o ile coś mu się nie śni - wtedy skomli przez nos, jakby opowiadał jakąś historię. Zdarza się, że odczuwa potrzebę, żeby wskoczyć i wyciągnąć się koło mnie na łóżku. Kładzie się na boku, odwrócony do mnie grzbietem. Obejmuję go, przytulam się, wdycham z przyjemnością przyniesiony na łapach, słonawy zapach ziemi.

To mi wystarcza, praca i Frank. A przynajmniej wystarczało do tej pory.

We środę budzę się i zadaję sobie pytanie: Co teraz? I wtedy sobie przypominam. Idę do łazienki. Patrę w lustro. No cóż, czysta skóra, to mam, zawsze miałam. Proste zęby. Przyglądam się jeszcze chwilę, a potem staję na wadze. Powinam trochę schudnąć; zawsze łatwo mi to przychodziło. Pięć funtów, nie ma problemu, zrzucę je w tydzień. Starannie szminkuję usta. Mogłabym kupić dobry tusz do rzęs.

W drodze do Rose zatrzymuję się na kawę. Mam niedaleko ulubiony bar Dunkin' Donuts. Jest zawsze otwarty, a prowadzi go trzypokoleniowa rodzina Rosjan. Bardzo słabo mówią po angielsku, ale są niezmiernie mili i uprzejmi. Kiedyś, gdy nie mogłam zasnąć, poszłam tam w środku nocy w piżamie (spodnie od dresu i podkoszulek, kto się pozna?) i zamieniłam parę słów z matką, Katriną, która pracuje w nocy razem z mężem - babka pracuje rano, a córka wieczorem. Mąż przygotowywał na zapleczu lukrowane pączki, a żona usiadła ze mną i piła kakao. Nie rozmawiałyśmy wiele, ale bardzo mi pomagało, że patrzyłyśmy sobie w oczy. Katrina spytała, gdzie pies, a ja odpowiedziałam, że śpi. I tak było. Nie chciał wstać.

Dziś rano barek jest zatłoczony, ale babci pomagają dwie dziewczyny. Otwieram drzwi samochodu, mówię: „zostań, Frank”, i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że go nie ma. Nie biorę go ze sobą, kiedy mam przyjąć nowego pacjenta -wypełnianie formularzy trwa co najmniej godzinę. No i oczy-

wiecie nie chcę przyprowadzać psa, zanim nie spytam pacjenta, czy mu to nie przeszkadza. Rose Banovitz boi się psów, ale wszyscy pozostali pacjenci naprawdę go lubią. Powiedziałam w agencji, że powinni wciągnąć Franka na listę płac. Raz to zrobili: na święta Bożego Narodzenia wystawili czek - „wyplacić na zlecenie Franka Psa” - opiewający na pięć milionów dolarów. Mam go w psim albumie.

Przyjechawszy do Rose spostrzegam, że w korytarzu przepaliło się kilka żarówek; ledwie co widzę, idąc do jej mieszkania. W półmroku woń gotowanej kapusty wydaje się jeszcze silniejsza. Zastanawiam się, ile potrwa, zanim ktoś wymieni żarówki. Ostatnim razem pięć miesięcy. Kiedy wreszcie zapłonęły wszystkie światła, poczułam się jak w Las Vegas, idąc tym korytarzem. Jestem pewna, że karaluchom to się nie podobało.

Nie zawsze dzieje się tak, dlatego że właściciel nie reaguje na prośby lokatorów; czasami lokatorzy nie wiedzą, do kogo się zwrócić. Albo nie wiedzą, jak to zrobić. Albo uważają, że nie jest wcale tak źle, że w korytarzu nie ma światła. Przynajmniej mają elektryczność w mieszkaniach. Ogrzewanie. Zamek w drzwiach. Własną toaletę. I nie można wszystkiego brać na siebie, chociaż na początku próbowałam. Kończy się tym, że człowiek wisi cały dzień na telefonie. Nie nadąża z własną pracą. W którymś momencie trzeba podjąć decyzję: czy chcę startować w wyborach na radnego, czy chcę opiekować się pacjentami.

Rose otwiera drzwi w koszuli, pończochy zwinęły się jej do kolan, ma tylko jeden plastikowy kapeć na nodze.

- Och! - mówi i zaczyna wymachiwać rękami. - Moja pielęgniarka!
- Dzień dobry! - Wchodzę, zamykam drzwi. Popłakuje.
- Co słyhać, Rose? - Głaszczę ją po ramieniu.
- Nie mam mleka - żali się.

Siadam przy końcu żelaznego łóżka: starannie zasłane, przykryte kapą z niegdyś białej sznelki, bez połowy frędzli.

- Nie masz mleka, tak? - Szukam w torbie jej karty.
- Nie. Ani soku pomarańczowego! - Siada koło mnie. Cienkie włosy ma upięte w kok za pomocą trzech tysięcy spinek, a wszystko okrywa czarna siatka do włosów. Mimo to

siwe kosmyki wymykają się spod kontroli, więc zakłada je za uszy.

- Czy była wczoraj twoja pomoc domowa? Czy była tu Tiffany?

- Nie. Nie przyszła.

- Och, Rose. Powinnaś zadzwonić do agencji, kiedy nie przyjdzie, wtedy przyślą kogoś innego. Pamiętasz? Numer masz zapisany na lodówce.

- Tak. Zapomniałam. Zapomniałam!

- Dobrze, nie szkodzi. - Patrzę na zegarek. Mogę zadzwonić do pomocy domowej i posłuchać głupot, mogę zadzwonić do agencji i też posłuchać głupot, ale mogę też sama rozwiązać problem i zaoszczędzić dużo czasu.

Stawiam torbę na podłodze, zaciągam suwak.

- Zrobimy tak, Rose. Musimy zrobić to razem, dobrze? Pobiegnę do sklepiku na rogu. Kupię mleko i sok pomarańczowy. Czy masz chleb?

- Mhm. Mam chleb. Chcesz trochę?

- Nie, dziękuję. Sprawdzam, czego potrzeba tobie. A może owoców? Masz owoce?

Patrzy tęsknie na moją twarz i zaczyna śpiewać *Kiedy irlandzkie oczy się śmieją*.

- Dobrze, Rose, pójdę teraz do sklepu. Zaraz wrócę. Przyniosę ci coś do jedzenia, a potem podam insulinę. Tymczasem ty się ubierzesz. Możesz to zrobić?

- Ubiorę się. Wiem, autobus do dziennej opieki. Będę gotowa.

Sprawdzam godzinę, idę szybko korytarzem i myślę, że spóźnię się do DeWitta - przedtem muszę odwiedzić Ann Peters i Fitzę Waltersa. Zadzwoniłabym do DeWitta - to jedyny pacjent, który wścieka się, jeżeli nie przyjdę punktualnie - ale gdy ostatnim razem chciałam go zawiadomić, że spóźnię się kwadrans, spóźniłam się w końcu pół godziny, bo tak długo stałam przy telefonie i wysłuchiwałam jego narzekań na moją niekompetencję. „Jesteś zwolniona!” - rzekł wreszcie. Wielki finał. A ja na to: „Nie, DeWitt, nie jestem zwolniona, jestem tylko spóźniona”. „To to samo!” - wrzasnął i rozłączył się. I tak poszłam do niego i zmieniłam mu opatrunek, a za karę nie odzywał się do mnie.

Kiedy przynoszę zakupy, Rose siedzi przy metalowym stoliku w kuchni ubrana w ulubioną czarną suknię. Wizytowa suknia z krepy ma dobre czterdzieści lat i śmiały dekolt, który stał się skromny dzięki włożonemu pod spód podkoszulkowi. Na ramieniu przypięła bukiet z kryształu górskiego, zmatowiały ze starości. Wyśłużone stare pantofle są zawiązane podwójnie, włożyła do nich białe skarpetki jak dziewczynka. Narysowała sobie ołówkiem długie czarne kreski brwi, a dolną wargę przeciągnęła starą koralową szminką. Na kolanach trzyma otwartą torebkę: dostrzegam zmiętą chusteczkę, czerwoną plastikową portmonetkę i klucze na sznurku do mieszkania. Dawniej było tam także oprawione w ramkę zdjęcie matki, ale zarysowało się szkło, dlatego teraz zostawia je na komódce. Wzięłam raz do ręki to zdjęcie i popatrzyłam w czyste oczy od dawna nieżyjącej matki Rose, zastanawiając się, czy kiedykolwiek wyobrażała sobie, że jej córeczka tak skończy.

Wykładam zakupy na stół, składam papierową torbę, a potem wsuwam ją z boku przy lodówce, bo takie Rose ma życzenie. Zapas toreb - plastikowych i papierowych, dużych i małych - rozrósł się do przytłaczających rozmiarów.

- Część tych toreb mogłabyś chyba wyrzucić - podsuwam.
- O nie - protestuje. - Są mi potrzebne.
- Ale może nie aż tyle.
- Są mi potrzebne.

Ma też zbiór gumek recepturek, trzyma je w szufladzie. I to wszystko, co jest w tej szufladzie - gigantyczny kłęb gumek. Zatrzymuję się czasem przed domem, w którym mieszka Rose, patrzę na wszystkie okna i myślę: Czyje mieszkanie jest najbardziej zwariowane? Kiedy zadzwonię wieczorem do Tiffany, żeby ją skrzyknąć za to, że nie przyszła, powiem jej, by dyskretnie pozbyła się jednej trzeciej toreb. Po pewnym czasie człowiek zaczyna myśleć o niebezpieczeństwie pożaru.

- Wszystko gotowe, Rose - mówię. - A teraz zrobię ci zastrzyk. Potem chwilą odczekasz i będziesz mogła zjeść śniadanie.

Wstaje, przeciąga się i, szurając kapciami, podchodzi do łóżka. Zawsze zachowuje się w taki sam sposób: siada i zaciska oczy, trzymając się rękami za kolana. Wstrzymuje oddech, jakby miała dostać końską dawkę penicyliny, a nie odrobinę



insuliny, którą odczuje jak ukłucie komara. Szybko robię jej zastrzyk w lewe udo, a potem mówię: „Już po wszystkim”.

- Tym razem nic nie poczułam! - stwierdza, tak jak za każdym razem

- Dobrze - mówię. I dorzucam: - Zgadnij, co przyniosłam.

- Widziałam. Mleko i sok pomarańczowy. I banany.

- Nie, nie chodzi o zakupy. Coś innego.

- Co? - Nie może się zdecydować, czy zachować podejrzliwość, czy okazać radosne podniecenie - zbyt wiele razy składano jej złą propozycję tak, jakby to był dar.

- Powiedziałaś o sobie, że jesteś hazardzistką, Rose? Uśmiecha się, spuszcza oczy.

- Nie wiem.

Wyciągam z kieszeni dzinsów dwie karty-zdrapki z zakładami.

- Wiesz, co to jest?

- Kupony!

- Nie. Karty z zakładami. Zdrapuje się wierzch, żeby zobaczyć, jakie dostało się numery. Można wygrać pieniądze.

- Za taką kartę można dostać pieniądze?

- Tak. Twoje numery muszą pobić numery rozdającego.

- Wybieram milion.

- Nie, Rose, ty już masz numery. Dostałaś je na karcie. Musimy tylko zobaczyć, jakie to numery.

Podaję jej kartę, którą ogląda z bliska.

- Nie widzę tu żadnych numerów.

- Trzeba z nich zdrapać to, co jest na wierzchu. Mówiłam ci, pamiętasz? - Drapię swoją kartkę. - Popatrz. W tym zakładzie ja mam siedem, a rozdający dziewięć. Więc przegrywam.

Patrzy na mnie przestraszona.

W porządku. Mam jeszcze trzy szanse. Ale zobaczymy, co ty masz.

Razem drapiemy kartę Rose. W dolnym rzędzie numerów pokazuje się czwórka dla rozdającego i piątka dla Rose.

Wygrałaś! - mówię. - Widzisz? Wygrałaś pięć dolarów! Śmieje się, klaszcze. Odkrywam resztę swoich numerów.

- Och. Przegrałam. Ale ty, Rose, wygrałaś! Widzisz, jakie masz szczęście?

Kiwa głową uszczęśliwiona.

- Co mogę kupić?

Rozglądam się po zrujnowanym mieszkaniu i uchodzi ze mnie entuzjazm jak powietrze z balonu.

- Bo ja wiem...

- Nową ścierkę? - pyta.

- Tak! Możesz kupić nową ścierkę.

- Wyhaftuję ją. - Otwiera dolną szufladę komódki i wyjmuję dużą puszkę w kwiaty. Unosi pokrywkę, pokazuje mi motki kolorowych nici, ułożone ciasno jeden przy drugim. - To należało do mojej matki. - Bierze kilka motków, zamyka oczy i przykłada je do policzka.

- Och, to będzie piękne, Rose. Cudownie, że to zrobisz.

- Cudownie, że to zrobię.

- Ale teraz musisz zjeść śniadanie. Zaraz przyjedzie twój kierowca.

Kiwa głową, naciąga szeroki rękaw podkoszulka i wyciera nos.

- Czy możesz zrobić sobie grzanekę z masłem orzechowym i zjeść banana? I wypić trochę mleka i soku pomarańczowego?

- Tak.

Zostawiam ją przy tosterze. Zagląda do środka, bo musi się upewnić, czy karaluchy wyszły, zanim włoży tam chleb.

W samochodzie sprawdzam godzinę. Czterdzieści minut spóźnienia. Potem przypominam sobie, dokąd idę o drugiej.

Patrzę we wsteczne lusterko, przyglądam kosmyk na skroni. Próbuję przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz widziałam Chipa Reardona.

Nie na uroczystym rozdaniu matur - dzień wcześniej, bo grając w towarzyskim meczu futbolowym, złamał w trzech miejscach nogę w kostce i nie mógł przyjść. Pamiętam, że i tak dostał owację na stojąco, gdy wywołano jego nazwisko.

Musiałam go zatem widzieć ostatni raz ostatniego dnia nauki w szkole. Ósmego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Chip i ja chodziliśmy razem na angielski w szóstej klasie. Diann też była w tej klasie. Siedzieliśmy z tyłu - Diann przed Chipem, ja na skos od niego. Tamtego dnia, pod koniec ostatniej lekcji, nauczyciel czytał nam monotonię T.S. Eliota, wypełniając czas do dzwonka.

Chip zdjął z krzesła torebkę Diann. Była to duża czarna skórzana torba pełna intrygujących małych woreczków. Chip zaczął wszystko oglądać. Pomyślałam wtedy, jakie Diann ma szczęście, że on tak się nią interesuje. Pamiętam też swoje zdziwienie, że Diann nie chce przed nim niczego ukryć - wiedziała, że zabrał jej torebkę; ledwie zerknęła przez ramię. Chip obejrzał wszystkie zdjęcia w portfelu, zaczął rozkładać list od przyjaciółki, ale potem się powstrzymał. Zrobiło na mnie wrażenie, że uszanował w ten sposób jej prywatność, choć tak śmiało przeglądał wszystko inne. I nie powstrzymała go moja obecność - jak zwykle nie zorientował się, że go obserwuję. Zdjął skuwki z dwóch piór, które znalazł, zapisał nimi kilka linijek. Z kolei wyjął tampon Tampax, wyluskał go z plastikowego uchwytu, schował z powrotem. Poglaskał zajęczą łapkę przy kluczach, poskakał nią po ławce. Potem wypróbował jedną ze szminek - mocno różową, niemal w kolorze fuksji - i postukał Diann w ramię, żeby jej pokazać. Zmarszczyła brwi, przewróciła oczami i odwróciła się. „Myra!” - szepnął. Kiedy się obejrzałam, ściągnął wargi i zacmokał. Spuściłam wzrok na ławkę, uśmiechając się. „Chcesz?” - szepnął, podsuwając mi szminekę. Potrząsnęłam głową. „Spróbuj” - zachęcił, przechylając głowę i sunąc spojrzeniem po mojej twarzy. „Dobrze by ci w niej było”. Jasne włosy opadały mu na ciemnoniebieskie oczy; długie nogi w spodniach khaki wyciągnął w przejściu między ławkami. Mokasyny włożył na bose stopy, bez skarpetek, rękawy kraciastej koszuli podwinął do łokci. Zwał mnie z nóg.

W tym momencie Diann odwróciła się i wyrwała mu torebkę. Ale on zachował szminekę i podsunął ją mnie. Znowu potrząsnęłam głową. Wiedziałam, że żartuje.

Zechce nas pan wtajemniczyć w swój żart, panie Reardon? - spytał nagle głośno nauczyciel, ale zadzwonił dzwonek i wszyscy, wesoło pokrzykując, rzucili się do drzwi.

Upłynęło sporo czasu od tamtej pory, teraz mam pięćdziesiąt jeden lat i jestem pielęgniarką, a Chip ma pięćdziesiąt jeden lat i guz. mózgu. Za kilka godzin znów go zobaczę. Będzie miał takie same oczy. Ale będzie bez włosów.

DeWitt siedzi na leżaku, na szarym, zapadającym się, drewnianym ganku. Założył ręce, zmrużył oczy, nerwowo postukuje nogą. Robi mi

wyrzuty przez całą drogę do mieszkania. Idziemy korytarzem i wchodzimy do sypialni, gdzie zazwyczaj zmieniałam mu opatrunek.

- Co z tobą, powiesz mi czy nie? - mówi. - Nie musisz być Normanem Einsteinem, żeby obliczyć, jak dojechać tu na czas. Byłaś tu z piętnaście tysięcy razy. Trzydzieści tysięcy razy! Powinnaś do tej pory się nauczyć. Mówisz, że będziesz o dwunastej, to bądź o dwunastej. Może miałaś na myśli dwunastą w nocy, chcesz tu przyjechać o dwunastej w nocy?

- Normanem Einsteinem? - mówię, stawiając torbę na podłodze i grzebiąc w środku, żeby wyjąć potrzebne rzeczy. Przykrywam strzykawkę rękawem ciśnieniomierza; ciągle zapominam, że nie powinnam przynosić strzykawek do mieszkania DeWitta.

- Chciałem powiedzieć Allena.

- Co?

- Allena Einsteina. - Wchodzi na łóżko, poprawia poduszki, ssie górną wargę.

- Alberta - poprawiam go. - On się nazywał Albert Einstein.

- Nieważne. Teraz się popisujesz.

- Położysz się na płask, żebym mogła zmienić ci opatrunek?

- Tak. Ale przedtem ty poczekaś na mnie. Ja też mam swoje życie. Jestem człowiekiem interesu, pracuję dwadzieścia cztery godziny na dobę.

To akurat jest prawdą - DeWitt handluje narkotykami na dość dużą skalę.

- Mam ważny telefon - mówi. - I muszę zadzwonić teraz, to zajmie jedną minutę. Potem możesz mi zmienić opatrunek. - Patrzy na mnie wyzywająco.

Wzdycham, odpowiadam hardym spojrzeniem. Nic nie pomoże tłumaczenie DeWittowi, że wcześniej przy trojgu pacjentach zeszło mi dłużej niż zwykle. Dla DeWitta inni pacjenci nie istnieją. Nic nie pomoże, jeżeli powiem, że tracę przez niego czas, bo robi mi na złość. O to mu przecież chodzi.

- No? - mówi wreszcie.

- Co, DeWitt.

- Chciałbym rozmawiać na osobności.

Bierze do ręki błyszczącą ulotkę, którą w zeszłym tygodniu dał mu dealer mercedesów. Dostanie znaczną sumę pieniędzy po ugodzie zawartej w sądzie w związku z raną postrzałową. Odwraca się ostentacyjnie ode mnie, zaczyna wciskać numery.

Wchodzę do salonu, siadam na dużym, czarnym skórzanym fotelu. Czuję aromat cytrusowej wody kolońskiej. W pokoju jest fotel, sofa, lampa i telewizor. Nie ma dywanu, obrazów na ścianach, zasłon. Nie ma nic do czytania. Okropna poczekalnia.

- Tak, tu Washington - słyszę głos DeWitta. - Bob? Bob, mój człowiek! Dzwonię, żeby powiedzieć, że już-już prawie podjąłem decyzję. Chciałbym jeszcze raz usłyszeć, ile zajmie sprowadzenie tego srebrnego. Z czarnym wnętrzem. - Cisza. A potem: - No tak, tego właśnie chciałem. Myślałem, że to jest wliczone w cenę. - Trzaskają drzwi sypialni, pewnie dlatego, żebym nic nie słyszała. Ale nadal słyszę. - Powiedzmy, że chcę dodać zamiast tego ten drugi odtwarzacz CD - mówi DeWitt. - Ile to by kosztowało? - Parska śmiechem. - Ja pierniczą! No to co jeszcze jest w tym aucie?

Patrzę na zegarek. Wstaję i pukam do drzwi sypialni.

- Chwileczkę - słyszę. A potem przeciągłe: - Taaak?

- DeWitt.

- Co!

Otwieram drzwi.

- Przestań robić sobie ze mnie jaja. Jeżeli chcesz, żebym zmieniła ci opatrunek, muszę to zrobić teraz. Czeka na mnie inny pacjent. Możesz rozmawiać przez telefon, kiedy będę się tobą zajmowała.

- Oho, słyszałeś, Bob? Pielęgniarka ostra jak pilnik. No, wściekła jak pies. Złapię cię później, muszę roztoczyć męskie wdzięki i posłać ją dalej w kurs.

Odkłada słuchawkę, uśmiecha się do mnie. Ma piękny uśmiech, to mu przyznam. Dwa dołeczki. Rozpina koszulę, odsłaniając opatrunek. Zakładam rękawiczki i zaczynam delikatnie ciągnąć taśmę.

- Hej, cukiereczku? - zagaduje. Milczę.

- Auuuuuu. Kapustko?

Opatrunek z jednej strony oderwany. Zabieram się za drugą stronę.

- Powiedz, Myra, czyja naprawdę zrobiłem z ciebie jaja? Tę drugą stronę trudniej oderwać. Ciągnę mocniej.

- Auć! Jezu!

Robię krok w tył, unosząc wysoko ręce.

- Żartowałem - mówi i chichocze. - Cholera! Jesteś jak królik, dziewczyno. Skaczesz jak mały biały królik.

Wracam do pracy.

- Jesteś białym królikiem? pyta.

Oglądam ranę. Bez zaczerwienienia, bez opuchlizny, bez zapachu, bez nadmiernego wysięku. Ładna ziarnina.

- Zrobimy tak, żeby było ci łatwiej - mówi DeWitt. - Stopniowo, krok po kroku. Czy jesteś biała?

- DeWitt? Przestań.

- O, nie można dziś z tobą żartować. Jesteś zdenerwowana. Dlaczego?

Nie odpowiadam.

- Gdzie twój pies? Gdzie stary Frank? On zawsze jest skory do zabawy.

- Umówił się na zabawową randkę.

To prawda. Theresa, mieszkająca po drugiej stronie ulicy, ma suczkę collie, Ginger, która przepada za Frankiem. Często się razem bawią.

- Zabawową randkę?

Ma o czym mówić przez dłuższy czas, a ja mogę skończyć zmianę opatrunku. Na szczęście nie powiedziałam, że Frank będzie szalał w baseniku Ginger, dostanie „Ośnieżone Łapki” podczas oglądania programu dla psów „Airbud” i wróci do domu z torebką pełną smakowitych skórek. Ilekroć wydaje mi się, że jestem najbardziej samotną osobą na świecie, myślę o Theresie. Ale ona ma szczęście. Jest wdową.

Kiedy dzieli mnie od domu Chipa zaledwie kilka minut jazdy, zatrzymuję się na parkingu przed White Hen. Głodna. No tak, zdenerwowana.

Kupuję paczkę ciasteczek ryżowych i wracam do samochodu, żeby je zjeść, ale w końcu nie jem. Przeglądam się w lusterku, odświeżam szminkę, myślę, jakie pytania powinnam zadać Chipowi. Czy miewa bóle głowy? Czy... zauważył zmiany w stanie umysłu? Czy po chemoterapii ma owrzodzenia w ustach? Biegunkę? „Codziennie po szkole kładłam się na łóżku i wyobrażałam sobie, że mnie całujesz; czy masz luźne stolce?”

Wyjmuję ze schowka buteleczkę z płynem do płukania ust, płuczę usta i pluję dyskretnie na parking. „Jak sobie radzisz z bólem, Chip, jak go kontrolujesz? Chcesz, żebym cię nazywała Głową na Suwak, jak innego mojego pacjenta, który miał operację mózgu? Żył sześć miesięcy, Chip. Myślisz, że tobie uda się tak długo przeżyć? Zrobić ci kolację? Możesz przyjść do mnie do domu, zrobię ci, co tylko zechcesz - jeżeli taka potrawa jest na świecie, stanę na głowie, żebyś ją dostał. Potem mógłbyś wziąć kąpiel, mam małe jacuzzi. Mogę ci zrobić masaż; nawet powinnam”.

Wyobrażam sobie, jak się przedstawiam jego rodzicom. Już mi ich żal. Zawsze najbardziej żal mi rodziców, którym umierają dzieci. To nic jest naturalne. Rodzice zwykle biorą mnie

na bok i mówią, że to oni powinni odejść pierwsi. Tak jakbym mogła cokolwiek na to poradzić. Jakbym mogła powiedzieć: „No, dobrze! Niech wam będzie... no to które z was przejmie na siebie chorobę?”

Nieraz rodzicom trudno pogodzić się z porą roku. „Nie powinien umierać na wiosnę, tak kocha wiosnę”. „Nie powinna umierać przed Bożym Narodzeniem, żebyśmy chociaż spędzili razem jeszcze te jedne święta”. I znów to samo - jakby można było dopasować termin. Mają złamane serca i próbują znaleźć coś, co dałoby się naprawić. A można tylko omówić z nimi program pielęgnacji, zaznajomić z technikami: „Zachęcać pacjenta, żeby dzielił się myślami i uczuciami”. „Zachęcać do wykorzystania sposobów panowania nad stresem: technik relaksacyjnych, wizualizacji, sterowanych wyobrażeń, bio-feedbacku, śmiechu, muzyki, dotyku terapeutycznego”. To oczywiście dobra rada. Właściwa i na miejscu. Tyle można zrobić. Mówisz rodzicom o tych technikach i wyobrażasz sobie, że kiedy tak kiwają głowami i myślą, jak spełnić oczekiwania, ich piersi rozsadza ryk. Nic więcej - tylko ten ryk. A w twojej piersi? Ciężar. Pragnienie, żebyś choć ten jeden raz miała czarodziejską różdżkę.

Zastanawiam się, czy powiedzieć rodzicom Chipa, że chodziłam z nim razem do szkoły. A jeśli poczują się przez to gorzej? Wskazywanie na łączące nas podobieństwa tylko podkreśliłoby straszliwe różnice.

Dom jest duży, w stylu kolonialnym, biały z czarnymi okiennicami. Trawnik dobrze utrzymany; z boku domu rozpościera się ogród pełen kwitnących na niebiesko, różowo i żółto kwiatów. Przepych lata.

Niemal w tej samej chwili, gdy dzwonię do drzwi, otwiera je starsza kobieta jakby wyjęta z reklam zamieszczanych w magazynach i głoszących, że „masz tylko tyle lat, na ile się czujesz”. Ma rysy klasycznej piękności; długie siwe włosy upięte z tyłu i z boku grzebieniami. Jest w czarnych płóciennych spodniach, białej jedwabnej bluzce, nosi klipsy z pereł. Zmartwienie na twarzy maluje się tak, jak przewidywałam -zaczątek uśmiechu zgaszony przez smutek.

Wyciągam rękę.

- Dzień dobry. Myra Lipiński.



- Pielęgniarka?

- Tak.

- Proszę wejść.

Odsuwa się na bok, słyszę ciche westchnienie żalu i ulgi. Wchodzę do holu, ciemnego, chłodnego, pachnącego różami. Spostrzegam źródło zapachu - na stoliku stoi szklany wazon pełen ciętych róż. Pąsowych. Pięknych.

- Chip jest na górze, w swoim pokoju. Z ojcem. Zanim jednak pójdzie pani do niego, czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

- Oczywiście.

Wchodzimy do salonu: meble obite żółtym jedwabiem, dywan w kwiecisty orientalny wzór, obrazy w ciężkich złotych ramach. Udrapowane kotary. Kominek, w którym stoi teraz duży kosz z wysuszoną hortensją.

Pani Reardon wskazuje sofę, zachęcając mnie, żebym usiadła. Siadam z torbą u stóp. W tym pokoju moja torba wydaje się jeszcze bardziej zniszczona.

Pani Reardon odchrząkuje, wygładza nogawkę spodni.

- Chip nie reaguje odpowiednio na swoją chorobę. Kiwam głową, czekam.

- Jak pani wie, to bardzo agresywna postać raka.

- Tak.

- Miał operację. Ale nie chce robić nic więcej.

- Ma pani na myśli...

- Mam na myśli chemoterapię, radioterapię... nawet psychoterapię! - Śmieje się. - On nie bierze pod uwagę niczego. Wiem, że te terapie niekoniecznie chronią przed... Wiem, że żadna z nich nie jest lekarstwem, ale może przedłużyć życie. A jeżeli będzie żył dłużej, choćby o kilka miesięcy, kto wie, co ludzie w tym czasie odkryją!

Już ja wiem, co w ciągu kilku miesięcy „ludzie” mogą odkryć: nic.

Nachyla się, mówi cicho.

Spodziewam się, że namówi go pani na dalsze leczenie. Niech się wreszcie za to zabierze. Proszę go przekonać, że to najlepsze wyjście. Bo to jest najlepsze wyjście. Jedyne.

- Wie pani, pani Reardon, nieraz trudno zrozumieć, dlaczego ktoś nic dokonuje oczywistego wyboru. Ale...

- On się zachowuje, jakby to był jakiś żart! Kiedy odbiera

telefon, najczęściej mówi: „Chip Reardon, chory na raka”. Wczoraj powiedział: „Zajazd dla Odchodzących”.

- W tym nie ma nic... nic niezwykłego. Ludzie radzą sobie na rozmaite sposoby. Czasami potrzebują przede wszystkim...

Pani Reardon sztywnieje.

- Ależ proszę nie... Zapewniam panią, że znam swojego syna.

- Nie wątpię.

Milczenie. Gdzieś w pobliżu tyka dostojnie zegar.

- No cóż - mówi, jakby kończyła rozmowę. Wstaję.

- Może w takim razie pójde do niego? Prowadzi mnie do schodów, wskazuje.

- Pierwszy pokój po prawej. Mój mąż ma na imię Charles. Drzwi do sypialni są zamknięte; pukam cicho. Otwiera

mężczyzna, który wygląda jak postarzały Chip.

- Pani Lipiński?

- Tak.

Zamyka za sobą drzwi, kiwa głową poważnie i pokazuje, żebym podeszła razem z nim na koniec korytarza.

- Jak rozumiem, będzie pani przychodzić codziennie.

- Tak.

- Czy mógłbym o coś panią zapytać?

- Oczywiście.

- Nie wiem, czy... Przede wszystkim chciałbym prosić, żeby o wszystkim mówiła pani ze mną bez ogródek, dobrze? Dobrze.

- Mówię poważnie.

- Ja też.

- Doskonale. Więc powiem, co mam do powiedzenia. Zastanawiałem się, czy Chip... - Niespodziewanie zaczyna szlochać, niemal bezgłośnie i zupełnie bez łez. Nie tłumaczy się z tego, nie przeprosza, nie jest wcale skrępowany. Stoi, patrzy przed siebie i po prostu czeka, aż wzburzona pierś uspokoi się, a oddech wyrówna. Jakby czekał, aż przeleci samolot.

Nie próbuję go pocieszać. Są chwile, kiedy trzeba wyciągnąć pomocną dłoń, ale czasami lepiej zostać z boku, żeby drugi człowiek sam utrzymał straszliwy ciężar.

Po kilku sekundach mówi dalej:

- Byłem... dosyć surowy dla Chipa, gdy dorastał. Wtedy

były inne czasy. - Patrzy na mnie, jakby oczekiwał, że mu przytaknę.  
- Wiem, co pan ma na myśli - mówię. - Dzieci wychowywano inaczej niż teraz. Moi rodzice też byli bardzo surowi.

- Nie sędzę, żebym odbiegał od normy, ale byłem dla niego surowy. I nic nie poradzę na to, że narzuca mi się pytanie... Zastanawiam się, czy może jego rak...

- Panie Reardon?

Ma minę dziecka przyłapanego na niedozwolonym uczynku.

- Jeżeli zastanawiał się pan, czy coś, co pan zrobił, spowodowało...

- O nie, to raczej chodzi... Właściwie tak. Tak. Chyba nad tym właśnie się zastanawiałem. Chociaż i tak nic nie mogę już na to poradzić. - Rozglądał się na wszystkie strony, unikając mojego wzroku, w końcu spojrział prosto na mnie. Błagalnie.

- Nikt nie wie, co powoduje tego raka - mówię łagodnie. - Mogę jednak zapewnić pana z pełnym przekonaniem, że to nie pańska wina.

- Dziękuję.

- Myślę, że przyjazd Chipa tutaj mówi coś o jego stosunku do pana.

- Nie ożenił się. Więc zostaliśmy mu tylko my.

- Mimo wszystko...

- No tak, wiem. Wiem, że nas kocha. - Przesuwa dłonią po oczach. - Jezu! To takie trudne.

- Tak - mówię cicho.

- To nasze jedyne dziecko.

- Wiem. Bardzo mi przykro.

- Żona powiedziała pani na pewno, że syn odmawia dalszego leczenia.

- Tak.

- Nie jestem pewien, ale on może mieć rację. Kiwam powoli głową.

- Rozumiem.

Prostuje się, wskazuje drzwi.

- Proszę! Należy do pani! Czy czegoś pani potrzebuje?

- Nie. Dzisiaj przeprowadzę tylko rozmowę, jaką zwykle przeprowadzam, przyjmując pacjenta. To zajmie najwyżej godzinę.

- Kawy?

- Nie, dziękuję.

Staję przed drzwiami, gotowa zapukać, gdy wtem się otwierają. Otóż i on. Gdyby nie szwy przypominające zarys piłki bejsbolowej na ogolonym boku głowy, powiedziałabym, że niewiele się zmienił. Trochę siwizny we włosach. Linia szczęk odrobinę złagodzona. Ale ogólne wrażenie jest takie, jakby chłopak o imieniu Chip przebrał się za mężczyznę.

Wpatruje się we mnie dłuższą chwilę, na pewno przypominając sobie, skąd mnie zna.

- O mój Boże, Myra? - Wybuchła śmiechem. - Nic się nie zmieniłaś! - Nie jest to, niestety, komplement. - Hej, tato! - mówi. - Pamiętasz Myrę Lipiński? Chodziliśmy razem do szkoły.

- Tak - przytakuje pan Reardon. - Oczywiście. Wiem jednak, że wcale mnie nie pamięta.

- Boże, ileż to lat minęło - mówi Chip.

Uśmiecham się, czuję ciepło rumieńca rozlewającego się z szyi na twarz. Potem przypominam sobie, po co tu przyszłam: ocena wszystkich układów ciała, ze szczególnym uwzględnieniem defektów neurologicznych. Ocena czynności koniecznych w życiu codziennym - czy może samodzielnie zrobić wszystko, co trzeba? Przegląd lekarstw - czy wie, co brać, kiedy i na co jest każdy lek? Kontrola bezpieczeństwa domowego: elektryczność i wynikające z niej zagrożenia...

- Jesteś pielęgniarką? - pyta Chip. Wzruszam ramionami.

- Tak.

- Nadal jesteś Myrą Lipiński?

- .. o co właściwie pytasz?

- Czy wyszłaś za mąż?

- O! Nie. - Śmieję się. - Nie... ani razu.

- Hm. Ja też się nie ożeniłem. Nigdy. Chyba mam jeszcze czas. Ludzie mogliby powiedzieć: „Skończyli na miesiącu miodowym”. I mieliby rację! No cóż. Zapraszam do środka. Domek ciasny, ale własny. - Patrzy na ojca. - Tato?

- Będę na dole - rzuca szybko ojciec. - Zawołaj mnie, jeżeli będziesz czegoś potrzebował.

Chip zamyka za nami drzwi. Potem siada na łóżku, uśmiecha się i patrzy na mnie.

- Zastanówmy się... Ostatni raz widziałem cię na lekcji

angielskiego w szóstej klasie, zgadza się? Z tym idiotą Saundersem. Czytał poezje z wrażliwością „cholernej deski klozetowej”. Pamiętasz tego gościa w *Buszującym w zbożu!*

- Holden Caulfield mówił tak o Ackelyu - dodaję. - Tak, pamiętam.

Chip wskazuje fotel przy łóżku.

- Usiądź i opowiedz mi o sobie, a ja będę się szykował. Potem wyjdziemy coś zjeść. Mam ochotę na coś tłustego. Matka doprowadza mnie do szafu zdrową żywnością. Chce ze mnie zrobić makrobiotyka, jak Boga kocham.

Nie jest to dokładnie to, czym powinnam się zajmować w ramach programu opieki. Ale czy mnie to przeszkadza? Nie. Idę na lunch z Chipem Reardonem, chorym na raka, który najpierw wysłucha mojej opowieści o sobie. Przyglądam się, jak zakłada adidasy i zawiązuje niebieską bandanę na głowie, całkiem nieźle zakrywając pooperacyjną bliznę. Staram się opanować podekscytowanie, opowiadając mu o swoim życiu.

Jest ciepło, przy bardzo małej wilgotności. Chip chce dojść na piechotę gdzieś, gdzie moglibyśmy zjeść, więc wybieramy Ned's Place, jedną z moich ulubionych restauracji, oddaloną o kilka przecznic. Chip nigdy tam nie był; restauracja istnieje dopiero od pięciu czy sześciu lat. Jest bardzo mała - pięć stolików, pięć stołków przy barze. Mieści się w białym, wolno stojącym budynku, który wygląda jak domek dla dzieci - przed wejściem jest mały ganek, na którym przywiązuję Franka, gdy tu przychodzimy, przy oknie wiszą czarne okiennice, w skrzynkach czerwieni się geranium. W środku nad każdym stolikiem jest mały kinkiet, zupełnie jak w nocnym klubie z połowy lat czterdziestych. Kartę dań ozdabia rysunek przypalanej grzanki wyskakującej z uśmiechniętego tostera. Spytałam kiedyś Lindy, która wraz z mężem prowadzi restaurację, dlaczego umieściła na menu przypaloną grzankę. „Bo to się podoba Alowi” - wyjaśniła.

Wszyscy bywalcy Ned's Place są zachwyceni, Frank też -Lindy daje mu zawsze wspaniałe okrawki. Najprzyjemniej jest wczesnym rankiem, gdy stali klienci siedzą rzędem na stołkach, w czapkach z daszkiem nasuniętym zdecydowanie na czoło. Prawie wszyscy stali klienci to mężczyźni w wieku od osiemnastu do osiemdziesięciu lat. Nie przeszkadzają Alo-

wi, który stoi spokojnie przy grillu za kontuarem, ale cały czas zaczepiają Lindy. Raz ostro się odcięła, wtedy jeden z klientów jęknął: „Jezu! Czy ktoś wie, kiedy zaczyna się sezon na zapalenie krtani?”.

Codziennie rano przychodzi też policjantka Brenda, ona zawsze staje po stronie Lindy - kiedyś nawet zakuła w kajdanki faceta, bo za dużo pyskował. Nie uwolniła go, dopóki nie obiecał, że zostawi dziesięć dolarów napiwku. Czasami, gdy jest naprawdę duży ruch, Brenda robi rundkę, zbierając zamówienia, a potem wraca do śniadania. Próbowalam raz w ten sposób pomóc, ale Lindy mnie odprawiła, mówiąc, że klienci źle się czują, zamawiając potrawy. „Przecież nic nie mówiłam!” - zaprotestowałam. A Lindy na to: „Nie musiałaś nic mówić. Wystarczyło spojrzeć na twoją pielęgniarzką minę”.

Kiedy wchodzę z Chipem, Linda odrywa wzrok od kontuaru, który właśnie wyciera.

- Hej, Myra! Gdzie się podziewałaś? Odłożyłam końcówkę szynki dla Franka.

- Nie chciał dzisiaj przyjść ze mną - odpowiadam. Wskazując Chipa, dodaję: - Za to przyprowadziłam jego. To Chip Reardon.

- Jak się masz - mówi Lindy, a Al pozdrawia go skinieniem głowy.

- Chcecie stolik? - pyta Lindy.

Zawsze siadam przy barze, ale Lindy spostrzegła, że dzisiaj wolałabym usiąść w bardziej zacisznym miejscu.

- Pewnie - mówię i kieruję się do stolika w kącie.

- Nie przy tamtym - powstrzymuje mnie Lindy. - John Harris zaraz przyjdzie.

Spoglądam na zegarek.

- Na niego już za późno.

John to wielka szycha w naszym miasteczku, ma jakiś udział w każdym przedsięwzięciu. Jest jakby burmistrzem, nie będąc burmistrzem, i w Ned's Place ma swój stolik.

- Jest na spotkaniu - mówi Lindy. - Pewnie stara się o jakiś kontrakt.

- Tak - odzywa się jeden z klientów przy barze. - Już on się postara i dołoży tobie, Lindy, za to, że nigdy nie dolewasz tej cholernej kawy!

Lindy podnosi głowę znad zmywarki, do której ładowała talerze.

- Chcesz jeszcze kawy, Freddy?

- Chyba tak.

- Więc jak mnie grzecznie poprosisz, to się zastanowię.

- O Jezu! - jęczy Freddy. I dodaje śpiewnym falsetem: -Och, Lindy, czy byłabyś tak łaskawa i naląła mi trochę kawy? Bardzo cię proszę!

- To zabrzmiało całkiem grzecznie - odparła Lindy. - Teraz się zastanowię.

Freddy wstaje i sam sobie nalewa.

Zajmujemy z Chipem stolik koło drzwi. Tam siada Lindy, żeby uzupełnić pojemniki z przyprawami, kiedy w restauracji robi się pusto. Zwykle o trzeciej, gdy zamykają. Chociaż nie zamykają tak całkiem. Wywieszają tabliczkę „Przepraszamy!” - a potem przygotowują menu na następny dzień, ale jeżeli ktoś wejdzie i zechce jeść, to go nakarmią.

Chip przegląda kartę dań, mamrocząc:

- Świetnie. O tak, wspaniale. - Patrzy na mnie, kiwa głową. - Miałaś rację, to jest właśnie to, o co mi chodziło. -Zamawia podwójnego cheeseburgera, frytki i czekoladowy koktajl.

Przymierzam się do zamówienia, ale przypominam sobie o diecie.

- Tylko kawa - mówię do Lindy.

- Co ty wygadujesz.

- No dobrze, niech będzie burger.

- Frytki.

- Okay. I koktajl też.

Zapisuje nasze zamówienia. Potem, przyjrząwszy się Chipowi, dodaje:

- Oho. Co sobie zrobiłeś w głowę, kolego? Wstrzymuję oddech. Chip wyjaśnia:

- Przeszedłem małą operację. Wycięli mi guza.

- O mój Boże! - stropiła się Lindy. - Przepraszam. Myślałam, że to wypadek. Mój wujek po wypadku na sankach miał takie same szwy na głowie.

- Chciałbym, żeby to był ślad po wypadku.

- Bardzo mi przykro.

Nigdy przedtem nie widziałam zarumienionej Lindy, ale te-

raz zaczerwieniła się jak burak. Wraca do kontuaru, wykrzykuje zamówienie do Ala i odtrąca rękę klienta, próbującego rozwiązać jej fartuszek.

- Przepraszam - mówię do Chipa.
- To się ciągle zdarza - odpowiada. - Przyzwyczaiałem się.
- Już niedługo nie będzie tych szwów. I szybko odrosną ci włosy.
- Zgadza się.

Po chwili milczenia Chip pyta:

- Właściwie dlaczego nie wyszłaś za mąż?  
- No cóż. Nikt mnie o to nie prosił, jeśli nie liczyć Billy'ego Harrisa, który oświadczył mi się w przedszkolu. Ale to się nie liczy, bo oświadczył się tak samo wszystkim innym dziewczynkom w grupie. A potem... - Uśmiecham się, wzruszając ramionami.

- Och... to nie moja sprawa. Przepraszam, jeżeli wprowadziłem cię w zakłopotanie.

- W porządku — mówię. - Przyzwyczaiałam się. Uśmiecha się. Potem zmienia się na twarzy, unika mojego

spojrzenia, bawi się widelcem. Wreszcie nachyla się nad stolikiem i pyta cicho:

- Jak myślisz, Myra, skąd mi się to wzięło? - Ma taki żaloszny, pełen skargi głos.

Potrząsam głową, mam ściśnięte gardło.

- Nie masz pojęcia?
- Nie, nic nie mogę stwierdzić na pewno. Opada na oparcie.
- Okay. Więc będziesz przychodzić codziennie?
- Na razie.
- Mhm. Obejrzeć ranę, a potem sprawdzić inne rzeczy: czy zaczyna mi się mieszać w głowie, ile razy dziennie mam torsje lub atak albo zwijam się z bólu. O to chodzi?

- No...

- Świetna zabawa, co? I nie zapominajmy o najważniejszym: „przemyślenia i uczucia pacjenta"! Zaraz zobaczymy, czy dobrze pamiętam. „Problem: Przyszłość widziana w czarnych kolorach. Interwencja: Zmienić kierunek negatywnego myślenia".

Przełykam ślinę.

- Bardzo dobrze.



- Wiem, już cię uprzedzono, że „odmawiam dalszego leczenia”.

Nie odpowiadam, piję wodę. Jestem wstrząśnięta po usłyszeniu suchej i rzeczowej wyliczanki, co może się z nim dzieć i pewnie będzie się działo. Większość ludzi nie dopuszcza do siebie takich myśli. Ba, większość ludzi przez długi czas w ogóle zaprzecza istnieniu choroby. Ponieważ nie ma z nimi nic wspólnego. Nie pasuje do nich. Nie mają na nią czasu. Uważają, mimo że wszystko wskazuje na coś wręcz przeciwnego, że zaszła potworna pomyłka. Później, gdy już pogodzą się z postawioną diagnozą, nieraz myślą, że już nic więcej się nie wydarzy - te straszne objawy, o których słyszeli, to coś, co przydarzyło się innym; z nimi będzie inaczej. Ponieważ są chrześcijanami. Ponieważ medytują. Ponieważ tylu ludzi ich kocha. Ponieważ są tak bardzo potrzebni. Ponieważ dostali nauczkę i teraz będą dobrzy. A potem: jeżeli już muszę umrzeć, to stanie się to tak. Z grubsza rzecz biorąc pozostanę sobą. I pewnego dnia skończę oglądać mecz, zgaszę telewizor i powiem: „No dobrze. Teraz jestem gotów pójść na górę i umrzeć”. Ale potem nadchodzi czas, kiedy już dłużej nie można zaprzeczać.

- Myra - mówi Chip. - Chcę ci coś powiedzieć. Musisz mnie wysłuchać. Musisz mnie uważnie wysłuchać. W zeszłym roku pewien makler, z którym pracowałem i przyjaźniłem się, zachorował na raka odbytu. Widziałem, przez co przeszedł, poddając się agresywnej terapii. Wolałbym... Nie chcę znosić tego wszystkiego w zamian za obietnicę kilku miesięcy życia. A nawet nie obietnicę. Nikłą szansę.

- Rozumiem.

- Naprawdę?

- Tak. - Myślę o Mike'u Connellym, pacjencie, którym się opiekowałam, kiedy zaraz po ukończeniu szkoły dla pielęgniarek pracowałam na oddziale szpitalnym. Miał rzadki rodzaj chłoniaka. Pierwszego dnia pobytu w szpitalu powiedział: „Wiesz, dwa razy służyłem w Wietnamie. Zielone Berety, prawdziwy ostry bój. Nigdy nie czułem lęku przed śmiercią, ani razu. A teraz się boję”. Siedział na łóżku, rozmawiał ze mną i wydawał się taki duży i silny, tak idiotycznie wyglądała plastikowa opaska identyfikacyjna na szerokim przegubie. Przeszedł piekło, próbując uratować sobie życie, stosując

i konwencjonalną, i eksperymentalną terapię. Gdy ostatni raz opuszczał szpital, wyglądał, jakby przeszedł o wiele gorszą batalię niż w Wietnamie. Trzy tygodnie później zmarł. Tylu rzeczy próbował i wszystko zdało się na nic.

- Chciałbym pozostać normalny tak długo, jak tylko się da - mówi Chip. - Kiedy zaczną mnie opuszczać moje władze umysłowe, chcę opuścić ten świat.

- Nie można zaprogramować chwili śmierci.

- Oczywiście, że można.

Patrzę na niego, chcę coś powiedzieć, ale się wstrzymuję. To nie jest właściwy moment.

Lindy podchodzi do stolika, zamasyżuje stawiła na nim dwa czekoladowe koktajle. Potem wraca do kontuaru, żeby zająć się klientem, który zaczął ryczeć, domagając się drugiej łyżki.

- Uspokój się, stary przyku - karcie go. - Pamiętaj o nadciśnieniu!

- To przez ciebie mam nadciśnienie!

- Chciałbyś - prycha Lindy. Chip nachyliła się do mnie.

- Naprawdę mi się tu podoba.

- Co roku urządzają zabawę na Halloween. Gdybyś chciał przyjść, musisz przebrać się za jedną z potraw w menu.

- A ty za co się przebierasz?

- Ja? Nie chodzę na tę zabawę.

- Dlaczego?

- No wiesz. Przyjęcia.

- Co masz przeciwko przyjęciom?

- Nie znoszę ich.

- Ach tak. To dobry powód, żeby na nie nie chodzić. Pociągam duży łyk koktajlu. Pyszny. Czterdzieści pięć milionów kalorii.

- Kiedy byłem małą dziewczynką, myślałam, że ludzie, którzy chodzą na zabawy i przyjęcia, cały czas się tak ubierają, że to pewna klasa ludzi. Sądziłam, że są ludzie tacy jak moi rodzice, którzy ubierali się tak a nie inaczej, u Searsa, i nigdy nie chodzili na przyjęcia. I że są także ludzie, którzy chodzą na przyjęcia i codziennie rano ubierają się w jedwabie, satyny i fraki, schodzą na śniadanie i rozmawiają o tym, gdzie pójdą wieczorem.

Chip kiwa głową.

- Ja nie wiedziałem, że w ciele są kości. Myślałem, że gdyby się przecięło rękę, byłoby widać tylko różowe zwarte ciało, coś jakby kiełbasę.

- Ja wiedziałam o kościach - mówię. - Ale nic więcej o tym, co dzieje się w środku. Myślałam, że w naszych brzuchach są małe żeliwne garnki i do nich trafia to, co zjemy. Jest na przykład garnuszek na ziemniaki, garnuszek na mus z jabłek... Któregoś dnia jadłam mus z jabłek i bardzo się przejęłam, bo wyobraziłam sobie, że garnuszek jest już prawie pełen i zaraz się przeleje, a to mnie zabije.

- Co na to twoi rodzice?

- Nie powiedziałam im o tym. Nigdy im nie mówiłam, czym się martwię.

- Dlaczego?

- Bo... nic by na to nie poradzili.

Pamiętam, a jest to jedno z moich najwcześniejszych wspomnień, jak obudziłam się, dręczona koszmarem sennym. Poszłam do pokoju rodziców i stanęłam koło ich łóżka. „Co?” - spytał ojciec, nie otwierając oczu. „Miałam zły sen -odparłam. - Boję się”. „Anno” - rzekł ojciec, a wtedy matka odwróciła się i rzuciła: „Sama powiedziałaś, Myro, że to był tylko zły sen. Wracaj do łóżka. Zobacz, która godzina”. Wtedy jeszcze nie umiałam odczytać godziny na zegarze. Ale nauczyłam się tamtej nocy, że są rzeczy, o które nie wolno mi prosić.

Lindy stawia przed nami talerze i Chip od razu wpycha do ust kilka frytek.

- Rozkosz - mówi. - Cud-miód. - Bierze do ręki dużego burgera, ogląda go z podziwem, odkłada na talerz i soli. - Kiedy miałem ze trzy, może cztery lata, siedziałem na dworze w piękny letni dzień i nagle zdałem sobie sprawę, że połknąłem własną ślinę. Byłem tak zdumiony, że wbiegłem do domu i powiedziałem o tym matce. „Tak, kochanie - uspokoiła mnie - połykamy ślinę”. A ja na to: „A co robiliśmy w zeszłym roku?”.

Śmieję się, patrzę, jak wbija zęby w burgera i podkłada pod spód dłoni, żeby złapać kapiący tłuszcz. Podaję mu serwetki.

- Myślałam, że zakonnice to trzecia płęć - mówię i odgryzam kęs niewiele mniejszy niż kęs Chipa.

- Okay. A ja, że „techniczny nokaut” jest wtedy, kiedy jeden bokser nokautuje drugiego za pomocą „techniki”.

Śmieję się tak głośno, że aż Lindy ogląda się na mnie, podpierając się pod bok.

- Hej, Lindy, czy było coś, w co wierzyłaś jako dziecko, a potem okazało się to zupełną nieprawdą? - pytam.

- Tak było ze wszystkim.

- Daj jakiś przykład. Zastanawia się.

Al zostawia grill, podchodzi do kontuaru i mówi do nas:

- Myślałem, że jeżeli będę długo patrzył w lustro we własne oczy, to zwariuję.

Lindy odwraca się do niego.

- Hm. Widocznie spędzałaś dużo czasu przed lustrem. A poza tym ona nie pytała ciebie tylko mnie. - Zbliża się do naszego stolika i szepce: - Myślałam, że mężczyźni mają członki długości czterdziestu cali. Przysięgam. Myślałam, że są złożone jak miarka, żeby nie wystawały im ze spodni.

- No i? - pyta Chip.

Lindy rzuca przeciągłe spojrzenie na Chipa, a potem patrzy na mnie.

- Oni wszyscy są tacy sami - stwierdza. - Świnie.

- Wiem.

- Ja też o tym wiem - dodaje Chip.

- Myślałem, że żeby mieć dzieci, trzeba się razem położyć i pomodlić - woła do nas Al. Podrzuca naleśnik, a potem grozi Lindy łopatką. - Ani słowa.

Klient, którego widzę pierwszy raz, obraca się na stołku przy barze, z filiżanką kawy w ręce. Jest ubrany w spłowiały kombinezon mechanika z wyhaftowanym na kieszeni przydomkiem „Buzzy”.

- Ja też wam coś opowiem - mówi. - Kiedy miałem sześć lat i leżałem wieczorem w łóżku, wyobrażałem sobie, że przecinam na pół kartkę papieru. A potem jeszcze raz na pół. I tak dalej. Zaczynałem płakać, bo to mnie doprowadzało do rozpacz, myślałem, że w końcu jakiś przecięty skrawek przestanie istnieć, że można to zrobić. Chyba to mnie przeraziło.

- Bo to jest przerażające - zgadza się Chip. I w tym momencie wszystko między nami się zmienia. Bo przypominamy

sobie, co kryje się pod chustką. Czuję, jak oboje robimy to jednocześnie. Oboje myślimy: No tak.

Pewna młoda kobieta, chora na raka piersi, opowiadała mi, że kiedy postawiono jej diagnozę, nie mogła chodzić do kina. Przedtem to uwielbiała, ale przekonała się, że nie może, bo oglądając film, wychodziła z siebie i zbyt wiele kosztował ją powrót. „Lepiej cały czas mieć świadomość choroby, podtrzymywać ją, jak się podgrzewa potrawę na wolnym ogniu - powiedziała. - Jeżeli zapomnisz, choćby na krótko, to tak jakbyś musiała od nowa przeżywać szok diagnozy”.

Gdy zaczęły wypadać jej włosy, zbierała je do koperty, którą trzymała w szufladzie nocnego stolika. Zdaje się, że zamierzała zamówić sobie z nich perukę. Niestety, umarła niespodziewanie - o wiele wcześniej, niż sądziliśmy, na dwa dni przed swoimi trzydziestymi urodzinami. Jej matka zachowała kopertę, przełożyła ją do szuflady swojego nocnego stolika. „Nie wiem, po co to trzymam - powiedziała. - Ale jak mogłabym wyrzucić?”

Pałaszujemy wszystko, co jest na naszych talerzach, zamawiamy deser. Chip dostaje placek z wiśniami, a ja słynny pudding ryżowy Ala - słynny, bo za każdym razem inny. Raz jest przepyszny, a następnym razem smakuje jak pasta z papieru toaletowego. Dzisiaj smakuje wspaniale.

W drodze do domu Chip jest zmęczony. Nic nie mówi, ale widzę to po nim. Nie poznaję tego po chodzie, Chip ma to wypisane na twarzy - zwiotczenie drobnych mięśni, wysiłek w oczach. Proponuję, żebyśmy zatrzymali się na placu zabaw, koło którego przechodzimy, tłumacząc, że chcę usiąść na ławce i popatrzeć na dzieci. Do zjeżdżalni ustawiła się kolejka - sami chłopcy. Na jednej z huśtawek siedzi samotna dziewczynka, wyglądająca na osiem lat, i czyta książkę. Dwie mamy z maluchami w identycznych wózkach siedzą na ławce naprzeciw nas, pochłonięte rozmową. Pamiętam, jak przychodziłam tu się bawić w dzieciństwie. Moja matka siadała na ławce i robiła na drutach, patrząc przed siebie; uprzejmie, lecz uparcie odmawiała wdawania się w rozmowę z innymi matkami. Wyjaśniła mi, że jej przyjaciółki zostały w Polsce, że tylko tam ma przyjaciółki. Z czasem wszyscy nauczyli się zostawiać ją w spokoju.

- Dlaczego się nie ożeniłeś, Chip? - pytam po jakimś czasie.

- Och... - Wyciąga rękę na ławce za moimi plecami. Włosy na moim karku stają na baczność. - Po pierwsze sądziłem, że jest na to mnóstwo czasu. I ciągle myślałem, że może ta następna będzie jeszcze lepsza. Głupota. Miałem wujka, kobieciarza jakich mało, był dla mnie wzorem pod wieloma względami. Umierał otoczony pięcioma kobietami. Wtedy uznałem, że to super osiągnięcie. Teraz nie jestem tego taki pewien. Teraz myślę o tym, ile musiał rozproszyć... energii. Kto wie, może tego właśnie pragnął. Aleja, w którymś momencie mojego życia, chyba powinienem się nauczyć, jak być z jedną osobą. To by mi teraz pomogło. Niestety, nigdy się tego nie nauczyłem. - Spogląda na mnie, uśmiecha się. - Nie myślisz czasem, że przydałaby się powtórka?

- W liceum miałeś tylko jedną dziewczynę - przypominam. — Przez całe dwa lata.

- Tak, Diann. Ale nie była jedyna.

- Ach tak. Nie wiedziałam.

- Nikt nie wiedział. Ona jednak coś podejrzewała. - Odchyła się do tyłu, wzdycha, patrzy na mnie.

- Niedawno znów się zesłaliśmy. Jest prawniczką, po rozwodzie, ma własną praktykę. Dobrze sobie radzi.

- Naprawdę? - No tak, oczywiście. To oczywiste, że nadal kogoś ma. Ścisła mnie w dołku.

- Tak, nie widzieliśmy się wiele lat, lecz utrzymywaliśmy ze sobą kontakt. Wyszła za mąż zaraz po ukończeniu college'^ a kilka lat temu się rozwiodła. Przeniosła się do Nowego Jorku, niedaleko ode mnie, i znów zaczęliśmy się widywać. Jednak mieliśmy problemy. Te same, co kiedyś. Spotykałem się z innymi kobietami. Zerwaliśmy tuż przed postawieniem diagnozy. - Bierze w palce kawałek farby, która odprysła od ławki.

- Więc ona wie?

- Co?

- Czy Diann wie o tobie?

- Jasne. Była pierwszą osobą, którą zobaczyłem, kiedy obudziłem się po operacji. Ale nie widzę sensu... Dzwoniła któregoś wieczoru, chce przyjechać i zobaczyć się ze mną. Już

sobie wyobrażam, jak zatrzymałaby się u moich rodziców. Nie znosili jej.

- Naprawdę? - Świetnie. - Dlaczego?

- Nie wiem. Może nie spodobała się im od samego początku. To było dziwne.

- Nie mogłaby się zatrzymać w hotelu?

- Chce być blisko. W Ashton.

- Może zamieszkać u mnie. - Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Chyba nie mówiłam szczerze. Zareagowałam odruchowo, wsparłam potrzebującego.

- Naprawdę?

- Mam dom z dwiema sypialniami. Co prawda nieduży, całkiem mały, ale zmieścimy się.

- To bardzo miło z twojej strony, Myra. Patrzą na zegarek.

- Chodźmy już. Muszę wyprowadzić psa.

Wstaję, zarzucam torbę na ramię. Chip zerka na mnie, mrużąc oko pod słońce.

- Ale jutro też przyjdiesz, tak?

- Tak, o tej samej porze. Będziemy musieli odwalić papierkową robotę, bo inaczej wyrzucą mnie z pracy.

- Nie martw się. Dam ci wszystko, czego potrzebujesz. Ach, te słowa. Wstaje, przeciąga się i ruszamy. Idzie równym krokiem, choć powoli. Przy deserze wziął jedną tabletkę przeciwbólową. Miał drobne trudności przy odczytywaniu liczb na rachunku, który uparł się zapłacić. Poza tym ma się dobrze.

Gdy zbliżamy się do jego domu, mówi:

- Dawno temu wierzyłem, że kiedy śpimy w nocy, jesteśmy martwi. Więc śmierć to tylko dłuższa wersja dość przyjemnego przeżycia. Szkoda, że już w to nie wierzę.

- Może tak właśnie jest.

- Tak. Może. Problem w tym, co ją poprzedza.

- Martwiłam się kiedyś, że pójdę do nieba - mówię. - Myślałam, że tam będzie nudno.

Chip śmieje się.

- Jesteś ciekawą kobietą, Myra. Cieszę się, że jesteś moją pielęgniarką.

- Ja też się cieszę. - Ależ mi ulżyło, że to powiedział. Bałam się spytać, czy mu nie przeszkadza, że w takiej roli, bardziej od innych wkraczającej w intymność, będzie mu usługiwała znajoma.

Przed jego domem podajemy sobie ręce. Nic na to nie poradzę, czuję, jakby przeszył mnie prąd.

- Czy... czy zechciałabyś pójść ze mną do kina albo coś w tym rodzaju? To czekanie jest takie nudne. Bez pracy.

Śmieję się, zażenowana.

- Pytam poważnie, zechciałabyś?

- No cóż... tak. Pewnie.

- Może jutro?

- Czemu nie?

Zaczyna wchodzić po schodach, odwraca się i macha do mnie. Ruszam w stronę samochodu, który stoi dokładnie w tym samym miejscu, w którym zaparkowałam, zanim zakwitł świat.



Frank szaleje, kiedy wracam do domu, kręci się w kółko tak szybko, że nie mogę założyć mu smyczy. Zabieram go na długi spacer przez las koło mojego domu, patrzę, jak kluczy między drzewami. Rzucam mu patyki i przychodzi mi na myśl, jaki to cud, że mogę to zrobić: użyć mojego ramienia, zamachnąć się z całej siły. Śledzić lot patyka. Iść bez zmęczenia i bólu. Zakładać ze ślepą pewnością siebie, że będę mogła robić to samo jutro, pojutrze i popojutrze. Spędź popołudnie z kimś, komu powiedziano, że jego dni są policzone, a na wszystko, co będziesz potem robiła tego dnia, spojrzysz z podziwem i wdzięcznością. No, nawet na pranie.

Po powrocie sprawdzam wiadomości. Jedna od Theresy -przeprasza, że musiała odprowadzić Franka wcześniej niż zwykle, ale zapomniała o wizycie u dentysty, i ma nadzieję, że Frank nie dostał szału przez to, że siedział sam w zamknięciu.

- Dostałeś szału, Frank? - pytam. Chłepcze wodę z takim zapamiętaniem, że ledwie na mnie spojrzy.

Następną wiadomość zostawiła Marvelous - przypomina, że mam jej jutro przynieść przepis, o którym mówiłam, kiedy się ostatnio widziałyśmy. Znalazłam ten przepis w magazynie - bardzo łatwy, jednogarnkowe danie z kurczaka, ryżu i egzotycznych przypraw, bardzo smaczne. Zrobiłam je i jadłam przez tydzień, bo tak zawsze robię, gdy przygotowuję potrawę według przepisu „na sześć osób”.

Trzecia wiadomość pochodzi od Grace. Płakała, słysząc to w jej głosie. „Spał dziś o wiele za długo. Wiem, że dzieje się z nim coś złego. Widocznie coś mu zrobiłam. Ale gorączki nie ma, czy to znaczy, że nie jest chory? Czy możesz zadzwonić?” Pauza. „Tak bym chciała, żebyś tam była, nie ma cię, prawda?... Okay, do widzenia”.

Oddzwaniem do Grace, która mówi:

- O Boże, przepraszam. Już. mu nic nie jest. Chyba był śpiący. Zadzwoniłabym do ciebie, ale zapomniałam.

- Nie szkodzi.

- Ale przyjdiesz jutro?

- Przyjdę.

- Czy zaszkodzi mu oglądanie ze mną telewizji? Żadnych gwałtownych scen, tylko powtórka *Frasiera*.

- Nie, to mu nie zaszkodzi.

- Tak właśnie myślałam.

- Ty dużo wiesz, Grace. Musisz się tylko nauczyć ufać samej sobie.

- Chyba tak. O, jeszcze jedno. Dałam mu trochę piwa w butelce, ale porządnie rozcieńczyłam je wodą. Tak może być?

Zastanawiam się dłuższą chwilę, od czego zacząć odpowiedź, a wtedy Grace mówi:

- Żartowałam. -1 pyta: - Myra?

- Bardzo zabawne. Zobaczymy się jutro.

Wchodzę do kuchni, otwieram lodówkę, przeglądam zapasy. Wczoraj skończyłam ostatnią potrawę „na sześć osób”. Zdejmuję pokrywkę z kartonu jogurtu truskawkowego, wacham go, stawiam na blacie, wyjmuję ostatnie trzy kruszaki, zanoszę je razem z jogurtem na stół i siadam. Lubię jeść jogurt ciastkiem jak łyżeczką. Uporawszy się z jogurtem, podchodzę znów do lodówki i zaglądam do środka. Wyjmuję kozi ser, biorę z szafki kilka sezamowych krakersów i zjadam krakersy z serem, stojąc przy zlewie. Potem szykuję sałatkę, przygotowuję ją pysznym winegretem. Zjadam sałatkę w salonie, oglądając prognozę pogody na jutro. Upalnie i sucho.

Po sałatce sięgam jeszcze raz do lodówki po truskawkę. Następnie wyjmuję z zamrażalnika lody „Ben and Jerry's Heath Bar”, pochłaniam kilka łyżek prosto z kartonu, wlewam deter-

gent do zmywarki i włączam ją. Nie jest pełna, ale minęły cztery dni. I już wieczór. Rozpościera się przede mną, można rzec.

Co dzień o tej porze powraca czczość w żołądku. Można by pomyśleć, że się do tego przyzwyczaję. Można by pomyśleć, że już z niektórych rzeczy zrezygnowałam. Ale widzę zjawy. Tył głowy wystający zza oparcia krzesła. Jego maszynkę do golenia pozostawioną na brzegu umywalki. Porozrzucane po domu rzeczy naszych dzieci. Te rzeczy zmieniają się z upływem czasu: wozy strażackie i lalki zmieniają się w kluczyki do samochodu i kasetki na płyty CD, wielkie adidas. Ostatnio dzieci zjawiają się tylko wtedy, kiedy przyjeżdżają do domu na krótko z college'u. Och, jestem na bieżąco, jak ktoś, kto stracił dziecko i mówi: „Gdyby żył, miałby teraz dwanaście lat”.

Kiedyś z uwagą wysłuchiwałam historii o kobietach, które znalazły kogoś późno w swoim życiu. Lecz jakże niewiele z nich nie było zamężnych przedtem. Znaleźć pierwszego partnera, gdy ma się pięćdziesiąt jeden lat, jest strasznie trudno. Nawet kobiecie naprawdę przystojnej i łatwo nawiązującej kontakty z ludźmi.

Ano tak.

Wchodzę w wieczór podobnie, jak wjeżdżam na wiejski odcinek drogi. Zaciskam ręce na kierownicy. Prostuję się. Czekam, aż się skończy. Najlepiej jest na pół godziny przed położeniem się do łóżka. Mam zdumiewający zestaw akcesoriów kąpielowych. Kupuję książki, stawiam je koło łóżka i sięgam do nich co wieczór jak do pudełka czekoladek Whitmana: wiersz lub dwa, esej, krótkie opowiadanie, a potem fragment powieści, którą zaczęłam czytać. Nie lubię kryminałów ani thrillerów. Nie lubię powieści historycznych. Wolę opowieści współczesne, z udziałem kobiet, z akcją rozgrywającą się najczęściej w kuchni. Lubię, gdy kobiety wspominają dzieciństwo, rozmawiają o swoich związkach, o otyłości i o tym, co im się śni. Lubię też smutne książki; lubiałam je od dziecka. Moją ukochaną bajką była *Dziewczynka z zapalkami*. Teraz, jak sobie o tym myślę, wydaje mi się oczywiste, dlaczego właśnie ta: dziecko, któremu źle wiodło się w życiu, dostaje wielką nagrodę - randkę z aniołem.

Nie mogę powiedzieć, że mnie źle traktowano. Chyba żeby

uznać za złe traktowanie fakt, iż jesteśmy ignorowani. Bycie ignorowanym bardzo boli. Mimo to nie siedzę w domu i nie roztkliwiam się nad sobą. Nie. Chodzę do kina, na zakupy, sama siebie zapraszam do restauracji na kolację. Czasami wybieram się do teatru albo na koncert. Raz pojechałam posłuchać Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej, ale mi się nie podobało. Kaszel był śmiertelnym grzechem. Oklaski odmierzone. A średnia wieku widowni taka, że - szczerze mówiąc - czułam się jak przedszkolak. Jeśli się chce naprawdę posłuchać muzyki, trzeba nastawić płytę, położyć się, przytulić do siebie poduszkę. Jeśli się chce, można płakać nad pięknem; to wielka przyjemność.

Pewnie powinnam postarać się o to, by chociaż mieć koleżanki. Wtedy mogłabym wychodzić z domu i razem z kimś robić różne rzeczy. A jednak, mimo że bardzo pragnęłam intymności, zawsze byłam samotna. Może kiedy tęsknota za bliskością jest tak silna jak we mnie, kiedy pragnie się czegoś głębokiego i prawdziwego, budzi się lęk przed próbowaniem. Człowiek widzi, że tutaj nie ma na to miejsca.

Gdy miałam siedem lat, matka zaprosiła kogoś, żeby się ze mną pobawił - nowa sąsiadka miała córeczkę w moim wieku. Przyszła mała dziewczynka, pobawiłam się z nią w moim pokoju przez piętnaście minut, po czym powiedziałam - grzecznie, jak mi się zdawało - „A teraz idź do domu”. Mimo zachęt mojej zażenowanej matki, nie chciałam nic robić, tylko siedziałam na schodkach i czekałam, aż ta dziewczynka sobie pójdzie. Matka gorąco przeproszała sąsiadkę, kiedy ta przyszła po swoją córkę, a po ich wyjściu wprowadziła mnie do salonu i posadziła na sofie. „Wstyd, Myra - powiedziała. - Wstyd! Co się z tobą dzieje? Nie podobała ci się ta dziewczynka?” Pamiętam, że pomyślałam: Dlaczego ona mnie o to pyta? Oczywiście, że mi się podobała. Po prostu nie miałyśmy nic więcej do roboty. Skończyłyśmy się bawić. Nie powiedziałam tego na głos. Wiedziałam, że była to niewłaściwa odpowiedź, a właściwej nie znałam. Siedziałam ze wzrokiem wbitym w kolana i liczyłam oddechy, czekając, aż matka prychnie z pogardą i wróci do sprzątanania. Wzięłam cztery wdechy. Pamiętam, bo zwykle właśnie tyle razy oddychałam, nim matka machnęła na mnie ręką.

Później też nie było lepiej. Uwagi nauczycieli w szkole

podstawowej, wypisywane w dzienniczku, obracały się stale wokół jednego tematu: „Myra jest miłym dzieckiem, ale za dużo czasu spędza sama. Bawi się obok innych dzieci, a nie razem z nimi”.

Wierzę, że u niektórych z nas wszystko mieści się najlepiej w jednej duszy. Kto wie, może za sprawą genetyki, może z powodu wychowania, a może to zwykły wykręt.

Na spacerze lubię słuchać, jak moje buty tupią o ziemię; lubię zatrzymywać się, gdzie chcę i na jak długo chcę; rzeczy, które znaczą dla mnie najwięcej, nie dadzą się wytłumaczyć. Jesienią patrzę na kolorowe drzewa i mogę tylko westchnąć, czując przyjemny ból, jakim przeszywa tak wspaniały widok. Co bym powiedziała przyjaciółce? „Spójrz na te drzewa. Prawda, że piękne?”

Czasami czuję się tak, jakbym patrzyła na siebie i myślała: samotna kobieta, kobieta żyjąca samotnie. Jestem wtedy obolała od środka. Najczęściej jednak w ogóle o tym nie myślę. Przechodzę przez dni: w sobotę gotuję na cały tydzień i płacę rachunki; w niedzielę robię pranie i szyję. Na wiosnę sadzę jednoroczne rośliny, jesienią nowe cebulki. Na urodziny kupuję sobie prezent, który musi kosztować ponad sto pięćdziesiąt dolarów. Na Halloween przebieram się za czarownicę, a Franka za kłowna, żeby otwierać drzwi dzieciakom. Rozdaję pełnowymiarowe batony, nie te oszukane dwucalowe miniaturki. (Wybrany na chybił trafił dzieciom daję ekstra duże, kinowe batony, co robi na nich tak piorunujące wrażenie, że zapominają podziękować). Na Boże Narodzenie stawiam małą choinkę, ubieram w starannie wybrane ozdoby, kładę pod spodem „Świńską Bułkę” dla Franka, a do tego kilka nowych zabawek. Gdyby ktoś w dowolnym momencie zaskoczył mnie pytaniem: „Odpowiedz szybko! Jesteś szczęśliwa?”. Odpowiedziałabym: „Hm... Tak. Myślę, że tak”.

Bardzo wcześnie kładę się do łóżka. Czasami jest zaledwie ósma, a latem niebo jest jeszcze zbyt jasne, żeby spać. Lubię poranki, obietnicę, jaką niosą, zapowiedź nieznanego. Żadnych mrocznych rachunków. Czysta tabliczka. Szansa.

Wymoczyłam się w wannie pełnej różanej piany od Crabtree and Evelyn, idę do gabinetu i sporządzam notatki o Chipie. „Procedura przyjęcia odłożona na pierwszej wizycie na prośbę

pacjenta - piszę. - Zrozpaczeni rodzice twierdzą, że pacjent odmawia dalszego leczenia po operacji. Będę pracować z pacjentem i rodziną w kierunku podejmowania realistycznych decyzji i zaakceptowania życzeń pacjenta. Będę zachęcała do jak największej samodzielności przez jak najdłuższy okres". Odkładam pióro, wpatruję się w kartkę. Jak on się czuje, budząc się w domu rodziców? Czy myśli: No tak, tu jestem. Co za koniec. Czy patrzy na zegarek? Wygląda przez okno? Czy przesuwając dłoń po rozciętej głowie, dotykając palcami szwów, i liczy je, poruszając bezgłośnie ustami, by upewnić się, że nadal to potrafi?

Idę do sypialni, kładę się i zamykam oczy, krzyżuję ręce na piersi. Język ciała. Chyba strzegę w ten sposób serca. Myślę o lunchu w Ned's Place, jak swobodnie rozmawialiśmy. Poczulałam wtedy, jakby ciężko, z trudem uchyliła się skrzypiąca brama. Poczulałam, że mogę powiedzieć wszystko. Myślę o ręce Chipa wyciągniętej za moimi plecami, gdy siedzieliśmy na ławce na placu zabaw, o tym, jak zmięklam w środku.

Może nie jestem beznadziejnym przypadkiem. Poszłam kiedyś na seminarium Berniego Siegla dla pielęgniarek i chorych na raka. Usłyszałam wówczas historię człowieka, który przyszedł do hospicjum, żeby umrzeć na zaawansowanego raka wątroby. Kiedy jednak tam się znalazł, jego stan się polepszył; w końcu pacjent powiedział, że już nie chce przebywać w hospicjum, chce wrócić do domu i pracować w ogrodzie. I tak zrobił. Po trzech latach guz znikł bez śladu.

Ale to nie był guz mózgu. A może to samo mogłoby się zdarzyć z guzem mózgu. Nie rozumiemy wszystkiego. Tak naprawdę nic nie rozumiemy.

Wsuwam się do pościeli, zaczynam zasypiać i raptem podrywam się, zbudzona brzęczykiem telefonu. Odbieram i słyszę Chipa wymawiającego moje imię. Niech to nie będzie sen, myślę. To nie sen. Chip pyta, czy moglibyśmy coś razem zjeść, a potem pyta, czy umiem upiec placek.

- Jaki placek? - Ściskam słuchawkę i uśmiecham się tak radośnie, że muszę przygryźć wargę, żeby nie roześmiać się w głos.

- Cytrynową merengę.

- Lubisz bardzo kwaśny?

- Taki jest najlepszy.

- Moglibyśmy upiec. Według przepisu cioci Lali, z kwaskiem cytrynowym, to był jej tajemniczy składnik. Już kiedyś piekłam taki i zjadłam wszystko sama w ciągu trzech godzin.

- Tym razem podziel go na pół.

- Tym razem?

- Na przykład jutro, co ty na to? Moglibyśmy upiec ten placek u ciebie na kolację, a potem pójść do kina.

- No cóż... - Tak, tak.

- Myra, muszę stąd wyjść. Muszę pójść gdzieś, gdzie nie będzie tak... ciężko. Mogłabyś mnie „ocenić” u siebie w domu? Moglibyśmy to zrobić? Dlaczego nie możemy robić wszystkiego u ciebie?

Dlaczego? Bo to jest nieprofesjonalne. Bo to wyłączy jego rodziców, a oni są częścią mojego planu opieki. Bo to pogorszy to, co dzieje się ze mną. - Dobrze - mówię.

- Powiedz, o której mam przyjść. I gdzie mieszkasz.

Nie wolno mu prowadzić samochodu. Z pewnością go poinformowano. Może mieć atak, to po pierwsze.

- Przyjadę po ciebie, kiedy skończę objazd pacjentów. Jest mi po drodze. - Oczywiście wcale nie jest. - Będę koło piątej.

- Świetnie. Myra?

- Tak? - Może powiedzieć wszystko. Ach, te cudowne niespodzianki. Może powiedzieć cokolwiek.

- Mam problem z... mam zatwardzenie.

- Och!... A widzisz? Gdybyś pozwolił mi przeprowadzić wczoraj rozmowę wstępną, to byśmy to odkryli.

- Przepraszam.

- Masz Colace, prawda? To jeden z twoich leków?

- Tak.

- I bierzesz go?

- No cóż...

- Weź dziś wieczorem wodorotlenek magnezu. Weź też Colace, a potem nie przestawaj go brać. Masz kłopoty przez kodeinę, to cię zatyka. - Dobrze. Przepraszam, że... wiesz.

- Drobiazg. Jestem twoją pielęgniarką.

- Jesteś czymś więcej. Czuję, że jesteś moją przyjaciółką. Czasami można przeżyć jednocześnie wzlot i upadek ducha.

- Hm... Tak. Jestem twoją przyjaciółką.

- A więc do zobaczenia jutro rano.  
- Nie, Chip. O piątej po południu.  
- Ach. Rzeczywiście. Widocznie chciałem, żeby to było rano.  
Głupi wskaźnik podjeżdża w górę.  
- Myra?  
- Tak?  
- Chciałem tylko powiedzieć, jaka to ulga, że to właśnie ty będziesz się mną opiekować, kiedy będę... to wszystko przechodził. To wielka niespodzianka i ulga.  
- No cóż.  
- Mówię szczerze. Jesteś taka... dobrze z tobą być.  
- Dziękuję. - Cóż innego mogę powiedzieć. Rozłączam się, patrzę przez okno na niebo, blady błękit zaciągnięty ciemnymi barwami zmierzchu. Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy następnego dnia. Mogę przysiąc. Chip też. Każdy może przysiąc. Jakże przytłacza czasem myśl, że tak naprawdę wszyscy płyniemy tą samą dziurawą łódką.  
Leżę chwilę spokojnie, patrząc na nadchodzący mrok, a potem wstaję i zapalam wszystkie światła.  
Upiekę placek. Zrobię Chipowi niespodziankę. Wszystko będzie gotowe, żeby nie musiał na nic czekać. Żebyśmy mieli więcej czasu dla siebie.



Dzisiejsze wizyty przebiegają bez zakłóceń. Tiffany wspaniale się spisała w mieszkaniu Rose - wyniosła wszystkie śmieci, zaopatrzyła lodówkę, zrobiła pranie, nawet umyła i zakręciła włosy Rose. Oczy Ann Peters poprawiają się, a jej córka zgodziła się podawać krople w weekendy.

Fitz Walters kupił kapelusz z czerwonym piórkiem i jest taki szczęśliwy z powodu tego drobiazgu, że aż się to udziela.

- Kiedy się w tym pokażę, panie wstrzymają oddech z podziwu - powiedział, prezentując się z dumą i kokietując mnie. Przeszedł przez pokój, trochę Fred Astaire i trochę Chuck Berry.

- Jakim paniom? - pytam. Chichocze.

- Fitz?

- Daj spokój - prosi, machając ręką.

- Nie, naprawdę. O jakich paniach mówisz? O tych z kościoła?

- Och, dokuczasz mi. Tak, lubisz mi dokuczać. Wiesz, o kim mówię! O Salonie Kociaków, o tamtych paniach. No wiesz.

- Tak, wiem. Zwalisz je z nóg, Fitz, wyglądasz w tym kapeluszu jak gwiazdor.

- To samo powiedział gość, który mi go sprzedał! Twierdził, że wyglądam jak Sidney Poitier.

- Właśnie tak. - Mierzę mu ciśnienie. Nieco wyższe niż zwykle, lecz to z radości. Spytam go kiedyś, czy mogę wybrać się z nim do tego salonu. Spróbuję odróżnić to, co prawdziwe, od silikonu. On wprawdzie nie widzi, ale może chciałby wiedzieć.

DeWitt był spokojny, bo wciągnęła go kieszonkowa powieść z oddartą okładką. Wolał ją czytać, niż rozmawiać ze mną. Świetnie się złożyło, bo się spieszyłam. Spytałam jednak, o czym jest książka.

- Jesteś na to za młoda - odpowiedział.

Wczesnym popołudniem podjeżdżam pod dwupiętrowy dom Marvelous, spostrzegam starannie wygrabione podwórko i zamieciony ganek - jak zwykle. „Jakie ja mam szczęście” -powtarza ciągle, siedząc w małym mieszkanku na drugim piętrze. W środku jest wysprzątane, chociaż na zewnątrz dom dosłownie się sypie. Ogromna aksamitna makata z Elvisem wisi nad fotelem, w którym Marvelous czyta, na kuchennym stole w szklance po galaretkę stoją czerwone plastikowe kwiaty. W łazience dywanik, kłapa sedesu i przykrycie zbiornika z wodą są różowe. Na ścianie sypialni mnóstwo zdjęć: nieżyjącego od dawna męża, dzieci i wnuków. Podłogi lśnią; w skrzynkach na oknach pełno fioletowo-białych petunii. Marvelous ma stare, stojące na podłodze radio i telewizor, który słabo odbiera. Pewnego dnia zobaczyłam rozłożone na podłodze części bardzo ładnego wideo, ale na drugi dzień znikły. O nic nie pytałam. Wiedziałam. Jej trzydziestoletni syn Rodney zarabiał na życie niezupełnie zgodnie z prawem.

Nigdy nie słyszałam, żeby Marvelous wyrzekała na to, co musi znosić: uprzedzenia, biedę, chorobę. Tylko raz widziałam ją złą, gdy mówiła o bogatej rodzinie, u której kiedyś sprzątała. „Boże, jak oni narzekali - powiedziała. - Opływali w dostatki, a jęczeli od chwili, kiedy wysuwali rano nogę z łóżka, aż do chwili, kiedy znów się w nim kładli. Czasami miałam ochotę im przygadać: «Hej, wy, wiecie, co wam powiem? Brakuje wam czegoś w duszy, to jasne jak słońce, brakuje wam, i to bardzo». Ale oni mnie nie słuchali. Nie dostrzegali. Zagadywali (tu zaczęła mówić wysokim, afektowanym głosem): «Och, Marvelous, jak ty to robisz, że ta toaleta tak błyszczycy!». Jakby nie mogli sami na to wpaść. Jakby byli głupi. I jakbym ja miała być dumna, że mam talent do sprząta-

nia toalet! Powiem ci, dlaczego chodzili i patrzyli na moją pracę, zanim poszłam, i piali z zachwytu. Rozglądali się, czy czegoś nie wzięłam".

Dzisiaj idealnie doczepiła torebkę do sztucznego odbytu, jak w ciągu ostatnich dwóch dni; tak naprawdę nie mam już przy niej nic do roboty. Wszystko rozumie; wie, do kogo zadzwonić po pomoc, gdyby były jakieś kłopoty.

Mierzę jej ciśnienie, a potem siadamy razem przy stole w kuchni i pijemy mrożoną herbatę. Daję Marvelous przepis, o który prosiła, zaznaczam, że imbiru dodałam o połowę więcej.

- Mam złą wiadomość, Marvelous - mówię na koniec. -Przynajmniej dla mnie. Nie muszę już do ciebie przychodzić. Jesteś ekspertem. Mogłabyś uczyć innych.

- Ano mogłabym - odpowiada z uśmiechem.

- Przeszanę cię odwiedzać. Jako pielęgniarka. Ale mam nadzieję, że mogę przychodzić jako przyjaciółka.

- Oczywiście, że tak. Jesteś moją przyjaciółką. Od pierwszego dnia, Myra. Od razu cię polubiłam. Nie jesteś fałszywa jak tylu ludzi.

- No cóż. Marszczy czoło.

- Wiesz, czego powinnaś się nauczyć? Przyjmowania komplementów.

- Chyba tak. Dziękuję.

- Musisz wpuścić do środka światło.

- Tak... zgadzam się. Rozgląda się po kuchni, wzdycha.

- Dziś przychodzi mój syn. Chyba wykorzystam ten przepis od ciebie. Nie wiem, co zrobić z tym chłopakiem. Kłopoty. Twoje szczęście, że nie miałaś dzieci. Rozwalają matce serce.

- Nic o tym nie wiem. Cieszyłabym się, gdybym miała dzieci.

- No to najpierw trzeba postarać się o mężczyznę. Znalazłaś już jakiegoś?

Patrzę na nią bez słowa.

Otwiera szeroko oczy; odstawia herbatę. Od dnia, kiedy ją poznałam, pyta mnie o mężczyznę. A ja zawsze odpowiadałam, że nikogo nie mam. Mówiłam też, że właściwie nikogo nie chcę. Ale dzisiaj jest inaczej.

- O retyyyyyyyyyy! - wykrzykuje. - Panna Samotne Serce wreszcie złapała rybkę na haczyk.

- To nie tak.

- Masz gorączkę, dziewczyno, para bucha ci uszami. Wystarczyło, że o nim pomyślałaś i całkiem się odmieniłaś.

- Daj spokój, Marvelous, to nie jest aż tak oczywiste. Obraca się na krześle, wskazuje róg szafki.

- Widzisz ten toster?

- Tak.

- Idź i się w nim przejrzyj. Śmieję się.

- Serio! Pomyśl o tym mężczyźnie, a potem idź i się przejrzyj.

Przestaję się uśmiechać, gapię się w herbatę, mieszam ją palcem.

- Chcesz mi o nim opowiedzieć?

- Och, Marvelous, to nie jest normalne. On jest moim pacjentem. W dodatku bardzo chory. Nie powinnam żywić do niego takich uczuć.

- Kochanie, nie ma żadnego „powinnam”, gdy w grę wchodzi uczucia. Nie ma nic złego w tym, że coś czujesz! Widziałaś *West Side Story*?

- Tak.

- Pamiętasz piosenkę o tym, że „kiedy mocna miłość nadchodzi, nic jej nie może zaszkodzić”? Prawda jest prosta jak drut, Myra. - Nachyla się, zagląda mi głęboko w oczy, prostuje się i ze śmiechem klepie w kolano. - O tak. Nic nie poradzisz, miłość chwyta cię za gardło i powala na podłogę. Ani trochę nad nią nie panujesz. - Poważnieje. - Ale to jest dobre. Dobre.

- Ty też tak się czułaś, Marvelous? Czułaś to do męża?

- Geralda?

- Tak.

- O słodki Jezu! Jak najbardziej. - Wstaje, otwiera lodówkę. - Mam sałatkę z makaronem. I hot dogi.

- Tak - mówię. - Dziękuję. - I czekam, aż mnie nakarmi.

Później tego popołudnia jadę na stację benzynową, żeby odsłuchać przez telefon, czy ktoś się nagrał na moją sekretarkę. Są dwie wiadomości. Jedna od lekarza Rose, z poleceniem

zwiększenia dziennej dawki insuliny. Druga od Diann Briedenbach. Stoję bez ruchu, patrzę, jak dobrze ubrany mężczyzna tankuje benzynę do swojego samochodu, jednocześnie podziwiając mój, i słucham ściszonego głosu Diann. „Myra! Tu Diann Briedenbach! Dawno się nie widziałyśmy, co? Jak leci? Słuchaj, dzwonię, bo Chip powiedział, że mogę się u ciebie zatrzymać, gdy przyjadę go odwiedzić. To bardzo miło z twojej strony! Chciałabym omówić z tobą parę spraw. Mogłabyś do mnie zadzwonić? Kiedy ci wygodnie. Naprawdę, o każdej porze”. Podaje swój numer, ale go nie zapisuję. Nagrana wiadomość może przepaść. Zdarzają się różne awarie. Dobrze, że wyszłam dziś z domu wcześniej niż zwykle - zadzwoniła zaraz po moim wyjściu.

Chip już czeka na schodach przed domem, gdy po niego przyjeżdżam. Jest ubrany w białą koszulę z podwiniętymi rękawami, niebieskie dżinsy i biało-granatową chustkę. Zatrzymuję się przy krawężniku, Chip podchodzi od strony kierowcy, nachyla się i taksuje samochód władcym spojrzeniem mężczyzny.

- Niezła bryka!

- Tak jest. - O Boże, ta woda kolońska. Czy ona coś znaczy?

- Wczoraj go nie zauważyłem.

- Stał tutaj.

Obchodzi samochód, idąc do drugich drzwi, wsiada, odsuwa fotel.

- Okay. Pojedźmy do Wenezueli.

- Najpierw zapnij pas.

- A gdybyśmy mogli tam pojechać, chciałabyś? Patrzę na niego.

- Czuję się, jak ten facet, któremu zostało pół roku życia

i wystąpił w programie telewizyjnym. Pamiętasz? Na pierwszy rzut oka zdrów jak ryba, ani chwili nie usiedział w miejscu, chciał żyć do samej śmierci. Życie to znaczy używać życia. Tyle, że on wcale nie umarł.

- Tak. Pamiętam ten program.

- Oczywiście tamten facet nie musiał połykać czterdziestu pigułek dziennie, nie miał dziury w głowie i wszystko pamiętał.

Nie odpowiadam, poprawiam się w fotelu.

- No to co? Pieczemy placek?

- Już go upiekłam.
- Naprawdę?
- Tak. I mam talerze, które idealnie do niego pasują. Biało-żółte.
- Moglibyśmy go zjeść prosto z formy, raz ty kawałek, raz ja.

Zatrzymuję się na czerwonym świetle, uśmiecham do Chipa. Światło się zmienia, ruszam szybciej niż zwykle. O wiele szybciej.

Chip śmieje się.

- Wspaniale.

Potem siedzimy w milczeniu i słuchamy radia, pogrążając się we własnych, osobnych fantazjach, aż dojeżdżamy pod mój dom. Stoi przed nim czerwony lexus, z którego wysiada wysoka kobieta.

- Ciekawe kto to - mówię, a jednocześnie Chip woła: -Diann!

Rusza w naszą stronę, kiedy wjeżdżam na podjazd. Macha wesoło. Ma okulary przeciwsłoneczne w szylkretowej oprawie, włosy (czarne, przetykane siwizną) ściągnięte niedbale i upięte na szczycie głowy. Jedwabne spodnie i bluzka są turkusowe jak woda w basenie, narzucony na nie biały płócienny blezer ma podciągnięte rękawy. Na jednej ręce Diann lśni szeroka srebrna bransoleta, na drugiej drogi zegarek. Przy uszach srebrne koła. Espadryle. Ładna pleciona torebka. Podchodzi do mnie w chwili, gdy wygramoliłam się z samochodu, ściąga okulary, uśmiecha się. Widzę jej niebieskie oczy. Ach te oczy. Widzę proste białe zęby. Nic nie straciła ze swojej urody. Podajemy sobie ręce.

- Myra Lipiński - mówi z naciskiem, chociaż już na mnie nie patrzy.
- Ładny samochód! - dodaje, ale na auto też nie patrzy.

Z domu dobiega wściekłe ujadanie Franka, który przez dwa dni z rzędu został sam w domu. Jutro pojedzie ze mną. Jutro wszystko wróci do normy.

Podciągam przewieszoną przez ramię pielęgniarzką torbę.

- Właśnie mieliśmy jeść placek - mówię. - Upiekłam... placek. Proszę.

Wchodzę pierwsza, sama. Oni idą za mną, razem. Jeszcze nigdy tak się nie wstydziłam siebie widzianej z tyłu.

Ethel Schwartz ugotowała dla Franka trzy kości. Dwie zawinęła w chanukowy papier i zamroziła, żeby „zachowały się”, aż wrócimy do domu; trzecią dała mu przed chwilą. Frank idzie do kąta kuchni, gdzie wolno mu przebywać, zadowolony rozciąga się na podłodze i patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Rób swoje, mnie nic nie potrzeba”.

- Czy mogę cię prosić o chwilkę na osobności, zanim przygotujemy pigułki? - pyta Ethel, ściskając moje ramię i mówiąc cichym, drżącym głosem przez zaciśnięte zęby. Często zaciska zęby, kiedy mówi; jeżeli tego nie robi, postukuje sztuczną szczęką. Ilekroć przypominam, że powinna oddać do naprawy niedopasowaną szczękę, zbywa mnie machnięciem ręki i odpowiada: „Moje zęby powinny być moim największym problemem”.

Co tydzień prosi mnie o „chwilkę na osobności”. Następnie jej mąż, Murray, spędza ze mną „chwilkę na osobności”. Na koniec siadamy przy stole w jadalni, gdzie gniewają się po cichu i nie patrzą na siebie, a ja tymczasem wykładam kilkadziesiąt pigułek, które będą musieli wziąć w nadchodzącym tygodniu. Układam je w Medi-Minders, plastikowych pudełkach z przegródkami, które utrzymują w porządku przynajmniej życie farmaceutyczne małżonków. Mąż ma pudełko niebieskie. Żona różowe, przybrane kwiatkami wyciętymi z katalogów nasion, perełkami, różowymi kryształkami górskimi i wstążeczkami.

Ethel woła w korytarzu w stronę sypialni Murraya, że już przyszedłam, i wprowadza mnie do swojego pokoju. Ciężkie zasłony są zasunięte, zawsze jest tu ciemno jak w jaskini. Ethel zapala lampę przy nocnym stoliku i siada na łóżku, a ja jak zwykle na stojącym w kącie krześle w stylu królowej Anny. Cztery koronkowe poduszki układam sobie na kolanach, żeby dotknąć plecami oparcia.

Ethel zakłada nogę na nogę i ze znużeniem ogląda paznokcie, malowane raz na tydzień na ciemnoróżowo przez przychodzącą do domu manikiurzystkę. Wzdycha i mówi:

- Powiadam ci, Mary, nie wiem, czy dłużej wytrzymam, on mnie doprowadza do szału.

- Myra.

- Co?

- Mam na imię Myra.

- Ach. Rzeczywiście. Myra. Myra, to naprawdę zaszło za daleko. Posłuchaj tylko: wczoraj złapał za zasłony w salonie, a nie muszę chyba dodawać, że to bardzo drogie zasłony, szyte na zamówienie, no więc złapał za zasłony, szarpnął je i przytwierdził taśmami do ściany. Bóg mi świadkiem, że przykleił je taśmami do ściany! „Murray, do diabła, co ty wyprawiasz?!“ - krzyczę. Wiesz, co odpowiedział? Wiesz, co on na to?

Wpatruje się we mnie, mruga dwa razy.

- Co powiedział? - pytam wreszcie. Lubi, kiedy w ten sposób biorę udział w rozmowie. Czuje wtedy, że jestem po jej stronie.

- Nic nie powiedział. Uwierzysz? Ani słowa. Rozsuwa zasłony, przykleja je do ściany, a potem siada w fotelu, bierze ten cholerny „Golf Digest“ i nic, milczy!

- Hmm. - Trochę boli mnie krzyż. Zmieniam pozycję.

- Mówię do niego: „Murray, zwariowałaś? Co ty wyprawiasz? Jeżeli chcesz rozsunąć zasłony, to je rozsuń. Po co ta taśma? Zwyczajnie rozsuń zasłony“. I wiesz, co on na to?

- Nic?

- O nie. Skądże znowu. Szkoda, że nie słyszałaś, wielka szkoda. Najpierw naskakuje na mnie, że zaraz znów je zasunę. Zaczyna wrzeszczeć: „Tu jest za ciemno! W całym domu jest za dużo zasłon!“. Powiedz sama, po co są zasłony? No po co są zasłony? Zaciąga się je, żeby mieć więcej prywatności! Wtedy



rozdiera się na całe gardło. Za dużo dywaników, za dużo bibelotów, wiesz przecież tak samo jak ja, że dzięki temu dom staje się prawdziwym domem, a on krzyczy, że czuje się, jakby był uwięziony w sklepie ze starzyzną, że nie może się ruszyć. Daję ci słowo, Mary, musieli go słyszeć wszyscy sąsiedzi. Pomyśl, jak się czuję, kiedy ich potem spotykam. Wyobrażasz sobie, jak podeptał moją godność? A to jeszcze nie wszystko. Z kolei uczeplił się mojej kolekcji lalek, która znaczy dla mnie o wiele więcej niż on. Nie zawadza mu, w żadnym razie nie może powiedzieć, że mu zawadza, wiesz, że trzymam moje kochaneczki w zamkniętej skrzyni w jadalni, ale on wrzeszczy i z tego powodu, co to jest, żeby dorosła kobieta miała sześćdziesiąt pięć lalek. Ja mu na to: „Znasz Demi Moore, tę aktorkę, za którą tak szalejesz?”. Nie spojrzalaby na niego, nawet gdyby jej dał milion dolarów. No więc mówię do niego: „Demi jest bardzo poważną kolekcjonerką lalek! Szaleje na punkcie Gene Marshall, a to jedna z pierwszych, które nabyłam!”. - Poprawia się, podciąga ramiączko stanika. - Jak myślisz, co mi wtedy powiedział? Zerkam na zegarek.

- No już dobrze, dobrze - mówi. - Zrozumiałam aluzję. Wiem, że jesteś zbyt zajęta, żeby mnie wysłuchać.

Teraz poczułam się źle. To tylko staruszka, która miała marzenia, a życie ją rozczarowało. Wiem, że co wieczór wyjmuję jedną z lalek-dzieci i kołysze ją do snu. Murray opowiedział mi kiedyś o tym, narzekając na żonę.

- Nie, Ethel. Myślałam o tym, że musi ci być bardzo przykro, kiedy...

- Rzecz w tym, Marsha, teraz będę się streszczać, rzecz w tym, że jemu się miesza w głowie. Rozumiesz? Zwyczajnie i po prostu. Dostał kuku na muniu. Nagle uważa, że wszystko robię źle: kanapkę ma przekrojoną prosto zamiast po przekątnej, kupuję niewłaściwy detergent, niby on zna się na detergentach! Parkuję to za blisko krawężnika, to za daleko. Chce, żebym przestała używać perfum, których zawsze używałam, a przecież to mój zapach, odkąd sam mi je dał! - Nabiera powietrza, przygląda mi się. - Ma Griffę, nie wiem, czy znasz.

Potrząsam głową.

- To czysty, klasyczny zapach, a teraz on twierdzi, że mu przeszkadza. Sam zlewa się butelkami taniej wody kolońskiej.

Nosi tę samą bieliznę kilka dni z rzędu, nie żartuję, muszę ją z niego na siłę ściągać! Powiadam ci, a bardzo przykro mi to mówić, że trzeba by go umieścić w zakładzie.

Nie mam pojęcia, co jej rzec. Jestem zmęczona, za krótko spałam. Leżałam na łóżku, przeglądając w myślach głupstwa popełnione ostatniego wieczoru. Przyjrzałam się sobie ze wszystkich stron, tak jak EKG przygląda się sercu, bez współczucia.

- O to jedno cię proszę: czy mogłabyś przyjrzeć mu się dzisiaj z bliska? Może zauważysz coś, o czym powinien się dowiedzieć twój zwierzchnik. O nic więcej nie proszę.

- Oczywiście. Przyjrzę mu się.

- Chcesz rokiety, zanim zaczniemy? Jest świeża. Dziś rozmroziłam.

- Nie, dziękuję. Zjadłam wczoraj dużo placka. - Sześć kawałków, szczerze mówiąc.

- Jak sobie życzysz - odpowiada nieco urażona, jak zwykle, gdy odmawiam przyjęcia poczęstunku. Otwiera drzwi pokoju, krzyczy do Murraya, że chciałabym porozmawiać z nim chwilkę na osobności, odwraca się i patrzy na mnie znacząco. W taki sam sposób patrzy na mnie Murray, kiedy wchodzę do jego pokoju.

- Dostaję przez nią bzika - szepce, zamykając za sobą drzwi.

O wpół do piątej wracamy z Frankiem do domu. Dochodzi nas szum wody z prysznic. Nikt prócz mnie go nie używa, więc dziwnie się czuję, wiedząc, że woda leci dla kogoś innego.

Siadam na sofie, szum cichnie, skrzypią drzwi do łazienki. Przyjemnie jest przyjść do domu i usłyszeć odgłosy obecności drugiego człowieka, ale jest to jednocześnie lekko irytujące, jak telefon od milej osoby akurat wtedy, gdy zamierzasz zasiąść do smacznego posiłku. Czy rzeczywiście chcę akurat teraz słyszeć szum prysznic? Czy chcę z kimś rozmawiać? Szczerze mówiąc - nie. Chcę zrobić notatki z dzisiejszych wizyt, a potem zadzwonić do lekarza prowadzącego DeWitta i zawiadomić go, że będę musiała odwiedzać pacjenta jeszcze co najmniej przez tydzień lub dwa. Mogę oczywiście to robić, ale czuję jakieś skrępowanie.

Kiedy tak siedzę i dyskutuję sama ze sobą na temat swobo-

dy poruszania się we własnym domu, Diann schodzi na dół. Po chwili staje przede mną w długiej, białej letniej sukni, bosa, z mokrymi włosami, bez makijażu. Wygląda jak modelka z reklamy w magazynie. Frank podrywa się, podbiega i siada na jej stopach.

- Frank! - karczę go.

- Och, on mi nie przeszkadza. - Drapie go za niewiernymi uszami. - Jesteś kochany, wszystkich kochasz, prawda? - przemawia do niego.

- Trochę przesadza z okazywaniem czułości.

- Ale to miłe! - Diann kuca, przytula go, a potem podchodzi i siada koło mnie na sofie. Frank nie odstępował jej, kładzie się obok. I kto w tym domu kupuje cholerne psie kielbaski? - myślę.

- Boże! - mówi Diann. - Tak się cieszę, że to ty! Myślałam, że przyjdiesz później. Brałam prysznic i usłyszałam, że ktoś wchodzi, więc szybko wyszłam. - Uśmiecha się. - Wiesz, jak to jest. Nikt nie chce stać pod prysznicem, kiedy przychodzi morderca.

- Lepiej robić w kuchni lasagne - wtrącam.

- Słucham?

- To żart. Nie najlepszy.

- Aha.

- Dałam do zrozumienia, że to rzeczywiście miałyby znaczenie, gdzie jesteś, gdyby wszedł morderca.

- Aha! Rozumiem. To śmieszne.

- Boja wiem. Nie bardzo.

Krótką chwilą. Napięcie między nami. W końcu odzywa się Diann:

- Chciałam ci podziękować za to, że pozwoliłaś mi się tu zatrzymać.

- Bardzo proszę. Nie ma sprawy.

- Nie zdążyłam powiedzieć ci tego wczoraj. Tak szybko wyszłaś.

Frank wreszcie odrywa się od Diann, przychodzi i zwała się ciężko koło mnie. Mam chęć dać mu klapsa, ale nie daję, tylko go głaszczę.

- Musiałam załatwić kilka spraw. I pomyślałam, że tobie i Chipowi będzie miło spędzić trochę czasu we dwoje.

Kiwa głową.

- Było miło.

Dzwoni telefon. Z ulgą idę odebrać.

- Hej! - mówi Chip.

- O, cześć. Zaczekaj, ona tu jest.

- Chwileczkę, Myra! Dzwonię do ciebie! Dlaczego wczoraj wyszłaś? Milczę.

- Wiem, że ona tam jest. Czy wyszłaś z powodu Diann?

- Ależ nie. Nie.

- Żałuję, że wyszłaś.

- Okay. - Nie wiem, co powiedzieć. Ja chyba też żałuję, że wyszłam, to tylko pogorszyło sprawę. Ale czułam się tak głupio. Siedzieliśmy przy stole, jedliśmy placek i Diann spytała, dlaczego zostałam pielęgniarką. Chciałam powiedzieć coś błyskotliwego i inteligentnego, a jak zaczęłam, to nie mogłam przestać, mówiłam jak ktoś bardzo spragniony towarzystwa. Mówiłam o tym, kim jestem.

Wspominałam rok, kiedy skończyłam piętnaście lat. Moja matka poszła wtedy do szpitala na operację usunięcia macicy. Wdała się brzydka infekcja, więc przedłużono jej pobyt. W sąsiednim pokoju leżał szesnastoletni chłopiec umierający na jakąś potworną chorobę. Widziałam jego nogi, mijając uchylone drzwi. Były chude i bardzo blade, spoczywały na owczej skórze, niczym nieprzykryte. Zawsze w tej samej pozycji, zawsze nieruchome. Dowiedziałam się, ile ma lat i na co choruje od jednej z pielęgniarek matki. „To bardzo smutne - powiedziała. - Zwłaszcza że przez jakiś czas wyglądało, iż się z tego wygrzebie”.

„Gdzie jego rodzina?” - spytałam, a ona odparła, że zawsze ktoś z nim jest. Czasem jedna osoba, czasem dwie, ale zawsze ktoś jest.

„To dlaczego z nim nie rozmawiają?” - zdziwiłam się. - „Nie słyszę żadnych głosów”. Moja matka, zakłopotana, zabroniła mi zadawać więcej pytań. Pielęgniarka odparła, że nic nie szkodzi, że ciekawość jest rzeczą naturalną, lecz na moje pytanie nie odpowiedziała.

Pewnego dnia, przechodząc obok pokoju chłopca, pchnęłam drzwi, aż otworzyły się szeroko i mogłam wszystko zobaczyć. Kobieta siedząca przy jego łóżku nie zauważyła mnie; krzesło stało zwrócone oparciem w stronę drzwi. Chłopiec nie

spał, a gdy światło z korytarza wpadło do pokoju, odwrócił się do mnie. Był łysy. Jego chuda twarz wyrażała straszliwą tęsknotę. Przełknęłam ślinę i uniosłam rękę w milczącym pozdrowieniu. Nie odrywał ode mnie wzroku; potem powoli uniósł dłoń, odpowiadając na moje pozdrowienie. Kobieta odwróciła się, zobaczyła mnie i podeszła, żeby zamknąć drzwi. Mogła być jego babcią. Trzymała w ręku robótkę, jasnoniebieski sweter. Zastanawiałam się, czy robi ten sweter dla niego. Pomyślałam: To okropne, jeżeli dla niego, bo nigdy nie będzie go nosił. A potem: To okropne, jeżeli nie dla niego, bo pokazują mu w ten sposób, że postawili na nim krzyżyk.

Napisałam do niego list. „Nazywam się Myra i mam piętnaście lat. Przychodzę codziennie odwiedzić matkę, która leży w sąsiednim pokoju. Jeżeli chcesz, ciebie też odwiedzę. Przyniosę karty i tranzystor. Może pozwolą ci wyjechać na dwór na wózku”.

Matka zdenerwowała się, kiedy powiedziałam jej o liście. „Po co to robisz?” - spytała. - „Właśnie ty. Panna Nietowarzyska”. Nie mogłam jej tego wyjaśnić, bo skoro zadała takie pytanie, nie zrozumiałaby odpowiedzi. Chłopiec był w moim wieku! Żył zamknięty w małym pokoju, obsługiwany przez personel szpitala i członków rodziny, którzy prawie wcale się nie odzywali. Nie odbierał od nikogo telefonów, nie nastawiał płyt na gramofonie, nie czytał książek, nie pływał ani nie oglądał do późna w nocy horrorów z potworami. Nie wdychał zapachu świeżo skoszonej trawy ani nie chodził na bosaka po rozgrzanym chodniku. Nie odwijał powoli opakowania ze snickersa i nie wachał go przed ugryzieniem; nie chodził na mecze ani nie pływał. Dzień po dniu leżał w pokoju ze spuszczoneymi roletami i ciszą wiszącą w powietrzu niczym mgła. Jak można było widzieć to i nic nie zrobić?

Nie dostałam odpowiedzi na list, więc wysłałam następny. Tego już nie przeczytał, bo umarł. Dowiedziawszy się o tym, zamknęłam się w szpitalnej łazience, żeby się wypłakać. Przynależało mi wtedy, że już nigdy w takiej sytuacji nie pozostanę bezradna. Że w przyszłości będę mogła wejść do pokoju każdego chorego i go pocieszyć, zwłaszcza wtedy, kiedy rozpaczliwie potrzebuje pocieszenia i na pewno je przyjmie.

Mówiłam niczym w transie o tym, jak po szkole średniej postanowiłam pójść do szkoły dla pielęgniarek i jaką przyjem-

nością była dla mnie każda spędzona w niej chwila. Nauka o budowie i funkcjach ciała była źródłem bezustannego zdumienia. Czyż mogło nie dziwić przenoszenie obrazu przez oko? A czujność mózgu? Elegancja szkieletu? Mroczne tajemnice hormonów? Specjalizacja tkanek mięśniowych? Opowiadałam o podziwu godnym trudzie serca; o skomplikowanej równowadze układu oddechowego; o zależności nerwów od osłonki mielinowej; o szybkiej wędrówce czerwonych ciałek krwi po sześćdziesięciu tysiącach mil układu krążeniowego.

To właśnie mnie, jeszcze studentkę, wzywano do podłączenia kroplówki, kiedy nie było komu tego zrobić. Szybciej od innych wprowadzałam rurkę do nosa: nie miałam jeszcze dwudziestu lat, nosiłam koński ogon, moje doświadczenie życiowe równało się zeru, a to właśnie ja wsuwałam rurkę do niewinnego nosa, gdy pacjent - przed chwilą pełen godności, a teraz z niej odarty - siedział prosto we wzorzystym bawełnianym fartuchu, z zaciśniętymi rękami i łzawiącymi oczami, pokładając we mnie zaufanie. I wybacząc mi.

Sama siebie zaskoczyłam, że tak dobrze sobie radzę w praktyce. Wiedziałam, że zrozumie cierpienie. Wiedziałam, że będę chciała i umiała ulżyć w cierpieniu. A stronę techniczną opanowałam - zrozumiałam to z czasem — dzięki katalitycznemu działaniu miłości.

W czasie tej przemowy wpatrywałam się w ścianę jak zahipnotyzowana. Jakbym mówiła do siebie, opowiadając film z własnego życia. Potwierdzając je i uwierzytelniając. Wyznałam, że moja praca uratowała mnie przed tysiącem piekieł, nie wyobrażałam sobie, żebym znalazła coś, co bardziej by mi odpowiadało. Praca dawała mi niewymiernie dużo, tak dużo, że nie sposób wyrazić tego słowami.

Raptem ocknęłam się z transu. Zapaliły się światła. Popatrzyłam na Chipa, potem na Diann. Przyglądali mi się w milczeniu. Wymówiłam się, że muszę załatwić parę spraw,  
i uciekłam.

Wstąpiłam do księgarni, napiłam się kawy i aż do zamknięcia czytałam magazyny. Później wybrałam się na przejażdżkę. W sklepie otwartym przez całą noc kupiłam ajax, pomarańcze i nasiona słonecznika do karmnika dla ptaków.

Kiedy wróciłam, w domu było ciemno i cicho - Chip poszedł, jak się domyśliłam, a Diann spała. Wypuściłam Franka

na ostatnie siusiu, wyjęłam z lodówki placek, zabrałam go ze sobą do łóżka i skończyłam. Potem leżałam, nie mogąc zasnąć aż do czwartej. Rozmyślałam, jak to czasami otwiera się szafę, do której upchnięto za dużo rzeczy, i wszystko naraz wypada. I o tym, że w pracy moje ręce dotykają tego, czego inni nie śmieliby dotknąć, ale i o tym, że ludzie nie znoszą szpitali i nie lubią, gdy im się przypomina, co tam się dzieje. Pamiętam, miałam wtedy dwanaście lat i pewnego razu jadłam kolację w domu koleżanki. Kiedy skończyłam, koleżanka powiedziała: „O, ależ byłaś głodna”, jej mama ją uciszyła, a ja nagle bardzo się zawstydziałam. Myślałam o tym, jak Chip i Diann przyglądali mi się, pamiętałam chłodny błękit ich oczu, ich odrębność i oddalenie ode mnie i od takich osób jak ja. Przyciskam telefon do ucha i słyszę Chipa:

- Wiesz, że Diann miała przyjechać po mnie, żeby mnie przywieźć do was? Rodzice pytają, czy zechciałabyś przyjechać dzisiaj tutaj. Tylko dzisiaj. Chcą zadać ci kilka pytań na temat leczenia.

- Oczywiście. - Kątem oka dostrzegam nogi Diann. Założone jedna na drugą. Równo opalone. Czy ona nie wie, że nie powinna leżeć na słońcu? Chociaż może to ten krem, jest taki opalający krem, bez skutków ubocznych. Przynajmniej na razie nic o nich nie wiadomo.

- A później może gdzieś byśmy poszli - proponuje Chip. - Diann, ja i ty też. - Zaczynam się wymawiać, ale szybko mi przerywa: - Proszę cię, Myra, nie odmawiaj.

Patrzę na zegarek, potem przez okno.

- Myra?

- Dobrze.

Rozłączam się i mówię do Diann:

- Rodzice Chipa chcą ze mną porozmawiać. Pojadę się z nimi spotkać, a potem przywiozę tu Chipa. Proponuje, żebyśmy gdzieś we trójkę poszli.

- Aha. Dobrze. - Wzrusza ramionami. - Czy to nie dziwne, że zrobiła się taka... zabawowa atmosfera?

- Tak.

- Trudno zrozumieć jego postawę. Nie uważasz? No bo dlaczego on nie jest zrozpaczony?

- Jest. - Biorę pielęgniarzką torbę, zarzucam ją na ramię. - Wrócę mniej więcej za godzinę.

- Okay. - Wstaje. Szarpie suknię w talii. - Żałuję, że robisz taki dobry placek. Po tym, jak wyszłaś, zjadłam tamten cały kawałek.

- No tak.

- Boże, Myra, ależ ty masz szczęście, że nigdy się takimi rzeczami nie martwiłaś! Zawsze uważałam, że byłoby o wiele łatwiej, o wiele lepiej być taką jak ty!

Stoję z ręką na klamce, otwieram usta, chcąc coś powiedzieć, ale je zamykam. Czuję falę gniewu podpływającą od żołądka do gardła.

- Och... Proszę cię, nie myśl, że... Chodziło mi o to, że ty wydawałaś się zawsze o wiele mądrzejsza od nas. My uganialiśmy się za nowinkami i chcieliśmy wszystkiego spróbować, a ty...

- Do zobaczenia, Diann. - Zbieram się do odejścia, lecz ona podchodzi i zagraża mi drogę.

- Myra, wiem, jak zabrzmiało to, co przed chwilą powiedziałam, ale miałam co innego na myśli.

- W porządku. - Znowu sięgam do klamki. Usuwa się sprzed drzwi, zaciska ręce i mówi cicho:

- Nie znoszę takich sytuacji. Nie znoszę, kiedy palnę coś niezręcznie. Czuję się wtedy, jakbym wpadła do dziury, z której nie mogę się wydostać. I cokolwiek potem powiem, żeby przekonać kogoś, iż mówię prawdę, brzmi to jak kłamstwo. Czy mogłabyś wziąć pod rozwagę, że ja naprawdę nie miałam na myśli tego, co przypuszczasz? Proszę.

- Dlaczego sądzisz, że wiesz, co sobie pomyślałam, Diann? Wzdycha.

- Nie wierzysz mi... ale ja naprawdę chciałam powiedzieć, że zawsze cię podziwiałam. Zawsze. I tylko to miałam na myśli.

Wychodzę z domu.

- Musisz iść. Szkoda. Mam nadzieję, że porozmawiamy później.

Idąc chodnikiem, słyszę jej wołanie. Odwracam się bez słowa.

- Czy... nadal mogę tu mieszkać?!

- Nic się nie zmieniło, Diann. Powiedziałam, że możesz tu mieszkać. Możesz tu mieszkać.

- Okay. Dziękuję.



- Proszę bardzo.
- Może zrobię kolację?! - woła za mną. - Makaron? Sałatkę?
- Świetnie.

Zamyka drzwi, a ja podkładam pod rytm kroków słowa: „Może byś tak wyjechała, co? Może byś tak wyjechała”.

Zapalając silnik, przeglądam się w lusterku. Nie wiem, dlaczego tak się na nią wściekłam. Diann jest prawnikiem i umie pokazowo kłamać, ale ja jej wierzę. Cholera, zaczynam ją nawet lubić.

Rodzice Chipa czekają na mnie przy drzwiach. Przechodzimy do salonu i siadamy - wszyscy, jak zauważam, na brzegu siedzenia. Opadam na oparcie, chcąc zademonstrować coś, czego nie czuję: zrelaksowanie. Pewność siebie.

- Chip jest na górze, szykuje się - wyjaśnia matka. Kiwam głową.
- Jak rozumiem, macie się spotykać... u ciebie?
- No cóż, sam...
- Och, nie mamy nic przeciw temu. Tylko że my też chcielibyśmy czasem z tobą porozmawiać. Mogą pojawić się jakieś sprawy. Może będziemy cię o coś prosić.
- Oczywiście. Mogą państwo dzwonić o każdej porze. Jeżeli dobrze pamiętam, podałam swój numer.
- Tak. - Pani Reardon przygląda włosy z boku głowy, patrzy na zegarek. Przekłada nogi i poprawia kant na spodniach. Potem spogląda na męża, znacząco unosząc brwi.
- Nie mogę - mówi cicho mąż. Żona wzdycha.
- Nie mogę! - Mąż zwraca się do mnie. - Moja żona chce, żebym powiedział to w imieniu nas obojga. Uważamy, że Chip powinien aktywnie szukać innych opcji. Ponieważ nie jest już w stanie samodzielnie podejmować decyzji, powinniśmy interweniować. Słyszeliśmy o pewnej klinice w Szwajcarii. Ale jak już wcześniej mówiłem, nie jestem pewien...

- Wcześniej, to znaczy kiedy? - pyta pani Reardon. - Kiedy o tym rozmawialiście?

- Zamieniliśmy przelotnie parę słów - odpowiadam. - To właściwie nie była rozmowa.

- Ach tak. No cóż, jestem tylko jego matką. Po co mnie włączać?

Mija dłuższa chwila. Wreszcie mówię:

- Trzeba czasu, żeby ze wszystkim się uporać. Jest tyle...

- Nie mamy czasu!

- Elaine - odezwał się pan Reardon.

- Nie! Nie mamy czasu! Taka jest prawda! Będziemy tu siedzieć i rozprawiać o jego „uczuciach”, o „opcjach”, o jego „prawie do udziału w decyzjach”, a gdy tak będziemy rozmawiali i rozmawiali bez końca, on umrze! Czy nikt prócz mnie nie rozumie, co tu się naprawdę dzieje?

Pan Reardon przechodzi przez pokój, przysiada na poręczu fotela, na którym siedzi żona, i bierze ją za rękę.

- Może jeszcze nie jesteśmy gotowi - zwraca się do mnie. Pani Reardon wstaje, patrzy na mnie.

- Ty go nawet nie znasz. - Wychodzi z pokoju. Odchrząkuję, sięgam po torbę.

- Przepraszam - mówi pan Reardon. - Jesteśmy... Ostatnio prawie wcale nie spaliśmy.

- Rozumiem.

- Tak naprawdę chcielibyśmy wiedzieć, jak on się miewa. Bylibyśmy wdzięczni, gdybyś regularnie przekazywała nam swoje obserwacje.

Bardzo chętnie. Wiedzą państwo, że... nadejdzie taki czas, kiedy Chip nie będzie mógł już przyjeżdżać do mnie. Kiedy będzie przebywał tylko tutaj.

- Tak. To nie będzie dobry czas.

- Nie.

- Rozmawiałem któregoś dnia z jego lekarzem. Jeżeli syn nie podejmie dalszego leczenia, ten czas niebawem nadejdzie.

- Trudno powiedzieć kiedy.

- Lekarz przewiduje, że najdalej za sześć tygodni... To tylko przypuszczenie.

- Ale oparte na wiedzy. Opłaciłem cholernie dobrego onkologa.

- Wiem. Nadal jednak jest to tylko przypuszczenie.

Kątem oka dostrzegam, że do pokoju wchodzi Chip. Jego ojciec wstaje i zmienia wyraz twarzy, przymuszając się do okazania radości.

- No proszę! Wieczorne wyjście!

Chip włożył do dzinsów koszulę w niebiesko-białe pasy i niebieski blezer. Na głowic ma niebieską chustkę.

- Pomyślałem, że pójdziemy na kolację - mówi. Potem dodaje: - Cześć, Myra.

- Diann zabrała się za gotowanie - informuję.

- Naprawdę?

- Tak.

- Ona nigdy nie gotuje.

- Ale dzisiaj tak.

- O której wrócisz do domu? - pyta pan Reardon.

- O której wrócę do domu? - Chip zaczyna się śmiać. - Tato. Chryste! Co mogłoby mi się przytrafić?

W samochodzie jedziemy w milczeniu aż do autostrady. Im większej auto nabiera prędkości, tym bardziej Chip się rozluźnia. Włącza radio i przekrzykując muzykę, mówi:

- Sama widzisz, dlaczego muszę się stamtąd wyrwać.

- Oni tylko... Oni chcą cię uratować, Chip.

- Wiem. - Patrzy przez okno. Potem dodaje ciszej: - Wiem. - Zwraca się do mnie. - A ty?

- Czy chcę cię uratować?

- Tak.

- Bardzo bym chciała cię uratować, gdybym mogła.

- Ja też chciałbym, żebyś mnie uratowała, gdybyś mogła. Trąbi na mnie jakiś samochód, omal nas nie trąca. Moja wina; zjechałam ze swojego pasa ruchu.

- Mogłabyś też nas zabić - kontynuuje Chip. - Odeszli-byśmy oboje.

- „Pielęgniarka i pacjent rozjechani na Lindberg Street” - mówię.

- „Rodzice pacjenta oburzeni” - podchwytuje Chip. - „Co innego dla niego planowałam, zwierza się matka”.

Spoglądam na Chipa i uśmiecham się. Wzrusza ramionami.

- O nią tak bardzo się nie martwię.

- Wiem. To ojciec jest delikatniejszy.

- Ty wszystko rozumiesz, Myra.

- Hm.

- Naprawdę.

Przez radio lecą Stonesi, śpiewają o tym, że nie zawsze można dostać to, czego się chce. Najpierw milczymy. Potem śpiewamy razem z nimi.

Wjeżdżam na podjazd, gaszę silnik, otwieram drzwi i zaczynam wysiadać. Chip łapie mnie za rękę.

- Chcę ci coś powiedzieć, zanim wejdziemy. Kiedy wczoraj wieczorem opowiadałaś te wszystkie rzeczy, byłem... nie mówiłem nic, bo to było takie piękne. Naprawdę. Siedziałem i rozmyślałem o tym, co usłyszałem. O tym, jakie zdumiewające są nasze ciała. A potem zniknęłaś.

Patrzę w bok zakłopotana.

- Następnym razem, gdy coś takiego opowiesz, coś o sobie, mam nadzieję, że zostaniesz. Chętnie poznałbym cię bliżej.

- Czuję czasnek - powiedziałam. Jakby jedno wynikało z drugiego.

Diann i ja jesteśmy w piżamach, wstawiamy naczynia do zmywarki.

- Od czasu do czasu myli słowa - mówi Diann. - Zauważyłaś, jak powiedział: „Po ile jest godzina?”.

- Tak - odpowiadam z uśmiechem.

- Ale poza tym wydaje się taki normalny. Źle ostrzyżony facet w chustce, który co jakiś czas łyka pigułkę.

- Wiem.

- Kiedy mu się... pogorszy?

- Trudno powiedzieć.

Bierze gąbkę, zaczyna wycierać blat.

- Nie jestem pewna, czy umiem odegrać tę część roli. Jeszcze nigdy... Krótko mówiąc, nie jestem pewna, czy zostanę. Zresztą nie wiem, czy on sobie tego życzy.

Wycieram kieliszki do wina, za delikatne do zmywarki. Kupiłam je wiele lat temu. Dziś po raz pierwszy użyłam aż trzech naraz.

- Myślisz, że chce, żebym została... do końca?

- Zorientujesz się sama we właściwym czasie, Diann. Płucze gąbkę, opiera się o zlew, krzyżując ręce.

- Wiesz co? Po raz pierwszy jestem z nim i nie czuję

wokół siebie nieustannej rywalizacji. Nigdy nie było z nim łatwo, ani w szkole, ani później, gdy po latach się zeszliśmy. Kiedy na przykład siedzieliśmy w restauracji, nadskakiwała mu kelnerka. Albo kelner. Wszędzie, gdziekolwiek się z nim poszło, ludzie po prostu... I choć on nie zwracał na nikogo uwagi, i tak bardzo mnie to irytowało. Ponadto była w nim jakaś obcość, oddalenie. Także wtedy, gdy byliśmy sami, czułam, że nie dopuszcza mnie do siebie, że nie mogę dotrzeć do jego wnętrza. Nigdy nie miałam przy nim poczucia pewności. Nawet jeżeli powtarzał, że mnie kocha, i zdawał się mówić szczerze, wycofywał się i wstrzymywał. Nigdy nie dał siebie całego ani mnie, ani, z tego co wiem, nikomu innemu. Ironia losu polega na tym, że kiedy wreszcie gotów jest się otworzyć i w pełni zaznać miłości, ja nie mogę mu tego dać. -Wbija wzrok w podłogę, potem przenosi go na mnie i patrzy, nieupiększona. - Powiedz mi, Myra, jak to będzie, kiedy będzie umierał?

- Po prostu będzie odchodził - mówię. - Nie wiem, jak inaczej to opisać. Jeżeli nie wydarzy się nic dramatycznego, nic nagłego, zobaczysz, jak znika. Będzie go coraz mniej, coraz mniej, aż odejdzie. - Jeżeli dodam, że bycie świadkiem tego procesu może okazać się głębokim, wiele dającym przeżyciem, że umierający pacjent nieraz staje się promiennym nauczycielem, że cudownie jest przy nim być, pewnie zostanie. Jeżeli zaś powiem, zgodnie z prawdą, że to nieznośnie trudne, Diann zapewne wyjedzie.

Patrzę na nią, zamierzając powiedzieć, że asystowanie przy czyjejś śmierci jest naprawdę bardzo trudne; niewielu ludzi to potrafi. Że najlepiej się przyznać, jeżeli ktoś nie może się tego podjąć; to nic złego. Że może nawet nie warto tego robić, bo pozostają nieraz bardzo ponure wspomnienia. Lepiej zapamiętać go takim, jaki był. Lepiej pożegnać się teraz i wrócić do domu, zanim zrobi się ciężko. Zostawić go pod opieką rodziny i profesjonalistów takich jak ja. Zostawić go mnie. Ale kiedy otwieram usta, oto co mówię:

- Myślę, że powinnaś zostać tak długo, jak dasz radę. Będę przy tobie. Pomogę ci.

- Ale jeżeli to potrwa wiele tygodni...

- Praca?

- Nie. Praca to nie problem. Mogę pracować właściwie

z każdego miejsca. Nie, chodzi mi o to, że musiałabym zostać tu dłużej. Nie mogę nadużywać twojej gościnności. Musiałabym wynająć pokój w hotelu. - Nie, wcale nie.

Później, leżąc w łóżku, zastanawiam się, co we mnie wstąpiło i zmusiło do wygadywania rzeczy, których wcale nie chciałam powiedzieć. Obracam się na lewy bok. Potem na prawy. Siadam, rozcieram kark. Zapalam lampę przy łóżku, sięgam po książkę. Odkładam książkę i gaszę światło.

Na koniec cicho płaczę. Po chwili biorę głęboki wdech, wprowadzając tlen do trzystu tysięcy pęcherzyków w moich płucach. Czy on o tym wie? Czy wie, że jedna z trzech kostek w uchu środkowym jest nie większa od ziarna ryżu? Mogłabym mu tyle opowiedzieć. Patrzę na Franka, śpiącego przy moim łóżku. Potem spoglądam przez okno na czarne niebo, na gwiazdy oddzielone niewyobrażalnymi odległościami. Kiedy wziął mnie dzisiaj pod rękę, podobało mi się, podobało mi się bardzo, kiedy wziął mnie pod rękę. Nadaję tej myśli kształt i razem z nią zasypiam.

- Kobieto, jesteś rozdrażniona jak polityk, któremu wyczerpał się zapas kłamstw - mówi DeWitt. - Złościco! Z czym masz problem? Poniedziałkowy blues? Nie odpowiadam, kończę przyklejać plasterk opatrunk. Muszę przed powrotem do domu wpaść do biura, wziąć zapas plastra i gazy. Roztwór fizjologiczny.

- Nic nie zrobiłem, wiem to na pewno. To nie przeze mnie! - Patrzy na mnie spod ciężkich powiek. - Nie masz na co dzisiaj narzekać. Byłem Seanem Connerym.

- Zobaczymy się jutro, DeWitt. Przytrzymuje mnie delikatnie za nadgarstek. - Co się stało, pytam poważnie? Czy mogę ci pomóc?

Brązowe oczy mają tyle wyrazu, są takie szczerze i bezpośrednie. Chcę powiedzieć „nie, dziękuję”, ale wybucham płaczem. Frank podbiega, obwąchuje nerwowo najpierw mnie, potem DeWitta.

- Oho, odwołaj swojego ochroniarza - mówi DeWitt, odsuwając się.

- Akurat by cię skrzywdził. - Sięgam do torby, otwieram pakiecik z kawałkiem gazy, wycieram nos.

DeWitt klepie łóżko.

- Siadaj. Opowiedz o tym staremu De Wittowi.

Frank, zachęcony klepaniem, wskakuje na łóżko i zwija się w kłębek. Nie powinien wskakiwać na łóżko. W ogóle nie po-

winno go tu być. Któregoś dnia napytam sobie biedy, łamiąc tyle zasad.

Stoję, przyglądając się przez chwilę DeWittowi, a potem - do diabła z tym - też siadam na łóżku. Jakie to miłe uczucie, że dla odmiany ktoś się o mnie zatroszczył. Jaka to ulga. Mam ochotę zrzucić buty, wtulić się w ramię DeWitta i poprosić, żeby zaśpiewał mi kołysankę, przeczytał prostą historyjkę ze szczęśliwym zakończeniem. Jednak tego nie robię, tylko siadam, spuszczaając nieśmiało wzrok, a kiedy DeWitt ujmuje moją dłoń, znów zacznę płakać.

- Przespałaś się, kochanie? Przeszuję płakać.

- No co?! - mówi. - To nie jest wcale głupie pytanie. Widziałem wiele kobiet, które tak się zachowywały, i w czym był problem?... Były w ciąży!

- Nie jestem w ciąży.

- Jesteś pewna? Mam w łazience takie testy. Accu... Accu-ciążakku, coś w tym stylu, nie pamiętam dokładnie nazwy. Możesz jeden wziąć. No śmiało, sprawdź się.

- Masz w łazience testy ciążowe?

- Jasne.

- Po co?

- A jak myślisz? Sądziłem, że jesteś pielęgniarką.

Nie wiem, co powiedzieć. Jak to nigdy nie wiadomo, z kim ma się do czynienia.

- Zakochałaś się, tak? Spoglądam na niego raptownie.

- Trafiłem. Dajcie temu panu cygaro. Wzdycham, gapię się w ścianę.

- A on ciebie nie kocha, tak? Kiwam głową.

- Może nie wie, że go kochasz.

- To bez znaczenia.

- Musisz spróbować. Do licha, dziewczyno, musisz spróbować!

- Och, DeWitt, mówisz to tak, jakbym...

- Jakbyś co?

Jakbym miała szansę. Jakbym była atrakcyjną kobietą, która może sięgnąć po coś, czego pragnie, z przekonaniem, że jej się uda.

- To jeden z moich pacjentów. Umierający. Powoli kiwa głową, mruga.

- Wszyscy umieramy, dziecinko - mówi.

- Tak, ale niektórzy z nas mają przed sobą więcej życia.

- Zawarłaś pakt z ważną osobistością? Dał ci ktoś gwarancję, że nie przejedzie cię autobus, kiedy wyjdiesz na ulicę? To się zdarzyło wczoraj. W centrum Detroit. Jakiś facet przebiegał jak głupi przez ulicę, wracając do biura po treningu. Miał przy sobie strój gimnastyczny, myślał, w jakiej jest świetnej formie. I czym teraz jest? Wspomnieniem.

- Och, wiem. Wiem, co chcesz powiedzieć. W każdym razie dziękuję. - Wstaję, biorę torbę. Frank zeskakuje z łóżka i kieruje się do drzwi. Jest gotów asystować mi na wizycie u następnego pacjenta. To będzie Grace, której wydaje się, że coś jest nie tak z moszną dziecka.

- Może przyprowadzisz tu tego gościa, wybadam go.

- Miałabym go tu przyprowadzić?

- Tak. Chcę go poznać. Jak się nazywa?

- Chip Reardon.

- Nabierasz mnie?

- Nie.

- Ma na imię Chip?!

- Tak.

- Co to, u diabła, za imię?

- Nie wiem. Imię białego. DeWitt szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Ty to powiedziałaś, nie ja. Tak czy owak, przyprowadź go. Jutro. Pomogę mu znaleźć nowe imię. Dodamy chłopakowi godności.

- Może i tak zrobię.

Zaledwie wczoraj Chip spytał, czy mógłby kiedyś pójść ze mną do pracy. Obiecał, że będzie czekał na ulicy, że chciałby tylko zobaczyć, dokąd chodzę.

Schodząc po schodach od DeWitta, pytam Franka:

- Chcesz, żebyśmy przyprowadziła tu jutro Chipa? Zadziera łeb, macha ogonem.

- Mam go spytać? Szczeka radośnie.

- Dobry pies - chwalę go. - Mądry.



- Widzisz, jaka jest spuchnięta? - mówi Grace. Pokazuje mi moszną dziecką, najzupełniej normalną. Zanim

jednak jej to powiem, przeprowadzam uważne oględziny.

- Jesteś pewna? - pyta.

- Tak. Powiedz, co cię zaniepokoiło. Zauważyłaś jakąś zmianę?

Odwraca wzrok, rumieni się. Jest ubrana w szary podkoszulek do małych džinsów - rozmiar najwyżej cztery - w ogóle nie można poznać, że niedawno rodziła. Chodzi na bosaka. Czerwony lakier na paznokciach u nóg prawie całkiem się złuszczył. Mocny makijaż, błyszczący cień do powiek. Jasne włosy zebrane do góry i przytrzymane długą srebrną zapinką. Ładna dziewczyna. Bystrzejsza, niż jej się zdaje. Żeby tylko zechciała rozejrzeć się wokół siebie, poszukać czegoś więcej w życiu.

- Nie zauważyłam żadnej zmiany, bo nie sprawdzałam mu wyposażenia. Nie chcę, żeby nabawił się jakiegoś kompleksu.

- Nic mu nie dolega. Jest najzupełniej normalny. A poza tym jak się miewa? Je dobrze? Więcej śpi?

Grace patrzy na synka, gładzi jego policzek.

- Ma się dobrze. - Wzrusza ramionami. - Ale nie jest specjalnie interesujący.

- Naprawdę tak myślisz, Grace? Uśmiecha się.

- Naprawdę?

- Nie jest na tyle interesujący, żeby można było o nim z kimś porozmawiać. Nie możesz opowiedzieć, że powiedział to czy tamto.

- Jeszcze nie mówi. Ale robi różne ciekawe rzeczy, prawda? Bierze dziecko, siada na łóżku, kładzie go delikatnie na kolanach.

- Któregoś dnia zobaczyłam, że się... przygląda. Będzie o wiele mądrzejszy ode mnie. - Wsuwa palce w drobne piastki. - Popatrz. - Ciągnie do góry, a dziecko trzyma się kurczowo. - Silny.

- To odruch - wyjaśniam. - Z czasem zniknie. Patrzy na mnie zaskoczona.

- Ale sama umiejętność wróci. Tylko że wtedy będzie to robił dlatego, że chce.

- To nawet lepiej. - Patrzy poza mnie, przez okno. - Jak

jest na dworze? - Jej tęsknota wydaje się taka subtelna. W pewnym sensie Grace jest bardzo dorosła. Z podziwu godnym spokojem i równowagą ducha pogodziła się z tym, że musiała z tylu rzeczy zrezygnować. Była cheerleaderką; do tej pory nosi na szyi mały srebrny megafon. Na ścianie wiszą plakaty z gwiazdami rocka, bilety na niegdysiejsze koncerty. Na komodzie stoją rzędem buteleczki tanich perfum i pomadki, są też plastikowe pudełeczka z różem i cieniem do powiek, owinięte gumką. Ma na łóżku pluszowe maskotki, a obok łóżka położyła książki w kieszonkowych wydaniach. Co wieczór czyta. Głównie romanse, choć sięga też po inne rzeczy. Przyniosłam jej raz Anne Tyler. Powiedziała, że postacie są dziwne, jednak książka jej się podobała.

- Jest ładnie - mówię. - Nie tak gorąco jak wczoraj. Może byś wyszła z Kurtem? Włóż go do wózka i zabierz na spacer.

- Ale on w tym wózku zgina się jak szmaciana lalka.

- Nic mu nie będzie.

- Czy mu się coś nie ściska, kiedy tak siedzi?

- Nie, jest mu bardzo dobrze w wózku.

- Okay. Może go zabiorę. - Podchodzi do lustra, rozpuszcza włosy i zaczyna je szczotkować.

Odkładam stetoskop do torby, myślę o notatkach, które muszę zrobić. Inwolucja u matki zakończona. Nadal brak pewności siebie.

- Ile lat się uczyłaś, żeby zostać pielęgniarką? - pyta nagle Grace.

- Cztery lata.

- O.

- Można też iść na dwuletni kurs. Zdobywa się inny stopień, lecz jest się zarejestrowaną pielęgniarką.

- Nie zamierzam być pielęgniarką. Pytałam z ciekawości. Pielęgniarka, przepraszam, nie chcę być niegrzeczna, to okropny zawód. Czy ktoś wreszcie poda mi basen... -Wstrząsa się.

- Zawód pielęgniarki nie jest dla każdego, to prawda. A ty kim chciałabyś być?

- Chciałabym być szczęśliwa.

- No cóż - mówię, zarzucając torbę na ramię. - Do tego warto dążyć. Nie ma lepszego celu. - Uśmiechamy się do siebie. Kiedy Grace się uśmiecha, wygląda tak, jakby tylko jeden

krok dzielił ją od małej, niedojrzałej dziewczynki trzymającej się matczynej ręki.

Na fotografiach w podręczniku o macierzyństwie młode matki były atrakcyjne. Siedziały wsparte na poduszkach w gładko przykrytym szpitalnym łóżku, z szeroką wstążką we włosach, i uśmiechały się do niemowlęcia, tuląc je do piersi, z której nie ciekł pokarm. Gdzieś z boku zaznaczał swoją obecność ojciec - połową męskiego torsu. Męskiego torsu w garniturze świadczącym o sukcesie.

W rzeczywistości tylko niektóre matki przypominały te na zdjęciach, jeżeli nie wyglądem, to przynajmniej duchem. Większość nie miała z nimi nic wspólnego. Na przykład rozgoryczona niezamężna kobieta, którą się kiedyś opiekowałam, była wychudzona, koścista, z wiecznie rozmazaną kreską wokół oczu, do szafki na ubranie wrzuciła szpilki, noszone do luźnych dżinsów, a kiedy tuliła dziecko, wyczuwało się w niej jakiś dystans do niego. Pamiętam wiele starszych kobiet, które miały w domu inne dzieci - czasem kilkoro - one zachowywały filiżankę z tacy z posiłkiem i przez cały dzień nalewały sobie kawy w sali dla odwiedzających. One też oddawały niemowlęta pod opiekę pielęgniarkom, same zaś wychodziły na papierosa i rozmawiały z innymi matkami o piętrzącej się w domu cholernej górze prania, której mąż nie ruszy. Miały stare, poplamione szlafroki, a przy łóżku kwiaty zostawione przez inne pacjentki.

Żadna z tych kobiet nie wpatrywała się z zachwytem w puls widoczny na ciemńczku niemowlęcia; żadna nie trzymała w dłoni maleńkich stopek i nie wzruszała się do śmiechu i do łez. Żadna z nich nie kąpała nowo narodzonego ciała z podziwem i strachem.

Wiem, co chcę zrobić dla Grace. Chcę jej powiedzieć o wszystkim, co ją czeka w związku z dzieckiem, pomóc jej dostrzec, że słuszna jest głęboka wdzięczność, nawet jeśli jest ciężko. Dostrzegam rodzącą się więź: pomiędzy synkiem a nią powstaje połączenie, dzięki któremu ona czuje to co on; w jej piersi zaczyna wzrastać pierwotna dzikość, tak jak powinno być.

- Czy na pewno wszyscy wiedzą, że przyjdę? - pyta Chip, postukując piętą szybko, lecz bezgłośnie, w podłogę auta. Jego głos jest lekki, niematerialny.

- Wiedzą - zapewniam. Zastanawiam się, dlaczego Chip tak się denerwuje. Żałuję, że nie wzięłam Franka, przy którym wszyscy się odprężają. Ale naprawdę musiał pójść do psiego fryzjera. Diann ma go odebrać. Właściwie to przyjemnie mieszkać z koleżanką. Wczoraj zrobiła zakupy, przyniosła angielski ogórek, którego nigdy przedtem nie próbowałam. Bardzo dobry - prawie bez nasion.

- Może jednak nie powinienem z tobą wchodzić do mieszkań - mówi Chip. - Może powinienem poczekać na ulicy.

- Nie musisz ze mną wchodzić, ale będziesz mile widziany.

- Czy oni wiedzą, jak wyglądam? - Unosi rękę do rany. Sprawdza. Nadal tam jest.

- Powiedziałam im, że jesteś moim przyjacielem spoza miasta, że przechodzisz rekonwalescencję po operacji i że chciałeś towarzyszyć mi przy pracy. Wszyscy się zgodzili, żebyś przyszedł. Nawet Ann Peters, co mnie naprawdę zaskoczyło. Zaprosiła nas na herbatę.

Chip kiwa głową. Potem nagle prosi:

- Czy mogłabyś zgasić radio?

- Proszę bardzo. - Zerkam na niego. - Boli cię głowa?

- Nie bardziej niż zwykle.

- Potrzebujesz coś wziąć?

- Już wziąłem.

Zatrzymuję się na parkingu przy White Hen, gaszę silnik.

- Dobrze się czujesz? Chcesz iść ze mną?

- Tak, chcę. Tylko... próbowałem... O cholera. Jaki dziś dzień?

- Wtorek.

- Wtorek. - Wymawia to słowo tak, jakby je smakował. -Okay. I jest... czerwiec.

- Sierpień - mówię łagodnie. Czuję skurcz żołądka.

- Sierpień...

- Siódmy sierpnia.

- Okay. - Nabiera powietrza w płuca, uśmiecha się. -Boże. To takie żenujące.

- Tak.

- I... już nie jestem pewien, że wiem, kiedy nie wiem. -Wzdycha, odwraca się, długo wygląda przez okno. Potem znów zwraca się do mnie: - Kto może być ze mną, Myra? Nie Diann. Nie ona, ona nie da rady. Tyle w tym samotności, jestem w tym taki samotny. To boli najbardziej. Ktoś rysuje małe kółko, a ty wchodzisz do środka. Ktoś zatrzymuje autobus i każe ci wysiąść, a ty, mimo że wcale nie dojechałeś do celu, musisz wysiąść. I nikt nie spojrzy na ciebie, gdy idziesz przejściem. Żeby chociaż spojrzeli...

Biorę go za rękę i robię to, co jest najtrudniejsze: siedzę nieruchomo i nic nie mówię. Pozwala mi trzymać tę małą cząstkę siebie i cicho płacze. Siedzimy i patrzymy, jak ludzie wychodzą ze sklepu z torbami pełnymi rzeczy potrzebnych w zwykłym życiu. Postawiłabym w zakład wszystko, co mam, że Chip i ja czujemy to samo: tęsknotę wielką jak świat. Na moim przegubie tyka zegarek. Mija sekunda za sekundą. Tak mijają dni. Odmierzane małymi odcinkami czasu. To widać. Wskazówka sekundnika posuwa się nieubłaganie wokół tarczy zegarka. Naprzód. Naprzód. Naprzód. Ileż to razy chciałam, żeby wszystko stanęło.

DeWitt sprzątnął mieszkanie; unosi się w nim zapach Pine Sol. Zaprasza Chipa na swój fotel, a sam siada koło mnie na sofie.

- Skąd jesteś?  
- Z Nowego Jorku - odpowiada Chip. - Ale tutaj się wychowałem.  
- Podoba ci się tu? - DeWitt drapie się leniwie w pierś. Jest w skarpetkach, przez jedną z dziur przeziera palec.  
- Nie wiem, czy komukolwiek tu się podoba.  
- Więc po co przyjechałeś?  
Upływa dłuższa chwila, w końcu Chip się śmieje.  
- Wiesz co? Nic mam na to dobrej odpowiedzi. - Jest zdenerwowany; zaciska ręce, siedzi prosto, jakby kij połknął.  
- Z powodu pracy - mówię do DeWitta. - To dobre miejsce na pobyt przy jego pracy.  
- W czym robisz? - pyta DeWitt.  
- Jestem maklerem.  
DeWitt opiera się wygodnie, wyciąga rękę na oparciu sofy.  
- Tak, ja też jestem biznesmenem. Wiem, że czasem trzeba robić coś, na co się wcale nie ma ochoty. Żeby później móc robić, co się chce.  
- Zdaje się, że tak to działa. - Chip rozgląda się po pokoju. - A ty? Od dawna tu mieszkasz?  
- Od dwudziestu siedmiu lat - wyjaśnia DeWitt. I dorzuca żywo: - Co powiesz na wycieczkę po moim sklepie z cukierkami? Aleś ty spięty, człowieku. Musisz się rozluźnić. To najważniejsze. Mam coś na wszystko, mam coś i dla ciebie.  
- DeWitt - powstrzymuję go.  
- Drobiazg, na koszt firmy.  
- DeWitt!  
- W porządku, Myra - uspokaja Chip.  
- Wcale nie!  
- Spokojnie. - DeWitt podchodzi do szafy w holu, ściąga z góry duże tekturowe pudło. - To coś między nami chłopakami. Chyba że ty też chcesz.  
- Nie.  
- Jakbyś nigdy nie widziała mnie naćpanego.  
- Dobrze o tym wiem, DeWitt.  
- Och, wyluzuj się. Nie zrobię krzywdy twojemu przyjacielowi. Znam się lepiej na narkotykach niż większość lekarzy, taka jest szczerą prawdą. Pomogę mu się rozluźnić. Dam mu coś, żeby poczuł się dobrze! Ma prawo czuć się dobrze!

Dam też coś sobie i obaj poczujemy się dobrze. A potem znajdziemy dla niego nowe imię.

- Dostyc tego - mówię. - Wychodzimy.

- Chciałbym mieć nowe imię - wtrąca Chip. Wstaję, biorę torbę.

- Wychodzimy.

Idę do drzwi. Nikt nie idzie za mną. Stoję w holu, wołam Chipa i słyszę tylko szmer męskich głosów. Czekam, jak mi się zdaje, godzinami, choć zapewne niecałe pięć minut. Wracam do pokoju.

- Ja za ciebie odpowiadam, Chip - mówię cicho. Uśmiecha się.

- Och, Myra, wcale nie. - Wrzuca coś do ust, połyka.

- Co to było? - pytam DeWitta. - Co on wziął?

- Dwa i pół miligramu valium.

- To wszystko?

- To cię uspokoi? Będziesz się mniej denerwować? Milczę.

- Nic więcej nie wziął.

Chip kładzie głowę na oparciu fotela, zamyka oczy.

Mam ochotę udusić DeWitta.

Chip nagle siada prosto, otwiera szeroko oczy.

- Zamawiamy chińskie jedzenie. Krewetki w sosie homarowym.

Chcesz?

Nie ma mowy, żebym zawiozła Chipa do domu. Tylko tego mi brakowało, żeby rodzice zobaczyli go w tym stanie: spuszczone powieki, głupkowaty uśmiech, chód przypominający pierwsze kroki dziecka.

- Zabieram cię do siebie - oznajmiam Chipowi. - Do czasu aż... Na jakiś czas. Co naprawdę wzięłeś?

- Valium. Va-li-um.

- Nie sędzę.

- Auuuu. Nie ufasz De Wittowi? Zmieniam bieg, milczę.

- Powinnaś mu zaufać - przekonuje Chip. - To porządny człowiek.

- To handlarz narkotyków!

- Tak. Tak jak powiedziałem. Porządny człowiek. Ludzie

potrzebują narkotyków, a on tę prostą prawdę dostrzega. Tutaj jest ciężko. Ludzie potrzebują narkotyków.

- Ludzie potrzebują duchowego rachunku bankowego -mówię. - Nie narkotyków.

- Daj spokój, Myra. Nigdy nie brałaś narkotyku dla zabawy?

Milczę.

- Nigdy?

- Raz.

- I co wzięłaś? Pepto-Bismol?

- Nie. Jak chcesz wiedzieć, to wzięłam LSD.

- Oho! Naprawdę?

- Tak.

- Kiedy to było?

- W college'u. Zrobiliśmy to całą paczką. Byłam na pierwszym roku, całe piętro akademika wypuściło się razem, żeby się bliżej poznać. Więc moja koleżanka z pokoju, ja i jeszcze kilka innych wzięłyśmy LSD. - Patrząc na niego i wzruszając ramionami.

- I co się działo?

- Och, miałam to... miałam to na kawałku cukru. Brązową plamkę na środku śnieżnobiałej kostki cukru. Wyglądała jak grzech na duszy. Włożyłam kostkę do ust i czekałam, aż się rozpuści, a gdy to się już stało, ogarnęła mnie panika. Miałam takie straszne uczucie, jakbym weszła na ruchome piaski. Siedziałam na łące, bo byłyśmy w takim pięknym parku, i czekałam. Po pewnym czasie ogarnęło mnie poczucie... mądrości.

Chip śmieje się.

- Zgadza się. „Wszyscy jesteśmy jednością”.

- Tak. Tak. Obok mnie leżała koleżanka z pokoju i powiedziała takim niesamowicie spokojnym głosem: „Chyba zaraz umrę”. Naprawdę myślała, że umrze, lecz przyjmowała to z absolutnym spokojem.

Nagle uświadamiam sobie, że rozmawiam o umieraniu z umierającym. Ale Chip nie wydaje się tym poruszony. Zupełnie jakby odsunął od siebie myśl o własnej śmierci. Jak my wszyscy.

- Więc ona leży - kontynuuję - i mówi takie rzeczy, a ja w pierwszej chwili pomyślałam, o Boże, może powinnam coś



zrobić. Ale nie zrobiłam. Siedziałam i nic. Też się uspokoiłam. Pamiętam, przyszło mi do głowy, że to jest okay, że ona umiera. To jest w porządku. Wielka Podróż. To jest dobre. Naturalne. Zaczęłam zaglądać w środki rosnących dziko kwiatów, widziałam wzór, który zdawał się powtarzać wszędzie wokół, i zaczęłam mówić: „Tu jest w porządku”. Raz za razem: „Tu jest w porządku”. - Śmieję się, patrzę na niego. - Sama nie wiem. Do tej pory poniekąd tak myślę.

- Zdaje się, że nieźle się bawiłaś. Dziwne, że nie wzięłaś drugi raz.

- Nie bawiłam się dobrze do końca. Nadszedł moment, kiedy musiałam zrobić siusiu. Lecz nie byłam tego całkiem pewna. Miałam takie uczucie, ale ono było... osobne. Jakbym doznawała cudzego uczucia.

- Dobrze wiem, co masz na myśli.

Stoimy na światłach, oglądam się na Chipa. Ma zamknięte oczy. Uśmiecha się. Po zmianie świateł włączam delikatnie bieg, żeby nic nie poczuł.

- Wstałam i poszłam do toalety, to była taka parkowa toaleta, chata z bali, z zielonym wykończeniem, bardzo przytulna, no i w środku zobaczyłam siebie w lustrze. Na twarzy pulsowały mi czerwone plamy. A ja się wcale tym nie zdenerwowałam. Stałam zafascynowana i nie mogłam oderwać od siebie wzroku. W pewnym momencie umywalka zaczęła odklejać się od ściany. Pamiętam, że nagle ogarnął mnie straszny żal. Pomyślałam, że już nigdy nie zobaczę świata takim, jakim jest. Weszłam do kabiny zrobić siusiu, zdawało mi się, że zajęło mi to półtorej godziny i że nic innego na świecie nie istnieje, a kiedy stamtąd wyszłam, długo nie mogłam nikogo znaleźć. Wreszcie... nie pamiętam tego, chyba ktoś mnie znalazł. W każdym razie wróciłam do akademika. Tej nocy leżałam w łóżku i myślałam, o Boże, niech to się skończy, chcę wrócić na ziemię. Nie mogłam się ułożyć, wciąż było mi niewygodnie. Za bardzo byłam wszystkiego świadoma. Wreszcie położyłam się płasko na wznak, przytuliłam do siebie poduszkę i wbiłam wzrok w sufit, wiedząc, że muszę to przeczekać. Moja koleżanka, która oczywiście nie umarła, płakała. Płakała bez przerwy i nie mogła przestać. Gdy spytałam, co jej jest, czy czegoś potrzebuje, odpowiedziała: „Nie.

Jest dobrze. Jest dobrze". - Potrząsam głową, spoglądam na Chipa. - No, no. Dawno o tym nie myślałam. Kiwa głową ledwie dostrzegalnie.

- Chip? Nic ci nie jest?

- Jest dobrze, Myra.

- Ale czy...

- Nic mi nie jest! Naprawdę! - Siada prosto, wygląda przez okno. - Hej, jesteśmy niedaleko jeziora Carroll, prawda?

- Och... z dziesięć minut drogi. Bo co?

- Chciałbym tam pojechać.

- Niedługo się ściemni.

- No to się pośpieszmy.

Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, słońce już powoli zachodzi, rozplaszczając się na horyzoncie. Nikogo prócz nas nie ma. Siadamy na piasku, niedaleko stanowiska ratownika. Wieje nieokielznany wiatr - gałęzie drzew szamoczą się, jakby ze sobą walczyły.

Chip bierze garść piasku, przesiewa przez palce.

- Jestem załatwiony, no nie? Milczę.

- No nie?

- Jesteś ciężko chory.

- Słyszałaś, żeby ktoś tak chory wyzdrowiał?

- Nie. Ale nie słyszałam o wszystkich. Wiesz, co chcę powiedzieć? Myślę czasami, że chodzą po świecie ludzie bardzo chorzy, którzy nigdy nie trafiają do lekarza. Kto wie, jak długo żyją?

- Jestem załatwiony.

W milczeniu rysuję linię na piasku, robię krzyż, a potem szybko gwiazdę.

- Hej, Myra, czy naprawdę układ krążenia ma sześćdziesiąt tysięcy mil?

- Tak. Wzdycha.

- Tylu rzeczy nie wiem. Nie będę miał okazji tylu rzeczy się nauczyć. To doprowadza mnie do szaleństwa. To i... No dobra, nie będę woził na kolanie wnuków, ale zostało mi jeszcze trochę czasu. Co powinienem z nim zrobić? Powinienem robić to, co naprawdę kocham. Tyle że ja wcale nie jestem pe-

wien, co kocham. Słowo daję, Myra. Czuję się tak, jakbym przeżył życie w kombinezonie pszczelarza. Wiem, że lubię być zaskakiwany, na przykład przez taką zdumiewającą liczbę. Albo gdy ktoś mi pokaże coś, co mam pod nosem, a czego nigdy nie zauważyłem. Przyjrzałaś się kiedyś półkom w... w dziale słowników w bibliotece? Gdzie chodzisz sprawdzać hasła? Przyjrzałaś się kiedyś, ile tam jest książek? Całe tomy poświęcone aligatorom!

- Chyba nie. Korzystam z tego działu, ale nigdy nie zatrzymuję się dłużej niż potrzeba.

Chip wstaje, otrzepuje się z piasku.

- Okay. Chodźmy. Muszę ci to pokazać. - Nie jest już ani trochę senny.

- Naprawdę chcesz tam iść?

- Tak.

- Bibliotekę zamykają o dziewiątej.

- Która godzina? Zerkam na zegarek.

- Dwadzieścia trzy po ósmej.

- Chyba nie masz problemów z szybkim przemieszczaniem się.

Podrzucam kluczyki i łapię je w powietrzu.

W bibliotece jest już prawie pusto. W sali, gdzie stoją słowniki i encyklopedie, nie ma nikogo, nawet bibliotekarki. Ale z sali dziecięcej dobiega śmiech.

- Pora dobranocki - informuję Chipa, gdy mijamy niskie półki.

- To znaczy?

- Dzieci przychodzą w piżamach i słuchają bajki.

- To miłe.

- Tak, bardzo. Czasem też przychodzę.

- Naprawdę?

- Tak.

- Poco?

- Bo ja wiem... - Jestem zakłopotana. - Lubię patrzeć na dzieci.

- Rozmawiasz z nimi?

- Czy rozmawiam?... Nie.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Lubię tylko na nie patrzeć.

- Nigdy specjalnie nie lubiłem, kiedy rodzice mi czytali -mówi Chip.

- Bo to nie było tylko dla przyjemności, zawsze musiałem się czegoś nauczyć. Wysłuchałem bajki, a potem kazano mi odpowiadać na pytania w małym quizie. Twój rodzice też tacy byli?

Uśmiecham się.

- Nie. Nie, mnie poddawano próbie przed czytaniem, musiałam być przez cały dzień grzeczna, żeby wieczorem usłyszeć bajkę.

Przychodzi do mnie wspomnienie: siedzę obok ojca, który czyta mi książeczkę *Parakeet Pete*, i zastanawiam się, co takiego w tej historyjce go zdenerwowało. Wysłuchałam uważnie słów, dokładnie obejrzałam obrazki i cały czas zadawałam sobie pytanie: „Co? Co takiego?”. Ale w książeczce nic nie znalazłam. To mój ojciec tak zapatrywał się na życie, widział wszystko w ciemnych barwach, miał ponurą duszę. Nie pamiętam go uśmiechniętego. A matka? Czytała tak, jak się zamiata: była to czynność, którą należało wykonać, nie najgorszy z jej obowiązków; mogła się z nim szybko uporać. Zabawne, jak długo trwało, nim zrozumiałam, że moi rodzice nigdy nie chcieli mieć dzieci. Minęło dwadzieścia lat, nim pojęłam, że nie zmieniliby tego nic, co bym zrobiła albo czego bym nie zrobiła. Nie miały znaczenia moje stopnie, moje zainteresowania, moje aspiracje. Kiedyś matka postawiła swoje zdjęcie -pięknej piętnastolatki - obok mojego szkolnego zdjęcia z pierwszej klasy liceum i westchnęła. Ale nawet gdybym ja także była piękna, wątpię, czy coś by to zmieniło. Szczerze wątpię.

Chip podchodzi do stołu, siada, rozgląda się po sali.

- Przyjemnie tu pachnie.

- Tak. Książkami.

- I miło się siedzi. Coś się unosi w powietrzu. Byli tu ludzie. Myśleli.

- Tak. - Czuję to samo bogactwo, ten sam ciężar powietrza. Jakbym słyszała szmer kołyszącego się wahadła w dużym stojącym zegarze. Albo jakbym widziała głowę pochyloną nad książką i padające na jej stronie promienie popołudniowego słońca. Mogłabym mu to powiedzieć, gdy

byśmy leżeli w łóżku przy zgaszonym świetle, trzymając się za ręce.

- Myra, pokaż mi te naczynia krwionośne, dobrze? Chcę je zobaczyć.  
Posiedzę sobie.

Patrzę na niego.

- Jestem trochę zmęczony. Naprawdę.

Znajduję dział książek o anatomii, zdejmuję z półki *Ilustrowany przewodnik po ludzkim ciele*. Przynoszę go do stołu, odnajduję stronę z rysunkiem układu krążeniowego. Chip wpatruje się w ilustrację i nie może się oderwać. Potem opiera głowę na książce.

- Kiedy byłem małym chłopcem, wierzyłem, że jeżeli położę głowę na stronie książki i się skoncentruję, to treść tej strony wniknie do mojej głowy.

- A ja myślałam, że sztuczka polega na tym, że trzeba przytknąć głowę do głowy inteligentnego człowieka, który może przekazać to, co zechce, przez ucho.

- Chodź tu - mówi. - Spróbujemy. Śmieję się.

- No chodź.

Przykładam głowę do jego głowy, trafiam uchem na ucho.

- Ach - wzdycha. - Czuję. Nie tylko on.

Przez głośnik płynie cichy głos bibliotekarki polecającej czytelnikom przynieść do jej stanowiska książki, które pragną wypożyczyć; zbliża się pora zamknięcia biblioteki. Chip patrzy na mnie.

- To chyba koniec.

- Możemy jeszcze tu przyjść.

- No tak, tylko po co?

Wstaje, wsuwa koszulę w spodnie, poprawia chustkę na głowie. Wszystko mu się poprzesuwało.

Schodzimy po schodach na parter, widzimy dwoje staruszków koło osiemdziesiątki, trzymających się pod rękę i wychodzących przez drzwi. Pochylają ku sobie głowy: stara miłość.

Wyobrażam sobie ich dom, ich łóżko, kurz na parapetach, którego już żadne z nich nie widzi, talerz z pomarańczami na kuchennym stole, albumy ze zdjęciami przechowywane na górnych półkach w szafach.

A teraz, tuż przed nami, matka z dwiema córeczkami ubranymi w takie same piżamki. Niesie naręczkę książek dla dzieci, zapowiadając dziewczynkom, że jeżeli się nie pośpieszą, nie będzie czasu na jeszcze jedną bajkę przed snem. Wtem, puszczając się w pościg za młodszą córeczką, która oddała się w kierunku otwartej ekspozycji ptasich gniazd, matka upuszcza książki. Kilka upada jej pod nogi, a kilka dalej, przy nas. Chip je podnosi, podaje kobiecie. Ta uśmiecha się i odruchowo dziękuje, ale kiedy podnosi wzrok i dostrzega chustkę na jego głowie, jej twarz napęnia się litością. I strachem. Wiem, że dziś wieczorem ani razu nie skarci swoich dzieci. A przed położeniem ich spać uściska je tak mocno, że aż się wywiną z jej objęć w radosnym zakłopotaniu. Chip prostuje się, wysuwa brodę do przodu. Chcę go wziąć pod rękę, ale tylko przysuwam się bliżej.

Milczymy w drodze do samochodu. Odjeżdżając sprzed biblioteki, mówię łagodnie:

- Zawiozę cię teraz do domu, dobrze?

Chwila. Radiowy didżej radośnie zapowiada jutrzejszą pogodę. Gorąco, duża wilgotność.

- Jeżeli nie masz nic przeciw temu - odzywa się Chip - chciałbym pojechać do ciebie.

Serce skacze mi w piersi.

- Zobaczyć się z Diann.

- Aha. Ona może mnie później odwiedzić.

- Dobrze. Świetnie.

Jeśli chodzi o mnie, znajdę sobie coś do czytania, słuchając wysiłonego milczenia tamtych dwojga za zamkniętymi drzwiami, w pokoju po drugiej stronie holu. Wiem, że będą uprawiać seks. Diann spytała mnie wczoraj, czy to mu może zaszkodzić. Zapewniłam, że nie. Widziałam jego pierś śliską od potu, twarz pełną słodkiego bólu przyjemności. Nie, powiedziałam, to mu nie zaszkodzi - nieco podwyższone ciśnienie wewnątrzczaszkowe przy orgazmie, nic wielkiego. Tylko się nie spiesz, przestrzegłam. Upewnij się, że wszystko jest w porządku, zanim... pójdziesz dalej.

Jestem jego pielęgniarką. Jestem jego pielęgniarką. Do mnie należy monitorowanie symptomów, nadzorowanie leków, informowanie i podtrzymywanie na duchu. Moim zadaniem jest także pomagać mu w przyjemnym przeżyciu ostat-

nich dni, nieważne z kim, nieważne w jaki sposób, byle zgodnie z prawem. Na wspomnienie DeWitta poprawiam się: byleby to nikomu nie zaszkodziło.

Czuję spływającą po policzku łzę. Szybko - i z wielkim, źle adresowanym gniewem - ją ocieram.

Leżę w łóżku i czytam książkę kucharską Rosie - dla smakoszy nie żałujących masła, świeżej śmietany i cukru - przepisy na czekoladowe orgazmy. Bliżej rozkoszy się nie znajdę.

Jednocześnie nasłuchuję, co dzieje się po drugiej stronie holu - nie wstydząc się, bo przecież jestem w swoim domu. Nie muszę aż tak bardzo wyteżać słuchu. Rozumiem, dlaczego Diann była cheerleaderką. W pewnym momencie wyrwała ze snu Franka - rozejrzał się tępo i z westchnieniem położył łeb na łapach. „Chcesz do pani?” - spytałam, klepiąc łóżko. Pomachał ogonem, odrzucając zaproszenie.

Teraz dobiega mnie szmer rozmowy Chipa i Diann. Może dzielą się wrażeniami z przyjemności, jaką sobie przed chwilą sprawili, dokonując zwyczajowego podliczania punktów post coitum. Moje doświadczenie post coitum przypomina samopoczucie po jakimś wielkim oszustwie w diecie: pchasz w siebie jedzenie i połykasz prawie bez żucia, a później nie wiesz, gdzie się schować. W brzuchu leży kłęb wstydu; chcesz chwycić swoją potrzebę i nią potrząsnąć.

Słyszę cichy śmiech Chipa, potem Diann. Jak do tego doszło? Jak to jest, że leżę w łóżku w domu, który powinien być moją cichą przystanią, i słucham, jak bliski mi mężczyzna kocha się z inną? I to na mojej pościeli! Którą długo wybierałam - z katalogu Bloomingdale'a, nie z „Bed and Bath”!

Wstaję, wkładam dżinsy i podkoszulek, schodzę do kuchni i otwieram lodówkę. Wchodzi Frank z talerzem frisbee w pysku. „Pomyliłeś się” - mówię, sprawdzając, czy mam wszystkie składniki do zrobienia orgazmu. Trochę mało orzechów -dostrzegam ironię faktu - ale jakoś wystarczy. Włączam piekarnik, wyjmuję miskę do ciasta. I włączam radio.

Kończę właśnie trzeci orgazm i widzę, jak schodzą po schodach. Chip kompletnie ubrany, Diann w niebieskim jedwabnym szlafroku.

Przenoszę spojrzenie z powrotem na „American Journal of Nursing”.  
Na artykuł o niewydolności nerek.

- Co tak ładnie pachnie? - zainteresował się Chip.

- Smakołyki - wyjaśniam, wskazując kuchnię. Nie ma mowy, żebym nazwała je tym, czym są.

Idzie do kuchni, a Diann siada koło mnie przy stole.

- Przepraszam - mówi cicho.

- Za co?

- Za to, że... wydaje mi się, że mogłam być trochę za... głośna.

- Byłam tutaj - odpowiadam wymijająco. Podnoszę wzrok i widzę Chipa, który wyszedł z kuchni z talerzem pełnym orgazmów. Stawia na stole, bierze jeden. Diann patrzy tęsknym okiem, ale nie częstuje się.

- Diann - mówi Chip z pełnymi ustami, wskazując talerz. Diann potrząsa głową.

- Nie jestem głodna. - Dotyka palcem brzeżka małego kwadracika, cofa rękę, wreszcie bierze smakołyk. - A co mi tam. - Łamie go na pół, zjada jedną połówkę, a potem, szybko, drugą. - Pamiętam, jak pierwszy raz robiłam kakaowe ciasteczka. Pękałam z dumy. Wyjęłam je z piekarnika, zostawiłam na kuchence, żeby ostygły, i poszłam do siebie odrobić lekcje. Kiedy wróciłam do kuchni, ciastka znikły, wymietli je do oszatka moi bracia i siostry. Żałowałam wtedy, nie pierwszy raz, że nie jestem jedynaczką.

- Ciesz się, że nią nie byłaś - podpowiadam.

- Ale czy to nie było... czy nie poświęcano ci więcej uwagi? - pyta Diann.

- Nie odpowiadam. Ludzie, którzy mają braci i siostry, nie znoszą, gdy się zaprzecza. Chcą usłyszeć, że mają rację, chcą potwierdzenia swoich wyobrażeń, że jednak wysiaduje między adorującymi go rodzicami, którzy na zmianę chwala go i głaszczą po główce. Nie chcą słyszeć o posiłkach, przy których nikt się nie odzywa, o nieudanych wakacjach, o długich godzinach siedzenia w salonie i czekania na rodziców, którzy wyszli z domu.

Idę do kuchni po karton mleka i szklanki, stawiam na stole.

- Oto jak wspaniale być jedynaczką - mówię. - Wycinałam dzieci z magazynów i udawałam, że to moi bracia i siostry. Przyklejałam je taśmą do ściany w swoim pokoju. Matka



krzyczała, że do ścian jest poprzyklejana taśma, i zdejmowała obrazki. A ja wycinałam następne.

- Ja udawałem, że moim bratem jest żaba - wspomina Chip. - Dałem jej na imię Sherman. Trzymałem ją w pudle przykrytym siatką w kącie pokoju. Kiedy odrobiłem pracę domową, stawiałem żabę na biurku i przytrzymywałem, żeby nie zeskoczyła.

Diann się śmieje.

- Nie opowiadałeś mi o tym.

- Pewnie, że jak się ma braci i siostry, to się fantazjuje, że jest się jedynakiem - mówi Chip. - A jak się jest jedynakiem, to się fantazjuje, że się ma braci i siostry.

- Ja wcale nie chciałam być jedynaczką — oświadcza Diann. - Lubiłam się bawić z siostrami i kochałam mojego małego braciszka. Chociaż często byłam dla niego okropna. Ostatni raz, gdy go widziałam, przypomniał mi, jak...

Chip nagle wstaje, idzie do toalety. Słyszymy, jak wymiotuje. Diann patrzy na mnie rozszerzonymi oczyma.

- W porządku - mówię. - Ja się tym zajmę. - Podchodzę, stoję przed drzwiami, słyszę spuszczaną wodę, potem wodę z kurka. Kiedy Chip otwiera drzwi, pytam: - Nic ci nie jest?

Uśmiecha się zakłopotany.

- To przyszło tak nagle! Nawet nie zrobiło mi się niedobrze!

Kiwam głową, nie chcąc, żeby mnie spytał, czy to z powodu raka.

- Pewnie zjadłem za dużo ciasteczek - tłumaczy się. Unika mojego spojrzenia, więc wie, że to nie to.

Na drugi dzień rano dzwonię do doktora Samuelsona, żeby go powiadomić o wymiotach Chipa. Zwiększa dawkę steroidów. Wprowadzam zmianę w karcie i dzwonię do rodziców Chipa. Telefon odbiera matka. Informuję ją o zmianie w dawkowaniu leku, a wtedy ona pyta o przyczynę. Po moim wyjaśnieniu mówi:

Dość tego. Jest za bardzo aktywny. Musi zostać w domu. Nie pozwolę, żeby tak się męczył. Nie odpowiadam.

- Pani Lipinsky?

- Tak, jestem tu.

- Myślicie, że to jest jakaś gra.

- Nie, ja...

- Może nie jest pani świadoma faktu, że podpisaliśmy papiery, wszyscy troje, żebyśmy mogli, ja i ojciec Chipa, podejmować za niego decyzje, kiedy to będzie konieczne. Myślę, że ten czas już nadszedł. Muszę prosić o to, żeby Chip od dzisiaj przebywał cały czas z nami. Może także przydałaby mu się inna pielęgniarka.

- Pani Reardon... Odkłada słuchawkę.

Kwadrans później dzwoni telefon. Pan Reardon. Prosi, żebym nadal opiekowała się Chipem i żebym nadal pozwalała mu przychodzić do mego domu.

- Spotkajmy się - proponuję. - Powinniśmy to omówić.

- Żona zgodziła się, żeby Chip robił, co chce. Stukam gumką w biurko, patrzę w kalendarz.

- Mogę z nią porozmawiać? - pytam.

Podchodzi do telefonu, ale zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć, mówi po prostu:

- Proszę go sobie wziąć, jest mi wszystko jedno.

- Chciałabym przyjechać i spotkać się z panią, pani Reardon.

- Nie chcę się z panią spotykać. Proszę go sobie wziąć. Tego pani chce. Nie potrzebuje pani spotykać się ze mną. Nie jestem pacjentką.

- Czy mogłabym jednak przyjechać i porozmawiać z panią? Cisza.

- Może jutro po południu? Długa pauza. I wreszcie:

- O której godzinie?

- O czwartej?

- Tak - odpowiada z westchnieniem. - Dobrze. Odkładam słuchawkę, patrzę przez okno, wyobrażam sobie,

że ona robi to samo, przykładła wypielęgnowaną dłoń do zagłębienia pod szyją i ma znieruchomiałe oczy. Chcę jej powiedzieć, że ją rozumiem. Naprawdę.

Tego wieczoru, tuż po jedenastej, odrywa mnie od pracy w gabinecie jakiś szmer. Podnoszę głowę i widzę Diann, ubraną w szorty i podkoszulek Chipa.

- Mogę wejść? - pyta.
- Jasne. - Zamykam kartę Grace. - Dobrze się czuje?
- Tak. Śpi.
- A ty nie możesz zasnąć, co?
- Zwykle kładę się spać znacznie później. Ale on tak szybko się męczy. Wiesz.
- Tak.
- A więc jutro wielka narada! - mówi, siadając w fotelu na wprost mnie.
- Tak. Muszę wyjaśnić kilka rzeczy z jego matką.
- Powodzenia. Jego tata jest cudowny, za to matka...
- Chip wspominał, że nigdy się między wami nie układało.
- Delikatnie mówiąc. Od chwili, kiedy ją poznałam, traktowała mnie bardzo chłodno. A potem pierwszy raz przespałam się z Chipem w jej domu.
- Naprawdę?
- Tak, pod koniec ostatniego roku szkoły. Postanowiłam iść na całość, chociaż zawsze uważałam, że to w kiepskim stylu przespać się w szkole średniej. Ale wytłumaczyłam sobie, że przecież koniec szkoły tuż-tuż. Taka byłam w nim zakochana. Naprawdę myślałam, że zostaniemy na zawsze razem, pobierzemy się, będziemy mieć dwójkę dzieci, cztery sypialnie... W każdym razie rodzice Chipa pojechali do Nowego Orleanu. Kochaliśmy się w jego pokoju, na bardzo gustownym chłopięcym prześcieradle, takim w cienkie granatowe paski. Matka urządziła mu pokój jak z ilustracji w piśmie o urządzaniu wnętrz, niestety, nie bardzo dało się w tym odnaleźć samego Chipa. Było trochę krwi. Upraliśmy pościel i pamiętam, jakie zrobiło na mnie wrażenie, że Chip umie nastawić pralkę, ja nauczyłam się, dopiero gdy poszłam do college'u. Tak więc upraliliśmy pościel, wybieliliśmy ją nawet, pewni, że nikt się nie zorientuje. Kilka dni później spotkałam przypadkiem ją i jej męża i przysięgłabym, że o wszystkim wiedziała. Mąż był jak zwykle bardzo serdeczny, ona zaś ani się nie uśmiechnęła, ani nie odezwała. Wpatrywała się we mnie takim wzrokiem, jakby mówiła: „Wiem, co zaszło między tobą a moim synem, ty dziwko”.
- Hm. Ciekawe, czy Chip jej powiedział.
- O Boże, nie. On by tego nie zrobił. Przez całe życie miał słaby kontakt z matką, nigdy się jej nie zwierzał. Do kogoś ta-

kiego nie można się zbliżyć. Ją interesuje jedno: własny punkt widzenia. Wątpię, czy zaaprobowałaby jakąkolwiek dziewczynę u boku Chipa.

- Czekam na ciekawe spotkanie.

Diann bierze do ręki muszlę, którą trzymam na parapecie, i oglądają, obracając na wszystkie strony.

- Na pewno wścieka się, że się zjawiłam.

- Nie wspomniała o tobie. Najbardziej zależy jej na tym, żeby Chip poddał się bardziej agresywnemu leczeniu. Uważa, że nie bierze swojej choroby poważnie.

- Ależ bierze ją poważnie. Tylko że robi to na swój sposób i...

- Wiem. Sama ci to powiedziałam. Odkłada muszlę, wstaje.

- Domyślam się, że jesteś zajęta - mówi.

- Muszę trochę popracować.

- Przepraszam, że ci przerwałam.

- Nie szkodzi.

- Nie będzie ci przeszkadzał telewizor? Nastawię go cicho.

- Proszę bardzo, nastaw sobie. - Otwieram kartę Grace, podsuwam krzesło do biurka.

Diann wychodzi z gabinetu, robię kilka notatek, zamykam kartę. Nie muszę pracować. Mogę to zrobić jutro. Diann ogląda telewizję w cudzym domu, zastanawiając się, czy w jej mieszkaniu, gdzie też mieszka sama, uschły kwiatki. Przyjechała tu, żeby zaopiekować się mężczyzną, którego kochała, i niezbyt jej się to udaje.

Wchodzę do salonu, siadam obok niej na sofie.

- O! Cześć! - Obciera szybko policzki pod oczami; płakała. Śmieje się zakłopotana.

- Mogę pooglądać z tobą?

- Oczywiście. Chociaż właściwie nie oglądam.

- Mam zgasić?

- Nie. Chciałam tylko posłuchać głosów mówiących o czymś innym.

- Dobrze.

- Myra, muszę... Wiesz, dlaczego wstałam? Muszę zrobić pranie. - Znów zaczyna płakać. - Nasiusiał do łóżka.

- Och, Diann.

- Weszłam do gabinetu, żeby ci powiedzieć, ale nie mogłam. Nie wiem, dlaczego.

- Takie rzeczy będą się teraz zdarzać, Diann. Najpierw z rzadka, a potem coraz częściej. Jak zareagował?

- Był... zdezorientowany. Obudził się z głębokiego snu. Poczulałam od razu, wyskoczyłam z łóżka i zaczęłam szybko zdejmować pościel, zresztą uratowałam materac. A on... Powiedziałam mu, że ja to zrobiłam. - Patrzy na mnie, śmieje się przez łzy. - A on uwierzył. Orzekł, że nie powinnam pić tyle wody przed snem. Położyłam świeżą pościel i zaraz zasnął.

- Nie zmoczył piżamy?

- Nie miał... piżamy.

- Ach tak.

Odwraca spojrzenie, znów patrzy na mnie.

- Myra, chcę tylko powiedzieć... Wiem, że on jest ci bliski. I bardzo mi przykro, że... Po prostu bardzo mi przykro.

- W porządku. - Patrzę w telewizor. Judy Garland. *Narodziny gwiazdy*. - To jest dobre. Może obejrzymy?

Diann zerka na ekran, pochyła się.

- Och, uwielbiam ten film. *The Man That Got Away*.

- Tak.

Uśmiechamy się do siebie, połączone nieszczęsną ironią tytułu piosenki o człowieku, który uciekł. Opadam na oparcie, wzdycham głęboko.

- O Boże, Boże! - Wstaję, przeciągam się. - Wrzucę pościel do pralki. Chcesz prażonej kukurydzy?

- Ja zrobię pranie. To mogę zrobić. Potem wezmę okulary i bardzo chętnie schrupię trochę kukurydzy.

Rose jest w szpitalu. Nie ma w tym nic niezwykłego; co kilka miesięcy musi być przez pewien czas hospitalizowana, żeby utrzymać w ryzach cukrzycę. Dlatego zmieniałam kolejność wizyt i najpierw przyszedłam do Grace. Sprawia wrażenie rozkojarzonej - nie patrzy mi w oczy, wierci się, nie odpowiada na rutynowe pytania o nią i o dziecko. W pierwszej chwili myślę, że wizyta o innej porze wytrąciła ją z równowagi. Jednak chodzi tu o coś więcej. Odłożywszy jej kartę do torby, przysiadam na łóżku i pytam cicho:

- Co się stało, Grace?

Kładzie Kurta do łóżeczka, naciąga maleńką koszulkę na brzusek. Siada koło mnie na łóżku.

- Rozmawiałam z mamą o tym, żeby go oddać.

- Tak? - Staram się nie okazać zaskoczenia.

- Tak. Na pewno znalazłby się ktoś, kto dobrze by się o niego zatroszczył.

- Pewnie tak.

- To byłoby dla niego najlepsze. Przede mną nie ma perspektyw.

- Masz dopiero piętnaście lat, Grace. Dużo może się zdarzyć.

- A ty myślisz, że powinnam go zatrzymać?

Patrzę na Kurta, jego czyste oczy, różowe policzki, rude loczki. Grace wspaniale się nim opiekuje. Lecz jakże trudno

powiedzieć piętnastolatce, że najlepszym dla niej zajęciem jest chowanie dziecka.

- Jestem trochę zaskoczona, że pojawił się taki problem -mówię wreszcie. - Myślałam, że podjęłaś ostateczną decyzję i chcesz go zatrzymać.

- Podjęłam. Tylko że rozmawiałam niedawno z mamą i ona... - Grace chowa twarz w dłoniach i zaczyna płakać. -Nie masz pojęcia, jak ja się staram.

- Wiem, Grace, wiem, jak bardzo się starasz. I wspaniale ci idzie.

- Tak bardzo go kocham. Nie chcę mu zaszkodzić. - Pochylając się nade mną, sięga po pudełko chusteczek na nocnym stoliku, wyciera nos. - Wiem, że ktoś inny mógłby mu dać o wiele więcej.

- Materialnych rzeczy?

- To znaczy?

- Więcej ubrania, więcej zabawek...

- Tak. Szkoły. - Wyciąga rękę do dziecka, głaszcząc go po główce, przestaje. — I... To właściwy moment. Teraz albo nigdy. Kiedy Kurt jest jeszcze taki mały... - Patrzy na mnie. Przelyka ślinę.

- To twoja decyzja, Grace.

- Owszem. Lecz wciąż się zastanawiam. Wiem, że to może nie być dla mnie dobre, jeśli go zatrzymam. Ale ponieważ już go mam, jak mogę wrócić do poprzedniego stanu, gdy go nie miałam? Znam dziewczynę w mojej szkole, która urodziła córeczkę, mając czternaście lat, i ją oddała. Chociaż wcale nie chciała. I co z tego, że może ją widywać, skoro to jej rozdziera serce. Dlatego myślę, że tak naprawdę nie można oddać dziecka, które w tobie urosło. To się nie udaje. Dziecko i tak zawsze jest w tobie. Jest częścią ciebie. Równie dobrze można go mieć w domu, jeżeli zajmuje tyle miejsca w twoim wnętrzu.

Uśmiecham się, dotykam jej ręki.

- W każdym razie moja mama mówi, że do jutra muszę podjąć decyzję.

- Więc... zawiadomisz mnie? Podchodzi do okna, wygląda na ulicę.

- Jasne. Zadzwoń. Bo jeżeli go oddam, nie będziesz musiała co tydzień do mnie przychodzić.

Prawdę mówiąc jestem upoważniona do złożenia już tylko

dwóch wizyt. Widocznie zapomniała. Ale nie trzeba jej o tym teraz przypominać. Biorę torbę.

- Uszanuję każdą twoją decyzję, Grace. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że wszystko zrobiłaś dobrze i nie masz najmniejszego powodu do wstydu.

Nie patrzy na mnie, kiwa głową.

Wychodząc, spostrzegam matkę Grace, Millie, która siedzi w słonecznym salonie, czyta magazyn i pali papierosa. Jest kasjerką w Stop and Shop; widocznie ma wolny dzień. Macham do niej ręką, odpowiada lekkim skinieniem głowy. Nie lubi mnie i neguje potrzebę moich „odwiedzin”. Podnosi się z fotela, podchodzi do drzwi i staje przy mnie.

- Mówiła, o czym rozmawialiśmy?

- Tak.

- Nie widzę sensu w tym, żeby go zatrzymała.

- To trudna decyzja.

- Tak. Której ona nie ma prawa podejmować. - Millie zaciąga się, wypuszcza dym tylko trochę w bok od mojej twarzy. Jedną rękę założyła na brzuch, w drugiej trzyma wysoko papierosa. Dostrzegam, że zgubiła jeden akrylowy paznokieć. Jest ubrana w czarne szorty i białą koszulę zawiązaną w węzeł w talii, niebieskie plastikowe trepy. Włosy, w tym tygodniu rude, ujęte wysoko w koński ogon. - Na litość boską, ona nie może się zdecydować, co chce na kolację.

- Myślę, że Grace bardzo dojrzała przez te ostatnie kilka tygodni.

- A pani ma dzieci? - pyta Millie.

- Nie.

- Tak też myślałam. - Obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów. - Jest pani w ogóle mężatką?

- Nie.

Znów się zaciąga, powoli kiwa głową.

- No cóż. Dziękuję za to, co pani zrobiła dla niej i dzieciaka.

- Było mi bardzo miło widywać ją. I Kurta. - „Ale nie panią”, słyszymy obie.

Otwiera drzwi, marszczy czoło wyczekująco. Myślę przez chwilę o tym, żeby wejść do pokoju Grace i spytać, czy nie chciałaby wprowadzić się razem z Kurtem do mnie. Ale nie robię tego. Idę do samochodu, myśląc: Jak tylko wrócę do



domu, zadzwonię do służby socjalnej. Millie ma swoją broń, a ja mam swoją.

Lecz kiedy zapalam silnik, mój gniew przygasa. Rozumiem, dlaczego Millie postępuje tak a nie inaczej. Wszystkie matki, z którymi się spotykam, próbują ratować swoje dzieci.

W drodze do DeWitta dostaję sygnał przez pager. Diann. Znajduję publiczny telefon i oddzwoniam.

- Dzięki, że dzwonisz. Muszę cię o coś spytać. Zaczekasz chwilkę?

Słyszę, jak woła do Chipa, że musi porozmawiać z kimś z pracy.

- W porządku - mówi do mnie. - Jestem w twoim gabinecie. Nie szkodzi?

- Proszę bardzo. - Tylko niczego nie dotykaj, dodaję w myślach.

- Zadzwoniłam, bo siedzieliśmy z Chipem przed domem i piliśmy kawę. Upuścił filiżankę. Wypadła mu z ręki. Wiem, że to nie brzmi bardzo poważnie, ale było w tym coś niesamowitego. Rozumiesz?

Tak. Rozumiem. Mózg atakowany przez komórki rakowe zawodzi to tu, to tam. Najpierw chce się powiedzieć „jeżyna”, a mówi się „żurawina”. Potem robi się siusiu do łóżka. Potem zapomina się, jak coś się pisze, i charakter pisma robi się obcy.

- Tego... należy się spodziewać, Diann.

- Aha. Więc nic nie można na to poradzić? Nie trzeba dzwonić do lekarza?

- Nie. Zawiadomię go przy następnej okazji, gdy będę składała raport o stanie pacjenta. Ale nie ma w tym nic zaskakującego. Może też... Dla twojej wiadomości. Może zacząć się potykać. Albo przewracać.

Słyszę jej szloch, który raptem się urywa.

- Jezu!

- Wiem.

- To takie przerażające. Takie złe.

- Wiem.

- Przepraszam, że tak spanikowałam. Niepotrzebnie dzwoniłam.

- Potrzebnie. Chciałaś spytać o coś, co cię zaniepokoiło. Możesz do mnie dzwonić o każdej porze.

- Okay. Okay. Dziękuję. O, jeszcze jedno. Idziemy po południu do kina. Wybierzesz się potem z nami na kolację? Chip ma ochotę na meksykańskie jedzenie, więc pójdziemy do Tippfs.

- Nie, dziękuję, chciałam...

- Powiedział, że ciebie poprosi, żebyś z nami poszła. Myślę, że to by dla niego wiele znaczyło, Myra. Nie chcę, żebyś mu odmawiała. Proszę cię, nie odmawiaj.

- Dobrze. Pójdę.

Odkładam słuchawkę, przymykam oczy, potem wracam do pracy.

- Przejadłem się - oświadcza De Witt. - Jestem ciężko chory. Rzeczywiście nie wygląda zdrowo - ma wory pod oczami

i jest okropnie ociężały. Sprawdzam tętno i ciśnienie krwi, wkładam mu termometr do ust. Wyjmuję i mówię, że temperaturę ma bez zmian.

- Cholera! Lubię mieć gorączkę, kiedy choruję. Gdzie Frank?

- Nie przyszedł dziś ze mną. Boli cię rana?

- Nie. Co z nim?

- Jest z kimś, kto na jakiś czas się u mnie zatrzymał. Zmienimy opatrunek, zobaczymy, co się pod nim dzieje, czy nie ma infekcji.

- Nie, to nie to. Najpewniej tamta padlina, którą jadłem wczoraj na kolację. Zapraszam tę nową znajomą na kolację, a ona mówi, że chce sushi. „Słoneczko - pytam - po co ci to japońskie świństwo?” A ona na to: „Ach, Dewitt”. Z tego rozumiem, że nie pójdę z nią do łóżka, jeżeli nie zjem tego gówna. Więc jem i co się dzieje? Spędzam pół nocy w salonie porcelany, walcząc na dwa fronty.

- Przynajmniej miałeś przedtem trochę przyjemności -mówię, zdejmując opatrunek.

- Cholera! To było właśnie najgorsze. Musiałem ją odwiedzić do jej domu, w którym mieszka z mamusią, a gdybym wcześniej o tym wiedział, to wierz mi, nie byłoby w ogóle żadnej randki. Zapłaciłem za tę kolację! Zapłaciłem za nas oboje i zostawiłem suty napiwek!

- Raz na wozie, raz pod wozem. - Wyrzucam zużyty opatrunek, oglądam ranę. Goi się powoli, ale się goi.

- O nie, słoneczko, ja zawsze jestem na wozie. Patrzę na niego.

- Tylko ten jeden raz nie.

Zakładam nowy opatrunek, w milczeniu, zajęta własnymi myślami.

- Przyrowadź jutro psa - prosi DeWitt, kiedy skończyłam go opatrywać. - W porównaniu z tobą jest imponująco rozmowny. Zrobiłaś się cholernie nudna.

- Zadzwoń, jeżeli ci się pogorszy - mówię.

- Zadzwoń, jeżeli tobie się polepszy! Wzdycham, opieram się o framugę drzwi.

- No co?

- Nic, tylko... Odczep się ode mnie, DeWitt. Dobrze?

- Oj, weź się w garść. Nie wiesz, że jesteś moją przyjaciółką?

Wpadam do McDonalda na szybki lunch. Niedaleko siedzi przy stoliku młoda matka z czteroletnim synkiem.

- Boli mnie głowa - skarży się chłopczyk. Matka nie zwraca uwagi. - Mamo, boli mnie głowa.

- Wiem, kochanie - odpowiada matka, zapatrzona przed siebie.

Kończę kanapkę z rybą, dopijam colę.

- Proszę pani? - zagaduję. Kobieta spogląda na mnie.

- Przepraszam, ale niechcący usłyszałam, co mówi pani syn. Chciałam tylko powiedzieć, że jestem pielęgniarką, a takiego małego dziecka nie powinna boleć głowa.

Kobieta wybałusza oczy.

- Przed chwilą się uderzył. Wysiadając z samochodu.

- Ach tak. Przepraszam.

- Nie szkodzi.

Wracam do samochodu i przez chwilę siedzę w bezruchu, powtarzając sobie, że nie wszyscy umierają. Myślę też o tym, że powinnam kiedyś zrzucić pielęgniarską pelerynę.

\*

W drodze do Fitz'a utknęłam w korku. Jeden z minusów uprawiania mojego zawodu. Lecz nie wyobrażam sobie, że mogłabym robić coś innego.

Włączam radio, nastawiam muzykę klasyczną. Czy tym kompozytorom najpierw śniła się muzyka, którą komponowali? Czy wstawali rano z uczuciem przepełnienia, wewnętrznego ucisku, a potem zapisywali nuty, czując powolne zelżenie napięcia? A kiedy grali swoją muzykę ludziom, których kochali, to czy ci ludzie naprawdę ją słyszeli? Rozmyślam czasem nad naturą związków, czy ludziom udaje się utrzymać w sobie to, co było kiedyś idealne. Za każdym razem, gdy idę sama do restauracji, trochę się nad sobą rozczulam, ale przestaję, widząc tyle par, siedzących razem i omijających się wzrokiem, jakby bez towarzystwa. Po co w coś wchodzić, jeżeli tak szybko wyczerpują się tematy? A alternatywa? Smutne echa odbijające się od ścian kanionu duszy, dobrze to znam.

Myślę o rodzicach, rozradowanych na ślubnych fotografiach. Wiele lat potem żadne z nich nie nosiło obrączki; leżały porzucone w szufladzie komody. Kiedy miałam dwanaście lat, matka znalazła mnie na swoim łóżku, bawiącą się złotymi obrączkami. „Co ty robisz?” - spytała. „Nic” - odparłam. Wyciągnęła rękę, położyłam na niej obrączki, a ona odłożyła je do komody i powiedziała: „Nie ruszaj ich”. Dlaczego? - zadałam sobie wtedy pytanie.

Żałuję, że zgodziłam się pójść dzisiaj do restauracji. Enchiladas suisas dla piątego koła u wozu proszę. Jakim będziemy dziwnym trio. Co pomyśli kelner? Całkiem przystojny gość, gdyby zdjął tę chustkę. Piękna kobieta. A to... pewnie przyjaciółka.

- Muszę ci coś powiedzieć - mówi Fitz.

Podnoszę głowę znad torby, w której szukałam stetoskopu.

- Co takiego?

Pewnie oszukiwał i nie stosował się do zaleceń dietetycznych. Zapomniał wziąć leki.

- Żenię się. Przysiadam na piętach.

- Naprawdę?!

- A jak.

- Z kim?
- W klubie wołają na nią Mgiełka. Ale tak naprawdę nazywa się Angela Brooks.
- Moje gratulacje, Fitz!  
Kiwa głową, uśmiechając się radośnie.
- Dziękuję.
- Kiedy to się odbędzie?
- Dziś wieczorem.
- Dziś wieczorem!
- Tak, po ostatnim przedstawieniu. Znaleźliśmy wielebnego, który późno chodzi spać.
- Czy ona zamieszka tu z tobą?
- Nie. To ja przeprowadzam się do niej. Możesz mnie u niej odwiedzać, ma ładny dom z brązowego piaskowca w South Endzie. Te dziewczyny nieźle zarabiają! Będę takim domowym mężem, będę się nią opiekował. Tylko tego jej potrzeba, kogoś, kto się nią zaopiekuje, mężczyzny innego od pozostałych, do którego będzie wracała do domu. I ja jestem tym mężczyzną, jestem inny! Będę dla niej gotował, umiem gotować, tylko muszę wiedzieć, gdzie co jest. I sprzątać też mogę, jestem bardzo czysty!
- Wiem o tym, Fitz. U ciebie zawsze panuje porządek.
- Ona powiedziała to samo. Zaprosiłem ją w ostatnią sobotę, zrobiłem kurczaka na kolację. Była zaskoczona, że tak u mnie czysto i schludnie. Że przygotowałem taki smaczny posiłek. Wiesz, co zrobiła, kiedy postawiłem przed nią talerz? Rozpłakała się jak dziecko. Mówiła, że tęskni za Alabamą. Że jej życie wyglądało zupełnie inaczej, gdy była małą dziewczynką. Długo rozmawialiśmy, a potem, sam nie wiem, wydało mi się to właściwe, oświadczyłem się jej. I nawet przyklęknąłem! Kochałem ją od dawna, ma głos jak aksamit, ale muszę przyznać, że sam siebie zadziwiłem, wypowiadając te słowa: „Czy wyjdiesz za mnie za mąż”. Tak długo byłem kawalerem! Wiesz, co ona na to? Odpowiedziała „tak” bez chwili wahania. A jaka była wdzięczna. Tego jej trzeba, potrzebuje miłości jak każdy. Potrzebuje domu, w którym mogłaby czuć się naturalnie. Widzisz kogoś takiego, taką gwiazdę, i myślisz, że takim jak ona ptasiego mleczka nie brakuje. A wystarczy podać kurczaka i ciastka, żeby prawda wyszła na jaw. - Chichocze. - Tak, prawda wychodzi na jaw.

Rozwijam mankiet do mierzenia ciśnienia, zakładam na szyję stetoskop.

- Naprawdę bardzo się cieszę. Zobaczmy, czy ta dobra wiadomość pomogła na ciśnienie. - Mierzę, wyjmuję stetoskop z uszu i mówię z uśmiechem: - No, zgadnij.

- Nie musisz mi mówić - odpowiada. - Ja już to wiem.

Ann Peters jest ubrana w białe płócienne spodnium, perłowy naszyjnik o długości odpowiedniej na popołudniowe wyjście i perłowe kolczyki. Po mojej wizycie wybiera się do Bostonu na lunch w The Four Seasons.

W łazience dla gości myję ręce przed podaniem kropli. Ilekroć wchodzę do tej łazienki, mam ochotę pobyć tam jak najdłużej i wszystko podziwiać. Wygięty w wysoki łuk złoty kran, witrażowe okno. Zasłony - w życiu takich nie widziałam - z jakiejś przejrzystej złotej materii. Wymownie zaznaczają swoją obecność. Na podłodze bogato żyłkowany marmur; mydło na umywalce zawsze świeże, o delikatnym zapachu; rozkosznie miękkie ręczniki.

Po wpuszczeniu kropli pani Peters przeciera delikatnie oczy kwiecistą chusteczką. Siedzimy w pokoju śniadaniowym: francuskie dekoracje w tradycyjnych kolorach, niebieskim i żółtym, na ścianach malowane krajobrazy.

- Jadłaś kiedyś w The Four Seasons? - pyta pani Peters.

- Nie.

- Naprawdę? Nigdy?

- Ja raczej nie chodzę do takich lokali.

- Ależ tam jest cudownie. Musisz się kiedyś wybrać. Coś ci powiem. Jestem zaprzyjaźniona z kierownikiem hotelu. Załatwię z nim, żebyś mogła zjeść kolację z osobą towarzyszącą na koszt firmy. A nawet więcej, pozwól, że ofiaruję ci weekend.

- To bardzo miłe z pani strony. Ale nie mogę skorzystać z takiego zaproszenia.

Prostuje się, rozsiada w fotelu.

- Chciałabym, żebyś zwróciła na coś uwagę.

- Tak?

- Ja ciebie nie proszę. Ja tobie mówię. Byłaś dla mnie taka dobra. I bardzo jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Śmieję się.

- Ależ...

- Myra. - Kładzie rękę na mojej, patrzy mi w oczy. - Proszę, nie każ mi wyjaśniać, jak wiele znaczyło dla mnie twoje towarzystwo. Ty okazujesz troskę. Mnie wprawiałoby to w zakłopotanie.

Do tej chwili, gdyby ktoś spytał mnie, czy cokolwiek znaczyłam dla tej pacjentki, roześmiałabym się i powiedziałabym „nie”. Ale teraz myślę o tym, jak rozmawiałam z jej dziećmi - żadne nie ma dla niej czasu. Myślę o fotografiach w ciężkich oprawkach, które widziałam w jej domu: fotografowani nie siedzieli blisko siebie; nikt nie uśmiechał się naprawdę szczerze. Dziś rozumiem, że może przy mnie pani Peters czuje się najswobodniej, i serce mi się kraje.

- Jest pani zbyt hojna, pani Peters. Ale... zgoda. Przyjmuję zaproszenie.

- Cieszę się. Jeszcze dzisiaj zadzwoni do ciebie konsjerż. Wszystko załatwię. A ty tylko mu powiesz, kiedy chcesz przyjechać.

- Dobrze. Dziękuję.

- Robię to dla ciebie z prawdziwą przyjemnością, Myra. - Patrzy na zegarek. - O, szofer już na mnie czeka.

Wychodzę razem z nią, zamykam ciężkie drzwi. Patrzę, jak odjeżdża. Jej głowa wydaje się taka mała w obramowaniu tylnego okna samochodu prowadzonego przez obcego jej człowieka, któremu zależy tylko na dużym napiwku.

O czwartej Chip, jego rodzice i ja siedzimy w salonie. Przez dłuższą chwilę ciszę przerywa tylko tykanie stojącego zegara, dobiegający od czasu do czasu zza okna śpiew ptaka. Wreszcie odzywa się Chip:

- No to jak? Sprawa załatwiona? Pani Reardon patrzy na mnie.

- Nie jestem pewna, o jaką sprawę chodzi. Powiedziałam już, że zgadzam się, żeby Chip robił, co chce.

- Tak, wiem. Ale pomyślałam, że dla nas wszystkich byłoby dobrze, gdybyśmy... Gdybyśmy naprawdę poczuli, że rozumiemy...

- Tu nie ma nic do rozumienia - przerywa mi pani Rear-

don. - To proste. Chip nie chce nic zrobić, absolutnie nic, żeby sobie pomóc.

- Mamo - mówi Chip. - Chryste!

- Nie utrudniaj jej tego - prosi pan Reardon.

- Nie utrudniam! - Chip wstaje, a potem nagle siada. Obraca się do matki, potrząsa głową. - Czego ty chcesz, mamo? Wiesz, jakie są rokowania. Wiesz, że jestem nieuleczalnie chory.

- Wcale tego nie wiem - upiera się pani Reardon. - I ty też nie. Przeczytałam niedawno w bibliotece o pewnym Włochu, który chorował dokładnie na to samo co ty. Po postawieniu diagnozy nadzieje były nikłe, ponieważ dwa lata wcześniej jego siostra umarła na guz mózgu. Ten człowiek jednak poddał się operacji i naświetlaniom i przeżył. Odnaleziono go po piętnastu latach. Był zdrowy, ożenił się, pracował. I miał dwie córki!

- Myra - mówi Chip. - Pomóż mi, proszę.

- Zdarzają się wyjątkowe przypadki - przyznaję. - Ale szanse na wyleczenie są naprawdę...

- Pani nie wie! - przerywa mi matka Chipa. - Nikt nie wie.

- Uważam - zwracam się wprost do niej - że trzeba się dzisiaj zastanowić, jak możemy pomóc Chipowi, który podjął już decyzję.

- Podjął decyzję? Nie jestem pewna, czy on ją podjął.

- O czym ty mówisz? - pyta Chip. Pani Reardon milczy.

- Przyjechałem tutaj, wiedząc, co chcę zrobić. Co ty insynuujesz? Sam podjąłem decyzję, co chcę robić, a raczej, że nic nie chcę robić. Mamo, nie możesz tego przyjąć do wiadomości? Co mam powiedzieć, żeby to do ciebie dotarło? Wiem wszystko! Myślisz, że nie przewertowałem mnóstwa artykułów i książek, zanim zdecydowałem, że nie będę się leczyć? Myślisz, że nie chciałbym żyć, gdyby to było możliwe?

- Nie słuchasz, co inni mają do powiedzenia - mówi pani Reardon. - Na świecie dzieją się rzeczy, które...

- Przewertowałem wszystko, mamo!

- Nigdy łatwo się nie poddawałeś.

- Nigdy przedtem nie miałem guza mózgu. Umrę. Wiem o tym. Pragnę przeżyć tę resztkę życia, jaka mi pozostała, tak jak chcę. Nie widzę sensu robienia tego, co ty chcesz. Wiem,



że ty nie widzisz sensu w tym, co ja chcę zrobić. Ale czy to coś nowego? Zawsze tak między nami było.

- Chip - zaczyna pan Reardon, ale żona nie daje mu dokończyć.

- Powiedz to - mówi z wysoko uniesioną brodą.

- Co mam powiedzieć? - pyta Chip tak cicho, że ledwie go słysząc. Wzrok ma wbity w ręce, które wepchnął między kolana.

- Myślę, że wiesz co. Chip podnosi głowę.

- Mamo. Kocham cię.

Pani Reardon gwałtownie wzdycha, zaczynają drżeć jej wargi.

- Kocham cię i pomimo wszystko zawsze cię kochałem, dziękuję ci za to, co dałaś mi kiedyś i co próbujesz dać mi teraz. Ale musisz się powstrzymać. Już czas. Daj mi trochę spokoju, mamo. Proszę cię.

Patrząc na torbę, na półkę nad kominkiem. Wreszcie słyszę głos pani Reardon:

- Co chcesz, żebym zrobiła, Chip? Powiedz. Pomogę ci. Oto wielki przywilej uprawiania tego zawodu. Widzisz, co

ludzie robią! Rozumiesz, do czego są zdolni, jakie mają wielkie serca. A gdy je otworzą, ile w nich mądrości.

Chip pakuje małą torbę, żeby przenieść rzeczy do swojego domu. Formalne potwierdzenie faktycznego stanu. W drodze długo milczymy.

- Ano tak - mówi wreszcie. Uśmiecham się.

- Ano tak.

- Dotarliśmy do celu.

- Tak.

Skręcam w prawo, zatrzymuję się raptownie przed chłopcem, który wyjeżdża rowerem na ulicę tuż przede mną. Chip spuszcza okno, chce coś do chłopca powiedzieć, ale rezygnuje. Ja czuję to samo. „Co ma być, to będzie”.

Kilka przecznic przed domem Chip mówi:

- Wiesz, doprowadzało mnie do szału, kiedy tak nalegała, żebym dalej się leczył. A teraz, gdy już przestanie nalegać, bę-

dzie mi tego brakowało. Trochę się boję. Wszystko jest prawdziwsze.

- Wiem.

- Zupełnie jakby złość na nią odpędzała strach.

- Tak.

Odchrząkuje, stuka palcami w kolano.

- Jesteś gotowa?

Patrzę na niego. Kiwam głową.

W domu Diann zabrała się za sos marinara. Robi spaghetti i klopsiki. Nalewam sobie chianti, zostawiam Chipa w kuchni przy myciu sałaty i idę do gabinetu sprawdzić, czy nadeszły jakieś wiadomości. Są cztery. Pierwsza od Grace, która oświadcza, że zatrzymuje dziecko, i prosi o wizytę jutro zamiast w poniedziałek, ponieważ Kurt tak bardzo wpatruje się w światło wpadające przez okno, że ma obawy, czy to normalne, i pyta, czy są dla takich małych dzieci okulary przeciwsłoneczne. Potem Marvelous informuje mnie, że przychyła się do opinii lekarza i da sobie radę beze mnie, ale bardzo by chciała, żebym przyszła do niej na lunch. Dostaje od córki z ogródka tyle pomidorów, że wychodzą jej uszami. Proponuje kanapki z bekonem, sałatą i pomidorami, ale bekon mam przynieść ja.

Następną wiadomość zostawił konsjerż z The Four Seasons, który zapytał miękki głosem, kiedy zechciałabym wynająć pokój, i zapewnił z powstrzymywaną radością - tak bym to nazwała - że przyjmie mnie każdego dnia, dowolnego dnia, jaki sobie wybiorę. Ostatnią wiadomość zostawił doktor Chipa. Dowiedziawszy się o zmianie planów, pyta, czy jestem pewna, że obrałam najmądrzejszą drogę. Dla mnie. Zapewnia, że ma na myśli mnie. Mam zadzwonić jutro, żeby to omówić. Dłuższą chwilę stoję przed biurkiem, kręcąc kieliszkiem z resztką wina. Wreszcie decyduję się i wypijam do dna.

Budzi mnie grzmot, który wstrząsa domem. Deszcz wali w dach, łomocze w okna. Frank, który boi się grzmotów, znika. Wstaję, klękam przy łóżku, unoszę zasłonkę chroniącą przed kurzem. Frank wcisnął się pod łóżko i trzęsie się ze strachu. „Już dobrze” - uspokajam. Patrzy na mnie i macha przeproszająco ogonem. „Chodź tu” - mówię, klepiąc podłogę, lecz to się na nic nie zdaje, nie chce wyjść.

Zamykam okna, a potem przypominam sobie, że większość okien na dole też jest otwarta. Wychodzę do holu, zapalam światło, widzę wchodzącego po schodach Chipa. Przez chwilę czuję się zakłopotana moim nocnym strojem - szarym podkoszulkiem i spodenkami w paski. Ale Chip jest w podkoszulku i bokserkach - powiedziałabym, że jesteśmy kwita.

- Idziesz na dół pozamykać okna? - pyta.

- Tak.

- Właśnie to zrobiłem.

- Ach tak. Dziękuję. Czy nakapało do środka? Trzeba coś wytrzeć?

- Troszkę nakapało. Wytarłem.

- Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co.

Stoimy przez chwilę, słuchając deszczu, a potem Chip mówi:

- Myra, zmierzysz mi ciśnienie?

- Teraz?

- Tak. Dziwnie się czuję. Kręci mi się w głowie. Tak jakoś... dziwnie.

- Oczywiście, tylko pójde po ciśnieniomierz. Może powinieneś się położyć. Będę za sekundę.

- Czy mogę wejść do twojego pokoju? Diann śpi. Odwracam się.

- Śpi? Przy takiej burzy? Wzrusza ramionami.

- Jasne, idź do mojego pokoju.

Wchodzę do gabinetu, łapię torbę. Stoję tam przez chwilę, zastanawiając się. To może nie być nic takiego. To pewnie nic. Wzdycham, siadam przy biurku. Nic. No tak.

Wracam na górę, mijam zamknięte drzwi pokoju gościnnego, potem cofam się, uchylam je i zaglądam do środka. Diann rzeczywiście wygląda, jakby spała kamiennym snem. Widzę ją wyraźnie w świetle wpadającym z holu; leży na boku z twarzą w moją stronę. „Diann” - szepczę. Chcę, żeby nie spała, bo może mi być potrzebna. „Diann!” Nie rusza się. Zamykam drzwi, idę do swojego pokoju.

Chip leży wyciągnięty na łóżku, a obok niego Frank. Wybucham śmiechem.

- Jak tego dokonałeś?

- Czego?

- Jak go nakłoniłeś, żeby wskoczył na łóżko?

Chip patrzy na Franka, który odpowiada psim spojrzeniem.

- Nie wiem. Sam wyszedł i wskoczył na łóżko. Nie szkodzi?

- Nie szkodzi, ale jeszcze nigdy nie wyszedł spod łóżka, kiedy grzmiało. Panicznie boi się burzy.

Chip drapie Franka koło ogona, a Frank z wdzięcznością unosi łeb.

- Teraz się nie boi.

Siadam na łóżku, wyjmuję rękaw ciśnieniomierza i owijam rękę Chipa. Czy przez ten ostatni tydzień znów stracił na wadze? Dlaczego tego nie zauważyłam? Umieszczam stetoskop nad tętnicą ramienną, nadmuchuję rękaw. Ciśnienie ma normalne, mówię mu to. Potem słucham serca. Obliczywszy uderzenia, patrzę mu w twarz.

- Jest dobrze - uspokajam. - Osiemdziesiąt, regularny rytm. W porządku.

Przygląda mi się, ma zmieniony wyraz twarzy.

- Co? - pytam.

- Nie wiem, masz... Czekam.

- Podobasz mi się. Masz ładne oczy. Ściągam brwi, zaczynam zwiijać mankiet.

- Naprawdę - mówi. - Dużo w nich zielonego. Nigdy przedtem nie zauważyłem.

- No cóż.

- Twoje oczy chyba zmieniają kolor.

Niepokój wzbiera we mnie jak fala. Wywołuje niespodziewaną irytację.

- Nic o tym nie wiem, może one wiedzą.

Odkładam rzeczy do torby, kładę ręce na kolanach. Dziwnie jest mierzyć komuś ciśnienie, samemu będąc w piżamie. Jak we śnie, w którym stoi się nago na zatłoczonej ulicy.

- No tak - mówię bez związku. W moim zamierzeniu miał to być słowny ekwiwalent nałożenia szlafroka, próba nadania formalnych ram nazbyt intymnej sytuacji.

Chip leży spokojnie. Deszcz dudni, na moment ustaje, a potem dudni jeszcze mocniej.

- Myra? - odzywa się wreszcie. - Czy nie miałabyś nic przeciw temu, gdybym jeszcze trochę tu został?

- Oczywiście, że nie, wszystko zostało ustalone, możesz tu mieszkać.

- O Boże, myślę, on nie pamięta, mieszka mu się w głowie.

- Nie - mówi. - Tutaj. Klepie łóżko, a Frank przysuwa się do niego.

- Och! - Kto wie, dlaczego ludzie proszą o niektóre rzeczy. Kto wie, dlaczego niektóre rzeczy nagle przynoszą ukojenie. Jasne. Pójdę na dół na sofę. - Chip nigdy nie zaznał przyjemności spania z psem; podzielę się z nim tą przyjemnością.

- Nie - odpowiada. - Miałem na myśli to, że chciałbym zostać tu razem z tobą.

Przełykam ślinę i milczę.

- Tylko na chwilę. Kiwam głową.

- Okay.

- To jest twoja strona?

- Tak.

- Dobra, przesunę się.

Przenosi się nad Frankiem na drugą stronę łóżka, ubija poduszkę i kładzie się.

- Nie ma tu stolika - spostrzega, rozglądając się. - Nie ma lampy.

- Nie jest potrzebna.

- Zawsze śpisz z tej samej strony?

- Tak, a ty nie?

- Ja chyba też. - Patrzy na mnie, uśmiecha się.

Ja też się uśmiecham, niezręcznie wchodzą do łóżka. Jestem bardzo świadoma każdej części ciała. Nogi i ręce mam sztywne jak w gipsie. Opieram się o wezglowie, wygładzam pościel. Serce mi łomocze. Frank dyszy radośnie, aż trzęsie się łóżko, i to wprawia mnie w zakłopotanie.

Długą chwilę milczenia przerywa Chip.

- Dlaczego się nie kładziesz?

- No cóż... myślałam, że chcesz porozmawiać.

- Można rozmawiać na leżąco. Parskam śmiechem.

- Wiesz, co mi przyszło na myśl? Że to nie byłoby profesjonalne.

- Tak - odpowiada z uśmiechem.

Błyska się i oboje wyglądamy przez okno. Po głośnym grzmocie Frank zeskakuje z łóżka i znów się pod nie wczołguje.

Boże - wzdycha Chip. - Niezła burza!

- Tak.

- Zapowiadali ją?

- Chyba nie. Patrzy na mnie.

- Nikt niczego nie wie.

- No cóż.

- Myślę, że nie wiedzą.

- Nieraz mają rację.

- Ale często się mylą.

- Tak. To prawda.

- Wiesz mówi Chip - pierwszy raz poszedłem do lekarza kilka miesięcy temu. Miałem okropne bóle głowy. Stwierdził, że to od zatok, i dał jakieś środki przeciwbólowe. Nie pomogły, więc poszedłem znowu. Dał mi silniejsze. Te też nie

pomogły, no to zmieniłem lekarza. Opowiedziałem mu, co się dzieje, a on na to: „O, do diabła, to nie zatoki, to stres”. Przepisał mi środki przeciwdepresyjne. Potem poszedłem do trzeciego lekarza, który może naprawdę ukończył medycynę.

- To jest czasem trudne - tłumaczę.

- Co?

- Nie zawsze łatwo od razu postawić diagnozę. Najczęściej... nie jest łatwo.

- Ale czy oni nie powinni się upewniać?

- Zwykle się upewniają. Koniec końców.

- Tak, kiedy jest już za późno. Milczę. Po chwili Chip mówi:

- Wiem.

- Co?

- W tym wypadku to by było bez różnicy, zgadza się?

- Prawdopodobnie.

- Tak... Która godzina? Patrzę na budzik przy łóżku.

- Trzecia czterdzieści trzy.

Robi głęboki wdech, zamyka oczy. Potem je otwiera.

- Przepraszam cię, Myra. Nie daję ci spać.

- Nie szkodzi. I tak bym nie spała przy tych grzmotach.

- Jesteś zmęczona?

- Nie.

- Ja też nie.

Bierze mnie za rękę. Wstrzymuję oddech.

- Chcę zrobić tylko to, nic więcej - zapewnia.

- Okay.

- Kiedy pada, człowiek jest jakiś...

- Tak.

Mija długa chwila, zanim odzywa się znowu:

- To okropne wiedzieć, jak się umrze.

- Wiem.

- Zastanawiasz się czasem nad tym, jak umrzesz?

- Pewnie.

- I co sobie wtedy myślisz?

- Jeśli mam dobry dzień, to myślę: ciężki zawał. Wylew. Katastrofa lotnicza. Rozumiesz, natychmiastowa śmierć.

- A w zły dzień?

- To zależy. Jest z czego wybierać.
- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że możesz umrzeć od guza mózgu?
- Szczerze? Nigdy.
- Ja też nigdy o tym nie pomyślałem... Myra?
- Tak?

Milczy długo, podejrzewam, że zasnął. Ale nie.

- Czy gdybyś chorowała na taką chorobę jak ja, brałabyś pod uwagę samobójstwo?

Teraz ja milczę. Prawdę mówiąc, zastanawiałam się nad samobójstwem wiele razy, lecz z innych powodów. Siedząc samotnie przy kuchennym stole, wyglądałam przez okno i myślałam chłodno, wręcz obojętnie: Niedługo będę miała dosyć. Dlatego że wiem, co mnie czeka. Więcej piękna, tak, na świecie jest wiele piękna. Ale także więcej wszystkiego. Bezbrzeżnej samotności oczywiście. I także tego: czasami, kiedy czytam gazetę, muszę ją odłożyć. Czasami, kiedy słyszę jakąś wiadomość przez radio, muszę je wyłączyć. Niekończąca się parada tragedii. A nawet gdyby świat był dobrze urządzony, istnieje mądrość przyrody. Stare musi ustąpić nowemu. Po co miałabym trzymać się życia, osiągnąwszy pewien wiek? Zacząć się bać schodzenia po schodkach przed własnym domem? Martwić się ceną puszki buraków?



W szkole musieliśmy przepracować tydzień w domu opieki. Pewnego popołudnia siedziałam w pokoju, gdzie zgromadzili się starzy ludzie na wózkach inwalidzkich, żeby pośpiewać. Popatrzyłam na ich twarze i niektóre były radosne, ale większość nie. Pamiętam, pomyślałam wtedy: To nie dla mnie. Po pierwsze, nie odwiedzałyby mnie rodzina, żeby umilić mi pobyt; byłabym jedną z tych, dla których personel robi z kartonu urodzinowe karty z życzeniami. Poza tym zawsze uważałam, że są bardzo dobre powody odebrania sobie życia własną ręką. Bez goryczy. Przychodzimy, odchodzimy. Tak jak powinno być. Ziemia obraca się na starej skrzypiącej osi, daje, co może dać, i odbiera, co musi odebrać. Dlaczego nie mielibyśmy się budzić codziennie z myślą: dobrze byłoby dzisiaj umrzeć -a potem żyć dalej, jakbyśmy sami o tym decydowali. Albo los.

Pragnę odpowiedzieć szczerze i otwarcie na pytanie Chipa, powiedzieć, że samobójstwo nie wydaje się strasznym wyborem w pewnych okolicznościach. Ale jestem jego pielęgniar-

ką, nie tylko przyjaciółką. Nie chcę wpływać na decyzję, którą musi podjąć sam. Dlatego odpowiadam:

- Możliwe, że tak.

- Ja się bardzo poważnie nad tym zastanawiam - mówi Chip. - Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Tak.

- Ale jeszcze nie teraz - dodaje.

- Nie.

Deszcz pada i pada. Myślę o kwiatkach tonących na grządkach, o ptakach żałośnie skulonych w gniazdach. Chip pochyla się i całuje mnie w policzek raz i drugi. Leżę nieruchomo jak kamień.

- Chyba powinienem położyć się w swoim łóżku - mówi.

- Okay.

- Dziękuję ci, Myra.

- Bardzo proszę.

Wstaje i chwytając się wezgiem. Instynktownie go podtrzymuję.

- To się zdarza czasem, kiedy wstaję. Mam zawroty głowy.

- Przechodzą ci, gdy chwilę postoisz?

- Tak.

- Tak mogą działać lekarstwa. To może być podciśnienie ortostatyczne, spada ci ciśnienie, kiedy wstajesz.

- Może przestanę je brać?

- Jeżeli przestaniesz je brać, będziesz miał problemy. Kiwa głową.

- Tak. Wiem. - Wzdycha ciężko. - Od tak dawna nie jestem sobą.

Obchodzi łóżko i staje po mojej stronie. Przysiada na łóżku, a ja zaczynam się podnosić.

- Nie - mówi.

Kładę się z powrotem, powoli wypuszczam oddech.

- Tak. Właśnie tak. A teraz zamknij oczy, dobrze? Zamykam oczy, słyszę, jak gasi nocną lampkę.

- Dobranoc, Myra. - Głos ma taki miękki.

- Dobranoc.

Waha się, więc myślę, że może pocałuje mnie w czoło. Nie robi tego. A jednak mnie całuje.

Wczesnym rankiem schodzę na dół i idę do kuchni zaparzyć kawę. Chip siedzi przy małym stoliku śniadaniowym.

- Hej! - mówię. - Dzień dobry.

Jestem zakłopotana. Nie dość, że wczoraj widział mnie w piżamie, to teraz pokazuję się rozczochrana, w starym szlafroku, z porannym oddechem i w kapciach. Te kapcie - Bill i Hillary Clinton - dostałam w prezencie od rodziców pod choinkę kilka lat temu.

- Dzień dobry. - Chowa do kieszeni kartkę. Jest ubrany w jasnoniebieski podkoszulek i dżinsy, długie nogi wyciągnął przed siebie, krzyżując bosc stopy. Ma pod oczami głębokie cienie.

- Wczesnie wstałeś.

- Tak. Wcale nie spałem. A ty?

- A ja spałam. - Sięgam do szafki. - Chcesz francuskiej kawy?

- Byłoby wspaniale. Chciałem zrobić kawę dla nas trojga, ale nie mogłem... Nie wiedziałem, jak działa twoja maszynka do kawy.

- Tak, każda jest inna - mówię, chociaż moja maszynka, podobna do tych, jakie dostają do dyspozycji goście hotelowi, nie mogłaby być prostsza w użyciu. Odmierzam kawę, nalewam wody, pstrykam przełącznikiem. Dosiadam się do stolika.

- Kogo dzisiaj odwiedzasz? - pyta Chip.
- Zaraz zobaczę. Piątek. Najpierw Rose, potem... tak się składa, że wszystkich.
- Mógłbym pojechać z tobą?
- Oczywiście.
- Będę wyprowadzał Franka na małe spacerki, kiedy ty pójdziesz do pacjentów.
- Nie lepiej zostawić go z Diann? On za nią przepada. Chip odchyła się do tyłu, zakłada ręce za głowę. Świeżo odrośnięte włosy są takiej długości, na jaką można się ostrzyć; gdyby je wyrównał na całej głowie, chustka nie byłaby potrzebna. Ale chyba jest do niej przywiązany.
- Wiesz co, Myra? Wyglądasz całkiem nieźle z rana.
- O Boże! - Podchodzę do maszynki, sprawdzam, czy już można nalać filiżankę kawy. Pół filiżanki.
- Podoba mi się twój szlafrok. Patrzę na wysłużoną czerwoną kratę.
- Dziękuję.
- I twoje kapcie też... Kto to jest?
- Clintonowie.
- Świetne.

Sięgam do szafki, wydaję dwie filiżanki, zaczyna szumieć prysznic na górze, zdejmuję trzecią. Z lekkim napięciem i przyjemnością. Rodzina, myślę.

A teraz słyszę, jak brzęczą wisiorki przy obroży zbiegającego po schodach Franka. Wchodzi do kuchni, wita się z nami, prychnie i ziaje. Kładzie Chipowi łeb na kolanach i stoi tak, leniwie machając ogonem. Chip głaszcze go, a ja patrzę na długie, powolne pociągnięcia dłoni.

Oddzwoniłam do kilku osób i wychodzę razem z Chipem. Niebo jest czyste, błękitne. Aż trudno się pogodzić z tym, że spłynęło z niego w nocy tyle wody.

- Twój doktor pytał, jak się miewasz — mówię, kiedy jedziemy Main Street. - Powiedziałam, że dobrze w twojej sytuacji. Czy to właściwa odpowiedź?

- To właściwa odpowiedź.

Jego doktor chciał się także upewnić, czy dobrze sobie radzę, chodziło mu oczywiście o to, że wzięłam Chipa do domu. Więc wyjaśniłam, że rozumiem niezwykłość swojego postępo-

wania, ale wszystko gra. „A może zajmie się nim inna pielęgniarka, a ty pozostaniesz tylko... jego przyjaciółką” - zaproponował doktor. „Nie - odparłam. - Jest dobrze tak, jak jest”.

Chip raptem prostuje się, pokazuje przez okno.

- Widzisz tę kwaciarnię?

- Tak.

- Zatrzymaj się, dobrze?

Zaczynam tłumaczyć, że nic mamy czasu, ale przerywa mi:

- Załatwię to bardzo szybko. No to parkuję auto.

- Zaczekaj tu - prosi. Po kilku minutach wychodzi z niedużym bukietem róż. Intensywnie żółtych. Róże dla Rose -mówi.

Wyobrażam sobie te kwiaty koło jej łóżka, dające wspaniały odpoczynek od wszystkiego, co je otacza. Widzę Rose, jak wyciąga rękę i dotyka każdego na wpół rozchylonego kwiatu.

- To bardzo miło z twojej strony, Chip. Podkreca klimatyzację.

- Można? Na dworze straszny upał.

- Tak.

- Jest lato.

- Oczywiście.

To nie jest zwykła rozmowa, od niechcienia. On mnie pyta. Diann mówiła mi, że kiedy ostatni raz go wiozła, zapytał, czy światła to semafor. „Powiedziałam tak” - relacjonowała. - „Czy dobrze zrobiłam?” Odparłam, że prawdopodobnie to nie miało znaczenia. „A co ty byś powiedziała?” - spytała. „Że to są światła”. Westchnęła, spojrzała w bok. „Nie mogę tego robić” - wyznała. Zapewniłam, że świetnie sobie radzi, i zwróciłam uwagę, jaki ma piękny profil. Podobny do serca.

- O, kwiaty - mówi Rose, kiedy Chip szarmancko podaje jej bukiet. - Gdzie je znalazłeś? - Jest jeszcze w koszuli i w szlafroku; pewnie ją obudziliśmy.

- W kwaciarni po drodze - wyjaśnia Chip. - Podobają ci się?

- Tak. Potrzebny jest wazon. Kwiaty muszą mieć wodę, bo zwiędną.

- Masz wazon, Rose? - pytam.  
- Nie wiem.  
- W takim razie weźmiemy słoik. Co ty na to?  
- Nie chcę słoika. - Marszczy czoło, drepce do małej kuchni. Wyjmuje z szafki wysoką szklankę, podaje ją mnie. - Proszę. W tym będzie dobrze. Przytnij łądygi, ja nie lubię używać nożyczek. Cukrzyk nie powinien się kaleczyć.  
- Gdzie masz nożyczki?  
- Nie wiem.  
Wzdycham, zerkam na Chipa, który wzrusza ramionami i uśmiecha się.  
- No dobrze, to może nóż.  
- A tak, nóż mam. - Otwiera szufladę, wyjmuje duży rzeźnicki nóż. - Należał do mojej matki. Pamiętam, jak siekała nim orzechy do rosyjskich herbatników, jedliśmy je w każde święta. Rosyjskie herbatniki. - Nachyla się, zezuje na nóż. - Nie chciałam jeść niczego, co krojono tym nożem.  
- Akurat się nada. - Biorę od niej nóż, przycinam łądygi i układam kwiaty w szklance. Potem podaję Rose bukiet.  
- Ooooch! - Przytyka różę do nosa, oddycha głęboko. Uśmiecha się nieśmiało do Chipa. - Nie wiedziałam, że dostanę kwiaty.  
- Ale dostałaś.  
- Jesteś bardzo miłym młodym człowiekiem.  
- Pani też jest bardzo miła.  
Rose prostuje się, poprawia kołnierzyk.  
- Gdzie mieszkasz?  
- Chwilowo mieszkam z Myrą.  
Rose głośno wciąga powietrze do płuc, odwraca się i grozi mi palcem przed nosem.  
- Nie powiedziałaś, że wyszłaś za mąż, niedobra!  
- Nie pobraliśmy się. - Wycieram opłukany nóż, odkładam do szuflady.  
- Nie? - Chmurzy się. Potem mówi: - W porządku. Nie przejmuj się. Teraz tak się robi. Wielu ludzi tak robi. - Stawia kwiaty na kuchennym stole. - A może dwa gołąbki napiją się herbaty?  
Patrzę na zegarek. Dziesięć minut spóźnienia.  
- Obawiam się, że nie możemy, Rose - mówię.

- Bardzo chętnie - równocześnie ze mną odzywa się Chip.
- Chip!
- To jest kłótnia - strofuje nas Rose. - Nie kłóćcie się.
- Myra - mówi Chip.
- Rose, musisz wziąć insulinę - przypominam. - I to już teraz, żebyś była gotowa na przyjście Tiffany. Potem musisz się ubrać, tak? Ona zaraz tu będzie.
- Ona odeszła.
- Kto?
- Tiffany.
- Jeszcze nie przyszła. Chcę ci dać zastrzyk, żebyś była gotowa na jej przyjście, pamiętasz?
- Rose zaczyna płakać.
- Ale ona odeszła, Tiffany odeszła, mam teraz nową!
- Och, przepraszam cię, Rose, nie wiedziałam. Przepraszam. Kto to jest ta nowa, jak ma na imię?
- Nie wiem, ale nie „Tiffany”. - Wyciąga brudną chusteczkę z kieszeni szlafroka, wyciera nos.

Sprawdzam godzinę, idę do lodówki po insulinę Rose. Jest już prawie zużyta; muszę zadzwonić do jej apteki. Wyjmuję pióro i dla pamięci piszę znak X na przegubie, żeby zrobić to potem. Teraz nie ma czasu.

- Rose, podejdź, proszę, do łóżka, czas na zastrzyk. Stoi nieruchomo ze spuszczoną głową.

- Rose?

- Muszę ci najpierw coś powiedzieć.

- Tak? - Wciążam wymaganą liczbę jednostek, nakładam igłę, biorę gazik nasączony alkoholem.

- Myra, możesz tu podejść?

Podchodzę do niej z lekkim zniecierpliwieniem.

- O co chodzi, Rose?

Zerka na Chipa, potem na mnie.

- On będzie musiał wyjść - szepcze. Odwracam się do Chipa, ale on usłyszał.

- Zaczekam przed domem - mówi. - Miło było cię znów zobaczyć, Rose.

- Tak. Miło było mnie zobaczyć. Życzę dużo szczęścia! -woła za podchodzącym do drzwi Chipem, po czym drepce do łóżka, siada zrezygnowana, podwija koszulę, żeby móc zrobić jej zastrzyk w udo. Jak zwykle zamyka oczy. Jak zwykle powtarza: „Tym razem nic nie poczułam!” - Nachyla



się, żeby mi powiedzieć: „Nie powinien nosić na głowie tej chustki”.  
- Nie? - Przecieram miejsce iniekcji, obciążam koszulę Rose, odsuwam się i wrzucam zużytą strzykawkę do pudełka, które trzyma pod łóżkiem właśnie w tym celu. Jest prawie pełne; muszę postarać się o następne.

- Nie. To dla dziewczynek.

- Zobaczymy się w poniedziałek, Rose.

- Jutro?

- Nie. Jutro jest sobota.

- Och! Czy to nie dziwne? - Wstaje, odprowadza mnie do drzwi. -  
Szczęśliwego miodowego miesiąca! Wszystkiego najlepszego!

Jedziemy jakiś czas w milczeniu. W końcu mówię:

- Lubię, gdy mi towarzyszysz, Chip, ale podejmowanie decyzji pozostaw mnie, bo to moja praca.

- Przepraszam.

- Nie chciałam cię urazić, lecz musiałam ci to powiedzieć.

- W porządku. Pomyślałem tylko, że byłoby miło posiedzieć z nią chwilę.

- Tak, byłoby miło, niestety, nie mogę sobie na to pozwolić, kiedy czeka jeszcze tylu pacjentów. Akurat dzisiaj mam napięty plan.

Rozumiem. Zatrzymuję się na światłach, słucham ciszy.

- Przepraszam, Chip.

- W porządku. To ja powinienem przeprosić ciebie. Chryste, Myra, dlaczego ty zawsze...

- Co? - pytam.

- Nic.

Oglądam się na niego.

- Co?

- Zielone - sygnalizuje, unosząc brodę w kierunku światła. Skręcam w prawo i przyśpieszam, żeby dojechać szybciej

do Ann Peters i Fitz'a. Nie mam ochoty po raz kolejny wysłuchiwać wykładu DeWitta o tym, jak większość ludzi uczy się odczytywać godzinę na zegarku w szkole podstawowej.

- Myra, czy to nasza pierwsza sprzeczka?

- Och, jestem... zdenerwowana. Mogę się spóźnić.

- To całkiem normalne - mówi Chip. - Wszyscy się kłócą w czasie miesiąca miodowego.

Przed wizytą u DeWitta udaje mi się nadrobić opóźnienie. Jesteśmy nawet o dziesięć minut za wcześnie. Powinien być zachwycony. Pukam do drzwi i słyszę jego ryk:

- Kto tam?!

- Myra.

Otwiera gwałtownie drzwi i odchodzi od nich, nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

- Są ludzie, którzy nie tylko noszą zegarki, ale jeszcze na nie patrzą - mamrocze, idąc korytarzem. - Gdybym chciał, żebyś przyszła tak wcześnie, tobym ci powiedział. Nie jestem gotów, rozmawiam przez telefon. Narada telefoniczna. Musisz poczekać i nie chcę słyszeć żadnych uwag. Prowadzę interesy.

Ogląda się i zauważa Chipa.

- O - mówi. - Nie wiedziałem, że ty też tu jesteś.

- Cześć, DeWitt.

- Zaraz będę, stary.

Zastanówmy się. Oddam Franka Dianna, a DeWitta Chipowi. Życzę wszystkim dużo szczęścia.

Po zmianie opatrunku DeWitta - duży postęp, rana jest już prawie zagojona - wsiałam do samochodu bez Chipa. Dokończę dzień pracy sama. Chip został u DeWitta - mają obejrzeć razem film. Bałam się go tam zostawić, omal nie wzięłam go na ręce i nie wyniosłam stamtąd, ale obaj zapewniali mnie, że wszystko będzie dobrze, więc w końcu wyszłam bez niego. DeWitt powiedział, że ma kanapki z rostbefem, zjedzą razem lunch i obejrzą „artystyczny” film. Chip nie miał wielkiej ochoty na ponowne spotkanie państwa Schwartzów, a ja musiałam jeszcze pójść do biura agencji, uzupełnić wyczerpane zapasy i odwalić papierkową robotę - lepiej było zatem nie mieć przy sobie Chipa. Zapowiedziałam, że wrócę za parę godzin.

- Tylko zbytnio się nie spóźnij - rzekł DeWitt, odprowadzając mnie, a kiedy już miałam mu się odciąć, dorzucił: - Wyluzuj się. Nie chcę, żebyś kręciła się po tej dzielnicy o pewnej porze. Poczulałyby się nieswojo. Poza tym twój pupil będzie bardzo zmęczony.

Odjeżdżam od krawężnika, patrzę w okno DeWitta. Mam nadzieję, że nie przyjdzie żaden z jego klientów. A nawet jeżeli przyjdą, to co. Nikt nikomu nie zrobi krzywdy - to dzieje się poza jego mieszkaniem. Bardziej niebezpieczne jest przyprowadzanie i wyprowadzanie Chipa od DeWitta niż pozostawienie go u niego na jakiś czas. Gdyby Chip poznał jakiegoś klienta, zobaczyłby przynajmniej coś ciekawego, lepszy film niż ten, który zamierzali obejrzeć.

Kiedy raz byłam u DeWitta, przyszedł klient, żeby dokonać transakcji. Spóźniłam się, i dlatego nasze drogi się skrzyżowały, a DeWitt bynajmniej nie był z tego powodu zadowolony. „Ona właśnie wychodzi” - powiedział gościowi. - „W ogóle nie powinno jej tu być i wie o tym. Zniknie nam z oczu w jednej sekundzie”.

„Och, żaden problem” - odparł gość, Murzyn o dość jasnej cerze. Był dobrze ubrany, miał diamentowe kolczyki, pierścienie na wszystkich palcach, kilka złotych naszyjników. Siedział ze mną w salonie, gdy kończyłam notatki w karcie DeWitta, i podtrzymywał grzeczną towarzyską rozmowę. Wspomniał o pięknej pogodzie, spytał, czy mam dzieci, przyznał się, że ma dwoje. Albo troje, nie był tego całkiem pewien. Ledwie zamknęłam za sobą drzwi, przeszli do interesów. Wiem, bo stałam i nasłuchiwałam, zastanawiając się, czy powinnam coś z tym fantem zrobić. Postąpiłam mądrze, nie robiąc nic. Pomyślałam, ile jest miejsc na świecie i jakie jest moje w nim miejsce.

Przybywam do Schwartzów. Otwiera mi drzwi Ethel we łzach.

- Co się stało? - pytam.

- Murray jest w szpitalu.

- Och, Ethel. Od kiedy? Co mu jest?

- To się stało dziś rano. Jedliśmy śniadanie, a on wstał, powiedział, że bardzo boli go klatka piersiowa, i po prostu upadł. Wezwałam karetkę, a zanim przyjechała, on był... nie mógł... O Boże, Mary, nie mogę żyć bez niego. Nie masz pojęcia. Jest na oddziale leczenia choroby wieńcowej. Wróciłam do domu, żeby spakować trochę rzeczy, i jadę tam z powrotem. Nie opuszczę go, aż wróci do domu. Wiem, co o nim mówiłam, ale

ja go kocham, jest moim mężem od pięćdziesięciu pięciu lat. Nie wyobrażam sobie życia bez niego. Pewnie myślisz...

- Ethel. Wiem, jak bardzo go kochasz. Skończ się pakować. Zawiozę cię do szpitala.

- Och, dziękuję. Dziękuję. - Ociera nos wierzchem dłoni.

- Proszę bardzo.

- Już prawie skończyłam, muszę tylko znaleźć szlafrok, który... Co za bałaganiarz. Tłumaczę mu, Murray, czy pomyślałeś kiedyś... - Urywa, obraca się do mnie. Otwiera usta, zamyka. Potem mówi bardzo cicho: - O mój Boże.

- Zajmę się twoimi lekarstwami, Ethel. Będziesz musiała zabrać je ze sobą. Skończ się pakować. Zawiozę cię tam w niecałe piętnaście minut.

W kuchni chowam stojące na blacie mleko. Zauważam napisaną przez oboje listę zakupów na lodówce, przy czym niebieski atrament Ethel przekreślił czarne „salami” Murraya. Odkładam naczynia ze śniadania do zmywarki. Wydzielam pastylki na cały tydzień. W pokoju Murraya Ethel pakuje torbę. Jestem przekonana, że odczuwa miłość do niego jak drugą skórę i gdy jej ręce pakują ubranie, myślami jest z nim w szpitalnej sali, wygładza pościel, poprawia żaluzje, podaje mu łyżeczką galaretkę, mówiąc: „Proszę, Murray, zjedz, otwórz buzię, kochanie. Zostań”.

Chip jest zaprawiony do nieprzytomności. Prowadzę go korytarzem, każę mu poczekać przy drzwiach, a potem wracam i stoję przed DeWittem, który leży na fotelu. Pewnie dlatego, że nie może z niego wstać.

- Co on wziął? - pytam.

- Mary Hannę.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś, DeWitt.

Podnosi głowę i patrzy na mnie zaczerwienionymi oczami.

- Co zrobiłem? Pomogłem mu poczuć się trochę lepiej? Zabawić się?

- Ty...

- Nie zrobiłem nic złego. Taka jest prawda. Idź do domu i przemyśl to, dziewczynko. Świat jest zupełnie inny, niż ci się zdaje. Spytaj mojego przyjaciela, spytaj Chipa. Zrobiło mu się lżej, to się z nim stało. Przestała go boleć głowa, nie wymiotował. To dopiero tragedia. Jesteś spięta, kobieto, musisz się wy-

bazować. Może powinnaś się z kimś przespać, nie wiem, jakie masz układy. Ale teraz wyjdź z mojego domu, bo nie pozwolę, żeby jakaś baba darła się na mnie bez powodu. Stoję przez chwilę nieruchomo. W końcu mówię:

- Ja już tu nie przyjdę, DeWitt. Załatwię ci inną pielęgniarkę.

- Ach, daj spokój...

- To wszystko, co mam do powiedzenia. Ruszam korytarzem, DeWitt woła za mną:

- Wracaj tu, i to już! Uspokój się, dobrze?! Biorę Chipa pod rękę, otwieram drzwi.

- Myra! - woła DeWitt. Trzaskam drzwiami.

Poniedziałkowe popołudnie, jadę do ostatniej pacjentki. Chip jest z Diann; wybierali się do Bostonu, do Muzeum Sztuk Pięknych. Ostrzegłam Diann, że Chip może się zmęczyć; nie powinna mu narzucać zbyt szybkiego tempa. Zapewniła, że wie o tym, bo Chip już jej powiedział. Planowała, że trochę pochodzą, a potem zjedzą lunch w barze. Wyobraziłam ich sobie, jak siedzą przed talerzem z serem i owocami. Wiele razy byłam w muzeum, ale nigdy na randce. To musi być frajda.

Margaret Thornton ma pięćdziesiąt lat. Odwiedzę ją tylko raz, oddając tym przysługę koleżance, która regularnie się nią opiekuje. Muszę przeprowadzić kontrolę stanu zdrowia, ocenić obrzęk kostki u nogi, podać antybiotyk w kroplach do zainfekowanego ucha.

Margaret mieszka w domu opieki, gdzie każdy rezydent ma dwupokojowe mieszkanie z małą kuchnią i łazienką.

- Jak ci się tu mieszka? - pytam, pakując torbę po skończonej wizycie.

- Och! - wzdycha, rozglądając się, jakby dopiero co tu weszła. - Zawsze lepiej we własnych czterech kątach. Niestety, po pewnym czasie nie dawałam już sobie rady. To przez te schody. Tutaj jest dobrze, ale na miłość boską, ile razy można grać w loteryjkę? Wczoraj zgłosiłam się do pracy w księgarni.

- Naprawdę? - pytam ze śmiechem.

- Naprawdę. Pracuję na ochotnika w bibliotece dwadzieścia pięć godzin tygodniowo. Potrzebuję trochę gotówki, od lat nie kupowałam nic z ubrania. A poza tym... powiem szczerze, z niektórymi ludźmi, którzy tutaj są, trudno jest czasem wytrzymać.

- Wyobrażam sobie. - Zamykam torbę, idę do drzwi. Margaret odprowadza mnie, nie przestając mówić.

- Jem posiłki przy tym samym stoliku i z tymi samymi ludźmi dzień w dzień. Jest taka jedna Catherine, ma dziewięćdziesiąt trzy lata, z nią mogę pójść na kawę, rozumiesz. Ale jest też druga z Alzheimerem, która bardzo szybko się posunęła w ciągu ostatniego roku. No i teraz... ja ją karmię. Dosłownie. To takie smutne. Idę po coś, na przykład, żeby ją przykryć, a potem siedzę przy niej z łyżeczką... oczywiście ktoś z personelu by ją nakarmił, ale oni nie są uważni. A ja myślę, że ona zasługuje na coś więcej.

Dobrze wiem, o czym mówi. O tkliwości i rozrzewnieniu, jakie czuje się do kogoś, kogo się karmi. O żalu. O staraniach, aby dać tej osobie trochę godności: drobne kęsy, żeby nie wypadła z ust ziemniaczana papka, dokładne osuszenie kącika ust po długim, powolnym łyku kawy.

- Przy moim stoliku siedzi jeszcze Evelyn - ciągnie Margaret. - Pochodzi z bogatej rodziny i bez przerwy o niej opowiada, że ten to ma taki stopień, a ten taki. Twierdzi też, że uczyła baletu. Możliwe. - Margaret nachyla się do mnie. - Ale ja uczyłam razem z Marthą Graham. - Cofa się, kiwa głową. - Tak. Jedna z pracownic hotelu wie o tym i powiedziała Evelyn, że uczyłam z Marthą Graham i też mam jakieś wykształcenie. Więc teraz Evelyn nie chce rozmawiać ani ze mną, ani z nikim innym przy stole, zjada wszystkie posiłki bez słowa. - Margaret wzrusza ramionami. - I co można z kimś takim zrobić?

Uśmiecham się.

- Nie wiem. - Widzę Evelyn, trzyma głowę wysoko i umyślnie patrzy w inną stronę.

- Jeszcze jedna koleżanka przy stole, Betty, w kółko opowiada, jak ją okradają. Codziennie ma inną opowieść o tym, co „oni” jej zabrali. Dzisiaj przy lunchu skarżyła się, że ktoś ukradł jej pas. Kto by się połaszczył na stary, brudny pas do pończoch, no kto?

Nie mogę się opanować i parskam śmiechem.

- Wiem - mówi Margaret. - Otóż to. - Też się śmieje. - Powiem ci. Kiedy tylko pozbędziesz się samochodu, koniec z tobą. Owszem, masz przyjaciół, którzy obiecują, że gdzieś cię zabiorą, ale z czasem to ich męczy i wykruszają się. Twój świat się zawęża.

Patrzę na zegarek.

- Przepraszam, Margaret, muszę już iść. A nie wybrałabyś się ze mną wieczorem do kina? - pytam. Nigdy tego nie robiłam. Jestem zdenerwowana jak nastolatek proszący dziewczynę na pierwszą randkę.

Margaret patrzy zdziwiona.

- Przypomnij mi, jak się nazywasz.

- Myra Lipiński.

- Myra, z wielką chęcią pójde do kina. Wszystko jedno na co. Może być jakiś knot, mnie wystarczy do szczęścia zapach prażonej kukurydzy na sali.

- Przyjadę po ciebie o szóstej - mówię. - Najpierw pójdziemy na kolację.

Kiedy otwieram drzwi, woła za mną:

- Och, zaczekaj chwilkę! - Drepcze do kuchni i wraca z papierową torbą pełną ciastek. Pierniczki, poznaję po zapachu.

- Dziękuję, ale nie wezmę twoich ciastek.

- Proszę - nalega. - Codziennie coś piekę, uwielbiam piec. A tak trudno znaleźć kogoś, kto chciałby coś wziąć. Albo dieta, albo to, albo siamto. Nie ma nic gorszego, niż kiedy chciałoby się rozdać tyle rzeczy, a nie ma komu. Jak skończysz te, dam ci inne, jakie sobie zażyczysz.

- Dziękuję.

- To ja tobie dziękuję.

Wracam do domu późno, o pierwszej. Sprytnie zostałyśmy z Margaret na drugim filmie, a potem poszłyśmy do nocnego baru na ciasto i lody. Gdy po cichu uchylam drzwi wejściowe, Frank wciska łeb w szparę, więc głaszczę go i szepczę: „Tak, widzę cię, psiaku”. Wchodzę do pokoju; Diann siedzi na sofie z czasopismem na kolanach.

- Cześć - mówi.



- Cześć. - Zamykam drzwi, drapię Franka za uszami. - Chip śpi?  
- Nie ma go. Pojechał do domu. Powiedział, że spędzi jedną noc z rodzicami.  
- Naprawdę?  
Diann wzrusza ramionami, wraca do lektury. Idę do kuchni.  
- Wezmę coś do picia. Masz na coś ochotę?  
- Nie, dziękuję. Przyniosłam dziś różne napoje, stoją na najniższej półce w lodówce.  
Przychodzę do salonu z butelką soku żurawinowego, padam na fotel.  
- Jak tam film? - pyta Diann.  
- Film? Nawet dwa - odpowiadam. - Ta Margaret jest kapitalna. Nigdy nie byłam na tak udanej randce.  
- Często chodzisz na randki? - zainteresowała się Diann. Patrzę na nią.  
- Pytasz poważnie?  
- Tak.  
- Jakieś trzy razy w roku. To takie rozpaczliwe randki. Wiesz. Ostatnim razem byłam na normalnej randce... Boże, w szkole średniej. W wieczór balu dla najstarszej klasy poszłam do centrum handlowego z braku innego zajęcia i wpadłam na Danny'ego Rotha, pamiętasz go?  
- Czy to ten syn pastora?  
- Tak. - Pociągam łyk, odstawiam butelkę na podłogę. - Spacerowałam dla zabicia czasu, też nie był z nikim umówiony. Postanowiliśmy pójść do kina dla zmotoryzowanych. Całkiem nieźle się bawiłam, rozmawialiśmy długo o tym, czy istnieje życie po śmierci. Danny uważał, że nie.  
- Naprawdę? Syn pastora?  
- Tak. Pamiętam, jak powiedziałam, że wierzę w życie po śmierci i że trzeba sobie wybrać, jak się będzie wyglądało w niebie. On odpowiedział, że to dla niego wystarczająca zachęta, aby uwierzyć.  
- To zupełnie niepojęte, poszliście do kina i rozmawialiście o takich rzeczach? Nie całowaliście się?  
- Owszem. Trochę. To był mój pierwszy francuski pocałunek.  
- Nie jestem pewna, czy pamiętam tego chłopaka - mówi Diann. - Jak wyglądał?

- Niski. Ładne włosy, brzydkie zęby. Brzydki jak diabli. Ale to był wieczór balu maturalnego, koniec szkoły, wszyscy wyjeżdżali, trzeba było coś zrobić. Napisał do mnie raz z college'^ Wiesz, że poszedł do Harvardu?

- Naprawdę? - Diann zbiera włosy wysoko na głowie w koński ogon, puszcza je luzem. - Czekał. Miał zielone oczy i wielkie czarne okulary?

- Nie, to Sam Goodman. Pokażę ci, jak wyglądał Danny. -Idę do gabinetu i wracam z pamiątkowym albumem z ostatniej klasy.

- O Boże! - jęczy Diann. - Jak dawno czegoś takiego nie oglądałam! Nawet nie wiem, gdzie mam swój. Mogę zobaczyć?

Siadam obok niej, przerzucam zdjęcia, aż dochodzimy do Danny'ego Rotha. Diann pochyla się, przygląda uważnie.

- O. Tak. Danny Roth.

- Zgadza się. - Patrzę na niego i nawet po tylu latach wydaje mi się bliski i dobrze znajomy. Po jednej randce.

- Włosy miał naprawdę ładne - stwierdza Diann.

- Tak. Ciekawe, czy coś z nich jeszcze zostało.

Diann wraca na sam początek albumu, a ja czuję nagłą chęć, by zakryć dłonią stronę, ukryć brak autografów. Domyślam się, jak wygląda album Diann - nie ma w nim miejsca na dodatkowe wpisy, tak gęsto od gratulacji, że jest sobą, a także gratulacji pod adresem autora wpisu, że jest jej przyjacielem, oraz rad „pozostań sobą”. Jakby to było kwestią wyboru. Jakbyśmy nie dostawali od życia wielkiej lekcji, że jedyną rzeczą stałą jest zmienność. Pory roku i wszystkie organiczne formy życia mówią nam, że niczego nie da się zatrzymać; mimo to wciąż próbujemy. Czasami jednak uczymy się mądrości celebrującej otwartą dłoń. Wiemy wówczas, że tylko wypuszczając wszystko, możemy zatrzymać to, co najważniejsze.

- A gdzie ty jesteś w tym albumie? - pyta Diann.

- Na zdjęciu klasy i klubu francuskiego - odpowiadam. Czuję napływający i odpływający rumieniec.

Kiwa głową.

- Ty jesteś wszędzie - mówię.

- Wcale nie. - Zamyka album, a ja biorę go od niej i odnajduję jej nazwisko w spisie.

- Popatrz na to. Sześć linijek zajmują same numery stron! Otwieram album na jednej z podanych stron. Jest Diann

w białej sukni z odkrytymi ramionami na zjeździe absolwentów, z Chipem u boku. Przyglądamy się obie, a potem Diann przesuwa palec po policzku Chipa.

- Mój Boże, jaki on był piękny!

- Ty też - mówię cicho. - Zawsze byłaś taka piękna!

- To makijaż.

- Tak?

- Przynajmniej do pewnego stopnia to sprawa makijażu. I ubrania. - Zamyka album, patrzy na mnie. - Ty się prawie wcale nie malowałaś, prawda?

- Bo i po co.

- Niesłusznie. Trochę kosmetyków może zrobić wiele dobrego.

- Komuś takiemu jak ty.

- Każdemu!

- No cóż. - Biorę do ręki album, przeglądam. - Spójrz na Sandy Weller. Zaszła w ciążę. Ciekawe, czy nadal jest żoną tego faceta. Był od niej starszy.

- Pozwolisz, żebym cię umalowała? - pyta Diann. Patrę na nią. Sama dobroć. I odrobina ciekawości. A co mi tam.

- Chyba najpierw muszę się upić - wyznaję.

- Ja też.

Z niepokojem i radością podchodzę do szafki z alkoholem. Mam gin. Mam wermut. Mamy się czego napić.

- Dobra - mówi Diann, odstawiając z przesadną ostrożnością opróżniony z martini kieliszek. - Jestem gotowa.

Zjadam piątą i ostatnią oliwkę.

- Ja też.

- Chodźmy do łazienki - komenderuje Diann. Wstaje i pyta: - Gdzie to jest?

Idziemy ze śmiechem do łazienki na piętrze. Mam w sobie drobną postać zakrywającą dłonią usta. Frank snuje się za nami, potem kładzie się pod drzwiami łazienki.

Diann sięga po wiszącą na drzwiach łazienki kosmetyczkę w kwiatki - Umyj twarz - rozkazuje, grzebiąc w kosmetyczce. Podaje mi elastyczną opaskę. - I załóż to.

Zakładam opaskę, obmywam twarz, siadam na opuszczonej klapie sedesu.

- Hej, Diann.

- Hmm? - Trzyma w zębach dwa ołówki, ze ściągniętymi brwiami sortuje buteleczki i tubki.

- Diann. Patrzy na mnie.

- Co?

- Myślisz, że potrzebne jest nam pozwolenie? Uśmiecha się, znów zaczyna grzebać w kosmetyczce.

- Wiesz, ile by to dla mnie znaczyło w szkole? Obraca się do mnie, podpierając się pod bok.

- Ha! A wiesz, jak byś wierzgała, gdybym zaproponowała ci w szkole, że cię umaluję?

- Wcale nie!

- A właśnie, że tak.

Zastanawiam się. Ma rację. Za bardzo bym się bała. Jeszcze teraz się boję; tyle że jestem pijana.

Diann podchodzi do mnie z poważną miną - kobieta, która ma do wypełnienia misję. Ustawia na blacie garść produktów. Żłote zakrętki na buteleczkach z matowego szkła, długie czarne tubki, plastikowe pudełeczka różnej wielkości. Inny rodzaj farmacji. Bierze buteleczkę, potrząsa.

- Zamknij oczy - poleca.

Siedzę nieruchomo, gdy nakłada mi na twarz kropki podkładu.

- Chciałabym przez jeden dzień być naprawdę piękna -zwierzam się cicho. Potem ogarnia mnie dziwne uczucie, że wcale tego nie powiedziałam.

Cisza. Diann pracuje, skupiona na mnie, co bardzo mi się podoba. Jest delikatna, ledwie wyczuwalnymi muśnięciami posuwa się w górę policzków.

Kiedy podkreśla ołówkiem brwi, mówię:

- To wspaniale być piękną. Na pewno dostajesz wszystko, co chcesz.

- Wcale nie jest tak wspaniale - przerywa mi. - To więzienie.

Otwieram oczy, patrzę na nią.

- Naprawdę tak jest.

Okropnie miłe to więzienie, chcę powiedzieć, lecz się powstrzymuję.

- Patrz w dół - mówi Diann i starannie nakłada tusz. - Powiem ci coś, Myra. Bycie ładną robi z ciebie opóźnioną w rozwoju. Uczysz się polegać na czymś, co jest nietrwałe. Co nie jest prawdziwe. Dochodzisz do wieku, w którym teraz obie jesteśmy, i panikujesz, bo zbudowałaś dom na piasku. - Robi coś z cieniem do powiek, nakłada koralową szminkę. - Rzadko miewam teraz randki, i wiem, jakie to uczucie, kiedy wchodzę do jakiegoś pomieszczenia i nikt się na mnie nie patrzy. Rozumiem, że to nic nie znaczyło, gdy się za mną oglądano. Ale jednak miało to swoją wagę. A bez tego... boję się.

- Ludzie wciąż na ciebie patrzą - zapewniam ją. - Nadal wyglądasz wspaniale.

- Nie - odpowiada. - Wierz mi. Chciałam się zejść z Chipem między innymi dlatego, że on nadal widzi mnie po staremu. Samolubny powód, co? Głupi.

- Bo ja wiem - mówię. - Nie wiem, co sprawia, że ludzie są razem. Sama jestem opóźniona w rozwoju.

Diann śmieje się.

- Po tylu latach spotykamy się w połowie drogi, co? - Dużym pędzlem nakłada mi róż na policzki. - Okay. Gotowe. Popatrz.

Zaczynam się podnosić, ale zaraz siadam.

- Wyglądam śmiesznie? No powiedz, tak?

- Ani trochę.

Wstaję, przeglądam się w lustrze. Przetykam ślinę. Kiwam głową. I biorę do ręki myjkę.

- Nie! - powstrzymuje mnie Diann. - Wyglądasz ładnie! Tylko nie przywykłaś!

- Wyglądam jak... nie wyglądam dobrze. Przepraszam. Wyglądam głupio. - Odkręcam wodę.

Diann nachyla się, zakręca kurek.

- Przestań, Myra! Zostaw makijaż na twarzy, chodź i posiedź ze mną trochę. Potem wrócisz i przejrzysz się jeszcze raz. Wygląda świetnie.

- Nie chcę - opieram się, ale ona bierze mnie za rękę i prowadzi na dół, do salonu.

- Czuję się jak clown - mówię.

- Wyglądasz bardzo ładnie.

- Czuję się idiotycznie.
- No to czuj się idiotycznie. A teraz siadaj - wskazuje mi kanapę. Stojący koło mnie Frank posłusznie siada.
- Diann śmieje się.
- Czy mogę zabrać ze sobą twojego psa, kiedy będę wyjeżdżać?
- Nie - odpowiadam. Potem dodaję: - Jak to „kiedy będziesz wyjeżdżać”? Wyjeżdżasz?
- Milczy.
- Diann?
- Wiesz, kochałam go od zawsze. Naprawdę. Ale jestem tu od przeszło trzech tygodni i wydaje mi się, że już dłużej nie mogę. Zresztą on wcale nie chce, żebym została dłużej.
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Sam mi powiedział. Z tobą czuje się lepiej, Myra.
- To dlatego, że ja...
- Dlatego, że cię lubi. Lubi ciebie. Zabawne, prawda, że nawet przed samym końcem nie znika ta cholerna rywalizacja.

Rano schodzę na dół i widzę Diann pijącą kawę przy kuchennym stole. Jest ubrana w ten sam strój, w którym przyjechała, a obok niej stoi walizka.

Nalewam sobie kawy do kubka, siadam przy stole.

- Wyjeżdżasz? Kiwa głową.

- Tak.

- Przykro mi. Było mi przyjemnie z tobą mieszkać. A wcale się tego nie spodziewałam.

Uśmiecha się.

- Wiem.

- To było aż tak oczywiste?

- Nawet w szkole niełatwo było się z tobą zaprzyjaźnić, Myra.

Opadam na oparcie krzesła, otwierając usta ze zdziwienia.

- Ależ ja marzyłam o tym, żeby mieć przyjaciół w szkole!

- Kto by się tego domyślił? Wydawałaś się taka zamknięta w sobie.

Taka... wynosząca się ponad innych.

- Wynosząca się!

- Tak było! Nigdy niczego nie potrzebowałam.

- O Boże!

Diann wpatruje się w filiżankę, odgarnia włosy za uszy.

- Do pewnego stopnia nadal taka jesteś.

- To nieprawda. Potrzebuję wielu rzeczy. W tym momen-

cie uświadamiam sobie, że pierwszy raz wypowiedziałam te słowa na głos, do kogoś. Okropne, piekące uczucie. A jednocześnie czuję się z tym dobrze.

Przychodzi Frank, kładzie mi łeb na kolanach.

- Rozumiem mówię do niego.

- Wyprowadzę go - proponuje Diann.

- W porządku. Ja z nim wyjdę.

- Chcę z nim wyjść. Pójdę z nim na spacer, a potem się pożegnam.

Diann wstaje, waha się. - Chcę ci powiedzieć, Myra, że bardzo przyjemnie było mi u ciebie mieszkać. Chociaż okoliczności...

- Tak.

- Mam nadzieję, że będziesz ze mną w kontakcie. I przyjedziesz mnie odwiedzić.

- Mhm. Oto moja automatyczna reakcja, wycofanie się. Zupełnie jakbym się kuliła, aż przepłynie cień. Czuję to i Diann chyba też to czuje, bo kładzie dłoń na mojej i patrzy mi prosto w oczy.

- Mówię serio.

- Okay.

- Dbaj o Chipa. Dzwon i informuj, jak on się czuje. I powiedz mu, żeby też do mnie dzwonił.

- Dobrze.

Patrzymy na siebie dłuższą chwilę, wreszcie odzywa się Diann:

- Nie mogłabym tego zrobić, nawet gdyby on chciał. Trzeba do tego mieć w sobie coś, czego ja nie mam.

- W porządku.

- Skąd ty to masz, Myra? Jak możesz znieść, gdy ktoś przy tobie umiera?

Jak to wytłumaczyć? Jak jej powiedzieć, że patrząc w oczy umierającego, można poza nimi zobaczyć coś, co nie przeraża, tylko niesie pociechę? Serce spoczywa w dłoni.

- Nie boję się umierających - mówię. - Uważam, że ten okres życia jest bogaty. Czasem nawet zazdroszczę ludziom, którzy umierają dobrą śmiercią. Nie żebym chciała umrzeć, tylko że chciałabym być tak świadoma. I mieć okazję wypowiedzieć słowa, które będą wreszcie wysłuchane, tak jak nie byłyby wysłuchane w innych okolicznościach. Rozumiesz?

Kiwa głową, lecz po jej minie poznaję, że straciłam z nią



kontakt. Zwykle tak jest, kiedy mówię podobne rzeczy. Zwłaszcza gdy rozmawiam z kimś, kto nie był świadkiem czyjejs śmierci. Niedawno widziałam się z Williamem, homoseksualistą i bardzo bliskim przyjacielem chorego na AIDS Angela, którego odwiedzałam. William był przy Angelu, kiedy ten umierał. „Tak mi przykro” - powiedziałam na drugi dzień do Williama. Podziękował mi i rzekł: „Na końcu było wspaniale”. Popatrzył na mnie z wyrazem zrozumienia i zakłopotania na twarzy. „Było tak za każdym razem - rzekł. - Wiesz?” Przytaknęłam.

Jest czwartek, mijają właśnie dwa tygodnie, odkąd Chip i ja żyjemy razem. Tak określam to w myślach, lecz nikomu bym się do tego nie przyznała. Żyjemy tak, jak jest nam wygodnie. Co jakiś czas Chip wybiera się ze mną na objazd pacjentów, ale najczęściej w drodze do pracy zostawiam go razem z Frankiem w naszym małym centrum. Przed południem czyta gazetę w barze Time Out, chociaż ma coraz większe kłopoty ze skupieniem się na lekturze. Je lunch u Neda, a potem siedzi w parku albo idzie do biblioteki i przegląda, co mu wpadnie w rękę: książki, czasopisma i gazety codzienne. Po moim powrocie przygotowujemy razem kolację lub idziemy coś zjeść na mieście i Chip opowiada, czego się dowiedział. Na przykład, że motyl rusalka żałobnik zimuje niemal bez żadnej osłony, przywierając do kory drzewa. Że staruszka Giovanna, która ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat, nadal, pomimo choroby oczu i artretyzmu, piecze codziennie rano pizzellę - wiesza laskę na krześle, przepasuje dres fartuchem i zabiera się do roboty. W Górnej Wolcie czczone są krokodyle, ponieważ uważa się je za duchy przodków chroniące rodzinną wieś.

Siedzę przy nim, kiedy opowiada mi te wszystkie rzeczy, słucham uważnie, dziwię się jego zdolności zapamiętywania, zastanawiając się, czy naprawdę to wszystko pamięta, czy trochę zmyśla. Nieważne. Opowieści przynoszą cudowne informacje, które mówią więcej, niż się zdaje. Jako dziecko ślęczałam pochylona nad mikroskopem, a potem z uśmiechem

podpierałam się ręką pod brodę. Teraz znów przeżywam to samo co kiedyś.

Chip wcześniej chodzi spać, o wpół do dziewiątej albo o dziewiątej; szybciej się męczy. Zanim zaśnie, siadam na jego łóżku i rozmawiamy. Albo czytam mu - opowiadania lub wiersze. Zasypia, słuchając mojego głosu. To wywołuje we mnie tkliwość, jakiej nigdy przedtem nie czułam: staje się synem, którego nie miałam, a zarazem kochankiem, którego zawsze pragnęłam. Nie wspomina o Diann, raz tylko zastanawiał się na głos, czy jeszcze ją kiedyś zobaczy. Diann dzwoni codziennie, żeby dowiedzieć się o Chipa, ale tak naprawdę rozmawiamy więcej o sobie niż o nim. Jest okropnie zajęta; długi wyjazd odbił się na firmie. Myśli, że potrwa to aż do świąt, nim wszystko wróci do normy. Początkowo starała się rozmawiać z Chipem za każdym razem, gdy dzwoniła, lecz dla obojga było to przykre. „Co ja mam mu właściwie powiedzieć?” - spytała mnie Diann. A Chip powiedział: „Naprawdę nie wiem, co ona chce usłyszeć”.

To już moja ostatnia wizyta u Grace. Wydłużyłam czas dzielący dwie poprzednie wizyty, żeby ją przyzwycząić do mojej nieobecności. Kiedy przychodzę, jest ubrana w spodnium, trochę za duże, ale i tak bardzo dobrze w nim wygląda, a niebieski cień do powiek ładnie podkreśla oczy. Idzie na rozmowę w sprawie pracy - stara się o posadę recepcjonistki w niepełnym wymiarze godzin, a potem ma obejrzeć dom opieki nad dziećmi. Zamierza skończyć szkołę wieczorową.

- Dawniej moja mama to nosiła - wyjaśnia, gdy wyrażam uznanie dla jej stroju. - Ale teraz jest o wiele za gruba. To ją wkurza. Więc dała ten komplet mnie, co też ją wkurzyło.

Nachylam się nad łóżeczkiem, żeby popatrzeć na Kurta. Uśmiecha się do mnie i moje serce boli ze szczęścia. Uśmiecha się całym ciałkiem, jak robią to małe dzieci: zaciśnięte piąstki tłuką powietrze, nóżki kopią. Przeprowadzam krótkie oględziny, tak naprawdę niepotrzebne. Matka i dziecko są zdrowe.

- Masz z czymś problemy? - pytam.

- Nie, jest grzeczny. Powiedzieli mi, że mogę przyjść z nim na rozmowę kwalifikacyjną. Chyba nic mu nie będzie.

- Na pewno nie. Jak tam dojedziesz?

- Autobusem.

- Wiesz co, ja cię zawiozę.

- Ależ nie trzeba. Autobus pasuje mi w sam raz.

- Chciałabym cię podwieźć.

Firma, w której stara się o pracę Grace, mieści się w dzielnicy przemysłowej, w małym, nieciekawym betonowym budynku pomalowanym na jasnozielono. To jakaś spółka handlująca narzędziami i farbami. Zatrzymuję się przed jej siedzibą, a Grace spogląda na zegarek. - W samą porę - stwierdza. Potem obraca się do mnie i pyta: - Dobrze wyglądam?

- Wyglądasz pięknie. I bardzo profesjonalnie. Stoimy przy krawężniku. - Chciałabym ci za wszystko podziękować - mówi Grace. - Zamierzałam kupić ci kartę, ale te, które oglądałam, były fatalne. Nie wyrażały tego, co chciałam powiedzieć.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. I chcę, żebyś wiedziała, z jaką ogromną przyjemnością odwiedzałam ciebie i twojego syna. Bardzo się zmieniłaś, Grace, i jestem z ciebie taka dumna. Ty pewnie też.

- Mam jeszcze sporo pytań i niektóre są dość głupie. Ale nie ja jedna stawiam pytania. I mogę szukać na nie odpowiedzi w tylu miejscach, jest tylu ludzi, którzy gotowi są mi pomóc. Moja mama nie może. Pewnie dlatego, że miała ciężkie życie i po prostu... - Wzrusza ramionami. - Nieważne. I tak jestem gotowa zrobić to, co trzeba. Uważam, że ja najlepiej zajmę się Kurtem, i myślę, że będzie mu dobrze. Wiem, że będzie mu dobrze. Czuję to, jestem jego mamą. - Podnosi go wyżej na ramię, delikatnie całuje w głowę, potem patrzy na mnie. - No dobrze, to... Cześć, Myra. - Rusza chodnikiem.

- Grace?

Odwraca się, mruży oczy od słońca.

- Tak?

- Nadal możesz do mnie dzwonić, kiedy tylko zechcesz.

- Okay. Dziękuję.

- Powodzenia.

Kiwa głową. Odstawia samochodowy fotelik.

- Powiedz pa, pa! - Macha do mnie rączką Kurta, po czym dodaje nieśmiało: - Mówi, żeby ci powiedzieć, że cię kocha.

- Powiedz mu, że ja też go kocham.

Stoimy, uśmiechamy się, potem Grace znów się odwraca i znika w budynku.

- Traktujcie ją dobrze - mówię do nikogo. Do wszystkich.

Murray Schwartz wrócił wczoraj ze szpitala i lekarz poprosił mnie, żebym go dzisiaj odwiedziła i skontrolowała, czy bierze nowy zestaw leków ściśle według wskazań. Murray śpi, kiedy przychodzę, a Ethel prowadzi mnie do kuchni, żeby pokazać, jak podzieliła nowe pigułki w pojemniku z przegródkami na każdy dzień. Zrobiła parę drobnych błędów, więc pomagam je poprawić.

- Teraz już wszystko rozumiesz? - pytam, co kwituje wzruszeniem ramion. - Chciałabyś omówić ze mną jakiś problem?

- Tak. Chciałabym omówić problem, jak wytrzymać z mężczyzną, który wysysa ze mnie krew. - Zapala gaz pod czajnikiem. - Ma wymagania, które o połowę młodszą ode mnie wpędziłyby do grobu.

- Życzysz sobie, żebym postarała się o dochodzącą pomoc domową?

- O nie. Nie. Nie mogłabym cię o to prosić.

- Ależ chętnie to zrobię.

Odwraca się do mnie. Mruga powiekami.

- Jestem jego żoną. Któż inny miałby go obsługiwać? Gdybym ja się tak rozchorowała, co niech Bóg broni, na niego przyjdzie kolej mną się zaopiekować, tyle że on nie robi tego tak dobrze jak ja, co to, to nie, nie ma mowy. To jest małżeństwo, Marilyn. Niech nikt ci nie wmówi, że jest inaczej. Przez jakieś dziesięć minut masz romans, a potem dostajesz całą

resztę. Trudno. Co na to poradzisz? - Wyjmuje z szafki dwie filiżanki. - Herbaty?

- Nie, dziękuję.

Z sypialni wychodzącej na korytarz dobiega wołanie Murraya.

- Oj - mówi. - Widzisz? Sto razy na dzień. Dwieście razy. Już idę! - krzyczy.

- Ja pójdę, Ethel, i powiem mu, że zaraz przyjdiesz.

- Spytaj, kochanie, czy teraz chce grzankę z bajgla. Wchodzę do zaciemnionego pokoju Murraya, widzę, jak

powoli siada na łóżku.

- Muszę zrobić kupę, Ethel.

- To Myra.

- O Jezu! Przepraszam. Bądź łaskawa podnieść żaluzje. Ciemno tu jak w krypcie. To przez nią. Nie znam nikogo, kto byłby takim przeciwnikiem słońca.

- Potrzebujesz pomocy, żeby dojść do łazienki?

- Ona może to zrobić.

- Ja też.

- Zaczekam na nią. Nie dlatego, że nie doceniam ciebie, Myra, dziękuję, że się o mnie zatroszczyłaś, bardzo dziękuję.

- Ethel pyta, czy chcesz już bajgla. Macha ręką zrezygnowany.

- Jeżeli powiem tak, będzie narzekać, że musi go przygotować. Jeżeli powiem nie, będzie narzekać, że nie jem. Więc co mam powiedzieć? Powiem tak i zjem połowę.

Siadam na łóżku, biorę go za rękę i uśmiecham się.

- No i jak, Murray. Cieszysz się, że znów jesteś w domu? Uśmiecha się do mnie.

- I co teraz zrobisz?

Tego samego popołudnia zachodzą do agencji po sprzęt i materiały. Na biurku Sandy, naszej rejestratorki, stoi okazały bukiet. Same białe kwiaty: róże, lilie Casablanca, lasianthus, frezja, orchidee, floksy, groszek pachnący, ostróżka.

- O! Kto ci to przysłał? - pytam.

- To nie dla mnie. - Podsuwa wazon w moją stronę.

- Żartujesz? - mówię ze śmiechem.

- Spójrz na kopertę. „Pani Myra Lipiński, pielęgniarka”.

Nieruchomieję, chłonąc wyjątkową urodę kwiatów, pozwalając sobie na rozkoszne domysły. Oczywiście w pierwszej kolejności wyobrażam sobie, że kwiaty przysłał Chip. Ale nie, to niemożliwe. A może jednak? Potem myślę, nie, pani Peters. Ona jedna mogła sobie pozwolić na taki wydatek. A może, jakimś cudem, Grace, czy mogła je przysłać Grace? Diann?

Otwieram kartę i czytam: „Poddaję się”. Nie ma podpisu.

- Kto je przysłał? - pyta Sandy.

- Nie wiem. - Patrzę na kopertę. Tak, są dla mnie. Pokazuję kartę Sandy.

- Rany! - Odchyła się w krześle. - Fajnie. Tajemniczy nieznajomy.

Dzwoni telefon, więc po niego sięga.

- Ciesz się nimi - szepcze. Głosem sekretarki mówi: -Dzień dobry, Protemp.

Zabieram rzeczy, po które przyszłam, cały czas zastana-

wiając się, kto mógł mi przysłać taki bukiet. I raptem doznaję olśnienia. Podchodzę do biurka, biorę telefon i dzwonię do DeWitta. Kiedy odbiera, pytam:

- To ty przysłałeś mi kwiaty? Rechocze.
- Czy to mają być przeprosiny? Cisza. Potem mówi:
  - Jeżeli ten bukiet nie wystarczy, mógłbym, jak sądzę, wydać ze dwieście dolarów, może to by cię udobruchało. Ludzie przestrzegają: „uważaj, żebyś nie rozsierdził czarnej kobiety”. Niestety, nie znają ciebie!
- To bardzo piękny bukiet, DeWitt, ale to nie są przeprosiny. Nie można mnie w ten sposób kupić.
  - Przeczytaj kartę. Nie ma przy kwiatkach karty?
  - Przeczytałam. Jest na niej napisane „Poddaję się”.
  - Och, kobieto, czego ty chcesz?... Żebym błagał, czołgając się u twych stóp?
    - Chcę, żebyś wziął odpowiedzialność za swoje czyny, DeWitt.
    - Ho, ho!
    - I chcę, żebyś przeprosił.
    - Ja pierdolę.
    - A teraz muszę już iść.
    - Och, zaczekaj chwilę. Jedną chwileczkę! Stoję i milczę.
    - Jesteś tam jeszcze?
    - Tak.
    - Więc chcesz, żebym powiedział, że to wszystko moja wina.
    - Chcę, żebyś przeprosił.
    - Jeżeli przeproszę, z całą pewnością nie powiem, że to wszystko moja wina. Bo tak nie jest. Jeżeli przeproszę, to tylko powiem parę słów, żebyś tu wróciła i opatrzyła mnie jak należy. Przysłałaś jakąś pielęgniarzkę, która nie umiałaby wyjść z garderoby, nawet gdybyś naprowadziła jej rękę na klamkę. Na dodatek kichnęła prosto na moje ziejące trzewia.
      - Kichnęła na twoją ranę, DeWitt? - Wątpię.
      - Jak Boga kocham. Przysięgam na grób mojej matki, jak Boga kocham, klnę się na wszystkie świętości i obym umarł, jeśli kłamię.

- Możemy postarać się o inną pielęgniarkę, jeżeli nie układa ci się z Jill.

- Nazywam ją „Kill”. Ale ja nie chcę innej pielęgniarki. Już ci mówiłem, chcę, żebyś ty wróciła!

- Wygląda na to, że znaleźliśmy się w impasie.

- Jak to?

- To takie miejsce, skąd nie można ruszyć dalej.

- Aha. Myślałem, że masz na myśli takie coś w kanionie, jak w kowbojskich filmach.

- Zaraz odłożę słuchawkę, DeWitt.

- Dobrze, przepraszam, okay? Prze-pra-szam. Przepraszam, że uraziłem twoje delikatne uczucia, które nie powinny zostać urażone i nie byłyby urażone, gdybyś była normalna.

Wzdycham.

- Okay?

- Dobrze.

- To o której przyjdiesz?

- Dziś jest już za późno. Przyjdę jutro o zwykłej porze.

- Dobrze. Przyrowadzisz Chipa?

- Nie. - Macham do Sandy, która daje mi znak, że jest drugi telefon do odebrania. - Do zobaczenia jutro, DeWitt.

- Czekał, jeszcze jedno. Przysłali ci same białe kwiaty?

- Tak.

- No, to był mój pomysł. Pasują do motywu „poddaję się”.

- Owszem.

- Zauważyłaś?

- Tak.

- Pewnie, bo jesteś bystra, w przeciwieństwie do twojej koleżanki Kill.

- Do zobaczenia jutro, DeWitt.

Odbieram telefon na drugiej linii i przyjmuję zlecenie lekarza pani Peters, ordynującego zmianę kropli do oczu, począwszy od jutra. Potem dzwonię do Chipa, żeby go zawiadomić, że niedługo będę w domu, i spytać, czy czegoś potrzebuje. Zawsze go o to pytam. Nikt nie odbiera. Spoglądam na zegarek. Powinien już wrócić. Jeszcze raz próbuję się połączyć. Bez skutku.

Szybkim krokiem wychodzę, słyszę głos wołającej za mną Sandy:



- Hej, Myra! Twoje kwiaty!

W domu wołam Chipa, a potem Franka. Nic z tego. Wchodzę po kolei do wszystkich pomieszczeń. Pusto. Może jest u rodziców. Często przyjeżdżają i zabierają go na jakiś czas. Siadam przy biurku, wyciągam rękę do telefonu, który akurat w tym momencie dzwoni.

- Myra Lipiński?

Oblewa mnie fala przerażenia.

- Tak?

- Doktor Libson z Memoriał Hospital. Dzwonimy na prośbę Chipa Reardona. - Jest w szpitalu?

- Tak, ale to nic takiego, jest w punkcie pierwszej pomocy...

- Co się stało?

- Przewrócił się i trochę poturbował, musieliśmy założyć mu kilka szwów na brodzie. Właśnie kończą robić opatrunek.

Łzy napływają mi do oczu, ocieram je ze złością. Czy to się nigdy nie skończy?

- Przypuszczamy, że to mógł być atak choroby, chociaż poszkodowany zaklina się, że pies go pociągnął i przewrócił. Czy to pani pies?

- Tak. Frank. Co z nim?

- Jest w tej samej sali co pan Reardon. Pan Reardon postawił warunek, że pies musi być cały czas razem z nim. Wie pani na pewno, że... - Już jadę.

W niecałe piętnaście minut dojeżdżam do szpitala obsługującego naszą małą społeczność i parkuję w miejscu zarezerwowanym dla lekarza, co mi tam. Chip siedzi w poczekalni.

- Jesteś cały? - pytam.

- Tak. Przed chwilą ktoś wyprowadził Franka. Zaraz wróci i wtedy możemy stąd prysnąć.

- Zaczekajmy przy drzwiach. - Podsuwam ramię Chipowi.

- Nie trzeba. - Wstaje, zaczyna iść. Nie patrzy na mnie. Przed szpitalem widzę zmierzającego w naszą stronę sanitariusza. Prowadzi Franka. Sanitariusz podaje mi smycz.

- Wspaniały pies.

- Dziękuję.

- Jak się wabi?

- Frank.

- Świetny pies.

- Dziękuję.

Chip nie odzywa się przez całą drogę do domu. Dopiero kiedy wjeżdżam na podjazd, mówi:

- Zjedźmy dziś na mieście. W Agostino's, dobrze?

- Dobrze. Zostawmy tylko Franka.

W domu wrzucam do miski Franka trochę jedzenia, włączam kanał Discovery, mówię: „bądź grzeczny!” - i zatraskuję za sobą drzwi. Potem wsiadam do samochodu.

- Może się przejeździemy? - proponuje Chip. - To tylko parę przecznic.

- To dalej, niż ci się zdaje. - Zapalam silnik. Chip milczy całą drogę. Mogę trochę poczekać. W końcu i tak go zapytam. Niemożliwe, żeby przewrócił go Frank.

Oboje zamawiamy spaghetti z bakłażanem i parmezanem. Kiedy dostajemy zamówione danie, pytam:

- Więc co się stało?

- Frank nagle szarpnął smycz i upadłem.

Nic nie mówię, biorę do ust spaghetti. Potem drugi kęs.

- No dobra, nie wiem, co się stało. Ale wiem na pewno, że to nie był atak. Po prostu upadłem, to wszystko. - Przystaje jeść, opada na oparcie w kabinie. - No dobrze, Myra, powiem.

Przystaję żuć, patrzę na niego.

- Kiedy w szpitalu musiałem się podpisać, ledwie mi się to udało. Będzie teraz ze mną coraz... - Potrząsa głową. - Wiesz, zaraz po tym, jak mnie zdiagnozowano, dużo czytałem o guzach mózgu takich jak mój. Przeczytałem między innymi o jednym facecie, dużym i ciężkim, którego rodzina zabrała samochodem do krewnych na Święto Dzieńczynienia. Gdy dojechali na miejsce, nie mogli go wydobyć z tylnego siedzenia. Jakby nagle zapomniał, jak się wysiada. Wiesz, jak długo tak siedział?

- Jak długo?

- Pięć godzin. - Patrzy na mnie pełen smutku, a potem nagle wybucha śmiechem. - Chryste! Pięć godzin!

Nie mogę się powstrzymać i też zaczynam się śmiać.

- Myślisz, że przynieśli mu do samochodu kolację? - pyta Chip.

- Mam nadzieję. I urynął.

- Mógł wykorzystać pusty kieliszek po winie. Śmieję się jeszcze głośniej.

- To wcale nie jest śmieszne.

- Wiem - mówi Chip, który także nie przestał się śmiać.

Tego samego wieczoru Chip leży w łóżku przed zaśnięciem, a ja siedzę przy nim.

- Wiesz, czego się dzisiaj dowiedziałem? - pyta. - Przed wyprawą do szpitala?

- Czego?

- Że jaskry rosną w tundrze.

- Hm.

- I jeszcze to: motyle mają zmysł smaku w nóżkach.

- Naprawdę? Ziewa.

- Tak.

- Może ludzie też. Chip marszczy czoło.

- Nigdy nie próbowałem poczuć smaku nogami.

- Ja też nie.

- Może włożymy sobie trochę masła orzechowego między palce u nóg. Teraz. Nie ma to jak terażniejszość. Zresztą w moim przypadku nie ma nic prócz terażniejszości.

Uśmiecham się w milczeniu. A potem mówię:

- Wiesz, Chip, mam dużo zaległego urlopu. Pomyślałam, że może wezmę kilka dni. Chciałbyś gdzieś ze mną pojechać? Moglibyśmy... wykorzystać darmowy weekend w The Four Seasons w Bostonie. Dała mi go pani Peters. Chciałbyś tam pojechać?

- Pewnie że tak, to ładne hotele.

- Zatrzymałeś się kiedyś w tym hotelu?

- O tak. Tyle że nie w Bostonie. - Zamyka oczy, robi powolny wydech. - A potem: - Och. Miałem ci o tym powiedzieć. Spływ nie chodzi.

- Słucham?

- Spływ się nie obraca. Na tym... wihajstrze. Ciągniku.

- Spływ? W wannie? O czym ty mówisz? Otwiera oczy.

- Nieważne. Jestem zmęczony.

- Dobrze. Zaśnij. Zobaczymy się rano. - Wstaję.

Bierze mnie za rękę.

- Zostań - prosi. - Jeszcze choć trochę. - Zamyka oczy, potem znów je otwiera i mówi: - Była taka piosenka. Prawda?

Kiwam głową. Potem przyglądam się, jak zasypia. W mojej piersi równo bije miłość do niego. Tak szybko, w ciągu zaledwie kilku tygodni przyzwyczałam się do wspólnego życia, do udawania, że jesteśmy mężem i żoną. Przynajmniej ja tak to traktuję. Nie chcę być tego pozbawiona. Byłoby to jakby cofnięcie się do jaskini. Zostań, myślę. Albo pozwól, żebym poszła z tobą. Ta myśl przychodzi nieproszona, ale jest naturalna. Wydaje się taka naturalna.

- Tak, moja siostra zna się na ich uprawie jak nikt. Jest boginią pomidorów. Codziennie z nimi rozmawia i przez całą noc puszcza im muzykę.

- Coś takiego!

Marvelous kiwa głową, wyciera majonez w kąciku ust.

- Naprawdę. Co wieczór stawia w samym środku ogrodu radio tranzystorowe i nastawia muzykę. Klasyczną. Przeszkadzało to sąsiadce, więc wezwała policję, wyobrażasz sobie? Nieważne, że gdzieś zbiry odstrzelili sobie głowy, trzeba nasłać policję na kobietę, która puszcza muzykę pomidorom. Siostra obiecała, że przestanie, lecz nie przestała. Przyciszyła tylko radio, ale rośliny i tak słyszały, w tamtym roku miała największe jak dotąd zbiory. No i teraz zawsze nastawia muzykę bardzo cicho.

Kończę kanapkę.

- Pyszna. Dziękuję.

- Może jeszcze jedną?

- O nie, Marvelous. Najadłam się. Ale posiedzę z tobą, jeżeli chcesz zjeść jeszcze jedną.

- Ja też się najadłam. - Poprawia się na krześle, klepie po brzuchu i uśmiecha cudownym uśmiechem.

- Świetnie wyglądasz, Marvelous. Pewnie dobrze się czujesz.

- Tak, istotnie czuję się dobrze, kochanie. Ale ty nie. Odruchowo kładę rękę na piersi.

- Ja?

- W tej kuchni nie ma nikogo prócz ciebie i mnie. I nie mówię do siebie. Przynajmniej na razie.

- Nic mi nie jest.

- Nie, coś cię gnębi. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby to dostrzec. Co prawda mam we krwi coś z jasnowidza, mówiłam ci o tym? Moja praprababka była wróżką w Nowym Orleanie. Ubierała się cała na czerwono. Widzę, że coś ci ciąży na sercu, Myra.

- Opiekuję się kimś...

- Tym pacjentem, w którym jesteś zakochana.

- Tak. Chipem. Wydaje mi się, że on chce...

Nic nie mówi, czeka. Biała kuchenna zasłonka unosi się, opada. Gdzieś na drzewie stuka dzięcioł. Zawsze lubiłam ten dźwięk, odgłos dzikiej pracowitości. W końcu spoglądam na Marvelous.

- Pozwól, że o coś spytam. Czy uważasz, że to źle, kiedy ktoś popełnia samobójstwo? Gdy po dłuższym zastanowieniu się dochodzi do wniosku, że to właściwy wybór?

- Mówisz o Chipie, tak?

- No... tak. A dlaczego pytasz?

- A jak myślisz, dlaczego pytam?

- Nie wiem.

- Och, sądzę, że wiesz.

- Ja nie myślę o samobójstwie. Ja wcale o tym nie myślę. Marvelous siedzi bez słowa, patrząc na mnie. Wreszcie mówi:

- Jak myślisz, kogo ja widziałam, kiedy do mnie przychodziłaś? Myślisz, że nie zwracałam uwagi na to, kim naprawdę jesteś? Myślisz, że nic nie wiem o tym, jak się czujesz? Widzę ciebie siedzącą w mojej kuchni i widzę to, co jest w tobie, dziewczyno. Ale wracając do twojego pytania, któż zna na nie odpowiedź? Każdy nosi ją w sercu, a każde serce jest inne.

- Tak.

- Zarazem, oczywiście, serca nas wszystkich są takie same, taka jest zawiła i pokrętna prawda. Ale muszę ci powiedzieć... - Podchodzi do mnie, przyciąga mnie do siebie. Jest taka ciepła, jej ubranie tak ładnie pachnie. Wyprasowane. -Uważam, że to nie jest dobre dla ciebie. W żadnym razie o tym nie myśl.

- Okay. - Nie wiem, co więcej powiedzieć.

- Kiedy umarł mój Gerald, chciałam odejść razem z nim. Wieczorem, leżąc w łóżku, modliłam się o śmierć, błagałam Jezusa, żeby zabrał mnie do siebie. A teraz cieszę się, że nie umarłam. Długo to trwało, ale tak się cieszę, że nie umarłam. Trzymaj się, dziecko.

- Miło cię widzieć, choć przykro mi, że nie skorzystałaś z mojego zaproszenia - mówi pani Peters, ledwie wpuściła mnie do mieszkania.

- Właśnie zamierzam je wykorzystać. Dziś zaczynam urlop, zaraz po pracy, i jadę. Z przyjacielem.

Pani Peters klaszcze w ręce.

- Świetnie! Życzę ci, żebyś cudownie się bawiła, i mam nadzieję, że wykorzystasz całą ofertę. Proszę, zrób to, będzie to dla mnie wiele znaczyło.

- Zrobię.

- Mówię poważnie, Myra.

- Ja też mówię poważnie.

Stoimy i uśmiejemy się do siebie, kończąc naszą rozmowę w ten prosty, a zarazem wyszukany sposób, a potem idę po krople.

W domu Chip zawiadamia mnie, że nas spakował i odprowadził Franka do Theresy.

- Dobrze - mówię. - Więc możemy ruszać.

- Muszę tylko znieść walizkę, leży na łóżku.

- I tak idę na górę, przyniosę ją sama.

W walizce widzę parę spodni dla Chipa, piżamy dla nas obojga. Mój szlafrok. I to wszystko. Biorę jego lekarstwa, dodaję szczoteczki do zębów, maszynkę do golenia, ubranie na zmianę. Potem dzwonię po cichu do Theresy i upewniam się, że Frank ma się dobrze. Siedzę chwilę na brzegu łóżka i rozmyślam. Schodzę na dół.

Na prośbę Chipa jeździmy jakiś czas po Bostonie, najpierw ulicami Back Bay, potem po centrum. Na kolację wybieramy się do North End, do restauracji, gdzie jest tylko pięć stolików, i tam jemy zuppe di mare. Potem jemy cannoli w piekarni Mike'a. Siadamy przy oknie i obserwujemy ruch na Hannover

Street: sunące powoli samochody, uśmiechnięte pary i hałaśliwe rodziny idące chodnikiem. Przechodnie wskazują palcami na salami i sery, na buty z cienkiej skóry, na ręcznie malowane talerze. Kiedy zaczyna się ściemniać, jedziemy do The Four Seasons.

- Aaa, pani Lipiński - mówi recepcjonista. - Miło panią poznać, witamy w The Four Seasons. Mamy tu coś dla pani. - Odwraca się i sięga po mały, wykwintny bukiet. - Od pani Peters, z życzeniami bardzo udanego pobytu. - W kopercie dołączonej do kwiatów są bilety na niedzielny koncert symfoniczny. Zakłopotana, podnoszę wzrok na recepcjonistę, ale ten pilnie klepie w klawiaturę komputera. - Widzę, że mamy dla pani lepszą ofertę, uroczy apartament dla młodych biznesmenów.

- Och, nie mogę go wziąć - bronię się. - Ja...

- Bierzemy - mówi Chip.

- Oczywiście, panie Lipiński.

Patrzę na Chipa, który uśmiecha się i obejmuje mnie ramieniem.

- Dobrze? - pyta, a ja odpowiadam „tak”.

Winda, którą wjeżdżamy na najwyższe piętro, jest piękna, korytarz też; otworzywszy drzwi do pokoju, robię kilka kroków i staję. Za łazienką z tapetą w delikatny wzór i z żyłkowanym marmurem mieści się salon z ogromnym oknem wychodzącym na ogród. Jedwabne kotary są w kolorach niebieskim, jak jajko drozda, i złotym w czerwone prążki. Kutasy przy taśmach podtrzymujących kotary ważą chyba po dziesięć funtów. Pod okno zaprasza stolik i dwa fotele w stylu chippendale, na ścianie, nad kwiecistą brokatową sofą, wiszą ryciny w złotych ramkach. Z boku, na starej stylowej szafce mży ciepłym światłem lampa w kształcie chińskiej wazy, stoi też butelka wina i dwa kieliszki.

Otwieram przeszklone drzwi i wchodzę do sypialni, gdzie przez drugie duże okno widać złotą kopułę kapitelu stanowego. Pod oknem stoi ława, jest szafka z telewizorem... I wielkie łóżko.

- O! - mówię.

Chip podchodzi i staje za mną.

- Co?

Wskazuję łóżko.

- Co ci się nie podoba?

- Zapomniałam poprosić o dwa łóżka. Zadzwoń na dół. -Biorę telefon, ale Chip wyjmuję go z mojej ręki, odkłada.

- Jakoś sobie poradzimy. - Bierze mnie za ramiona, odwraca i całuje prosto w usta. Nie ruszam się, aż odstąpi ode mnie. A potem, kiedy pyta „dobrze?” - obejmuję go i oddaję pocałunek.

Kładziemy się na łóżku i zaczynam drżeć. „Zimno ci?” -pyta, a ja mówię, że nie, nie jest mi zimno. Zamykam oczy i nie robię nic, poddaję się jego dłoniom sunącym powoli po moim ciele. Jego dłonie, moje ciało. Pod powiekami widzę nie człowieka z bliznami i szwankującą pamięcią, ale chłopaka, który ma świat u stóp: zbiega z boiska z kaskiem futbolowym w rękę; tańczy w garniturze na zjeździe absolwentów; śmieje się przy swoim stoliku w stołówce; podrzuca ołówek, siedząc w ławce z długimi nogami wystawionymi aż na przejście. Widzę Chipa Reardona idącego korytarzem naszej szkoły, uśmiechniętego, z książkami pod pachą, z podciągniętymi rękawami futbolowej kurtki. Znów jest tamtym chłopakiem, jedynym. Ja jestem tą samą niezgrabną dziewczyną, która opiera się o swoją szafkę i czeka, aż zostanie dostrzeżona. Jasne włosy połyskują w świetle wpadającym przez okna, niebieskie oczy lustrują tłum. Wreszcie natrafia wzrokiem na mnie i przestaje się rozglądać. Ja jestem tą jedyną, bierze mnie za rękę, idziemy dalej razem. Wszyscy patrzą w milczeniu; teraz ja jestem wybranką.

Nagle przestaję widzieć chłopaka i widzę mężczyznę z blizną. I kobietę z blizną. I przestaję drżeć. Otwieram oczy, pomagam mu się rozebrać, z kolei on pomaga mnie.

Kładę palce na jego ustach, na zakręconych chrząstkach jego uszu. Dotykam miejsca, gdzie przecięto mu głowę, powoli sunę palcem po śladzie, jakbym chciała ostatecznie uleczyć ranę. Wyczuwam wysoki łuk kości policzkowej, linię szczęki, gładzę ramiona i pierś, i brzuch. Sięgam niżej i czuję uniesioną męskość, cofam rękę, żeby mógł położyć się na mnie. A potem otwieram się przed nim.

Kiedyś w bibliotece obserwowałam dwoje dzieci, które budowały fortecę z patyków od lizaków. Robiły to bardzo powoli i starannie. Gdy budowa została zakończona, chłopiec wstał, powiedział „nie” i zaczął ją rozbierać. „Co robisz?” - zapytała



dziewczynka, a chłopiec odparł: „Mam inny pomysł”. Rozłożył fortecę z taką samą uwagą i starannością, z jaką ją budował. Później ułożył drogą, układając równiutko jeden wąski patyk za drugim. Droga biegła krętym szlakiem, ale była pusta i zachęcała, żeby nią pójść.

Jestem w wannie, kiedy Chip woła:

- Myra, czytałaś list na biurku?!

- Nie. Co w nim jest?

Po chwili słyszą, że zaczyna otwierać drzwi łazienki.

- Nie wchodź! - mówią.

- Dlaczego?

Patrzą na siebie, oglądam swoje nagie ciało, któremu on dopiero co się przyglądał przez dobre kilkadziesiąt minut.

- Nieważne - odpowiadam. Wchodzi i opiera się o umywalkę.

- Chcesz, żebym ci przeczytał?

- Tak.

Otwiera kopertę, wyciąga firmową hotelową kartkę.

- Mamy zjeść jutro kolację w Aujourd'Hui.

- O nie. To za dużo, Chip. Naprawdę. Muszę jej w którymś momencie odmówić.

- To nie jest zaproszenie od pani Peters.

- A od kogo?

- Ode mnie.

Siedzę przez chwilę nieruchomo, a potem śmieję się.

- Wciąż jeszcze mogę składać zamówienia i zlecenia.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo. - Przysiada na brzegu wanny.

- Chcesz wejść?

- Nie. Pomyślałem, że położę się na chwilę. Zaczynam wychodzić z wanny, ale mnie powstrzymuje:

- Zostań. Będę niedaleko. Wezmę tylko proszek przeciwbólowy, więc nie pogniewaj się, jeżeli będę spał, kiedy wyjdiesz.

- Nie pogniewam się.

Zamyka drzwi, a ja kładę się w wannie i zamykam oczy. Wyobrażałam sobie, że to potrwa dłużej, wyprowadzimy się za parę dni z hotelu i pojedziemy gdzie indziej.

Gdy po kąpieli wchodzę do sypialni, jeszcze nie śpi.

- Zobacz, co dostajemy - mówię, paradując w miękkim białym płaszczu kąpielowym frotte, który wisiał w łazience.

- Wygląda wspaniale.

- Hm.

- Wygląda wspaniale! Patrzę na niego.

- Dziękuję.

- To już lepiej.

Podchodzę do łóżka, kładę się obok.

- Boli cię głowa?

- Nie bardzo. - Patrzy na mnie, całuje mnie w czoło. -Myra? Leżałem tu i... myślałem. Przez całe życie nie potrafiłem związać się z kimś na stałe. Nie dlatego, że nie mogłem, dlatego że nie chciałem. I to samo można powiedzieć o tobie.

- Ale ja nie miałam...

- Nie zaczynaj od nowa. Nie mów, że nie miałaś okazji.

- Bo nie miałam.

- Myślę, że nie próbowałaś. Ani razu. A ja chcę, żebyś spróbowała, Myra.

- Właśnie próbuję.

- Wiem o tym, ja też próbuję i jest cudownie. Tylko to nie potrwa długo. Ja nie potrwam długo. Ale ty będziesz żyła. I chcę, żebyś zrobiła coś ze swoim życiem, żebyś z kimś była. Bo chcesz tego. Więc powinnaś z kimś być.

- Łatwo ci o tym mówić, Chip... To nie takie proste. - Siadam, opierając się na poduszkach. - Z moim wyglądem...

- Bzdura.

- Wcale nie!

Wzdycha, przekręca się na bok.

- Połóż się. Połóż się tu i popatrz na mnie. Siedzę wsparta na poduszkach i patrzę przed siebie. - Proszę.

- Mogę rozmawiać stąd.

- Myra. Chcę na ciebie patrzeć. Nie chcę, żebyś siedziała. Kładę się obok niego, a on przykładła dłoń do mojej twarzy i wpatruje się we mnie.

- Co, nie jesteś byłą modelką rozmiar cztery? Nie masz prawdziwych bioder? Odwracam się.

- Myra. Patrz na mnie.

Z ociąganiem odwracam się do niego.

- To nie twój wygląd sprawia, że ludzie trzymają się od ciebie z daleka. To ty sama. Musisz wpuścić ich do środka. Kiedy to zrobisz, przekonają się...

- Wiem, co chcesz powiedzieć, Chip. Ale to nieprawda. Nie chodzi tylko o mój wygląd. Chodzi o to... Nie potrafię ułożyć się z ludźmi. Nie wiem, jak być... nie wiem, jak być. Od dzieciństwa czułam, że odstaję od innych. Może dlatego, że byłam brzydka. Może nie. Musisz jednak przyznać, że ktoś, kto wygląda jak ja, jest odsyłany do drugiego szeregu. Ty nie masz o tym pojęcia, Chip. Nawet jeśli się do tego nie przyznasz, używałeś swojej urody przez całe życie. - Podpieram się na łokciu, patrzę na Chipa. - Chyba nie rozumiesz, że jest mi dobrze. Na nic się nie skarżę. Nie jestem nieszczęśliwa. Wiem, że los nieraz się do mnie uśmiechał. Wiem też, że nigdy... Chcę powiedzieć, że wykonuję swoją pracę z wielką radością, ale poza tym...

- Czy masz pojęcie, jak bardzo kochają cię ludzie, z którymi pracujesz? - Jestem ich pielęgniarką.

- No i?

- Nie kochają mnie. Wiem, że mnie cenią, lecz nie chcieliby. .. przebywać ze mną poza czasem wizyt.

- A ta kobieta, z którą poszłaś do kina?

- Margaret? O, to był... Była zdesperowana, Chip.

- Wszyscy jesteśmy zdesperowani.

- Słuchaj. Wiem, co chcesz powiedzieć. Wiem. Ale mnie nigdy nie uda się stworzyć takiego związku jak...

- Jak ten?

Patrzę na niego. Uśmiecham się.

- No tak. Ty wiesz, dlaczego to robimy.

- Dlaczego, Myra? Dlaczego to robimy?

- Ponieważ...

- Ponieważ jesteś, jaka jesteś. Dlatego to się stało.

- To się stało z powodu strasznych, nadzwyczajnych okoliczności. Gdybyś nie był chory, nigdy byśmy...

- Nie wiesz, że większość ludzi, którzy są razem, wcale tego nie planowała? - Obraca się na plecy i wzdycha ze zniecierpliwieniem. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Myra. Jak pokazać. Ale przysięgam, że to zrobię.

W sobotę rano Chip wstaje wcześniej ode mnie. O dziewiątej siedzi przy biurku i wygląda przez okno. Podchodzę do niego, kładę mu ręce na ramionach.

Milczy.

- Chip? Nic ci nie jest?

- Myślę... Wiesz, źle spałem. Nie jestem dziś w najlepszej formie. Myra, poszłabyś kupić dla nas bajgle, co? A ja... odpocznę sobie trochę. Kiedy zjemy, możemy gdzieś pójść.

- Nie lepiej poprosić o dostawę do pokoju?

- Nie, te bajgle są niedobre. Mam ochotę na bajgla ze sklepiku przy Newbury Street, wiesz, gdzie to jest?

- Tak. Dobrze, zaraz będę gotowa i wyjdę. To nie potrwa długo, dwadzieścia minut, góra pół godziny.

- Nie spiesz się - mówi. - Chcę, żebyś miała przyjemność ze spaceru po mieście.

Kiedy wychodzę spod prysznic, Chip leży w łóżku z zamkniętymi oczami, śpi albo udaje, że śpi. Zamykam cicho drzwi. W korytarzu dwie pokojówki, wsparte pod bok, gawędzą po hiszpańsku obok służbowego wózka. Wygląda na to, że niewielu gości wstało; przed wszystkimi drzwiami leżą gazety. Naciskam guzik przy windzie, stoję i rozmyślam. Coś jest nie tak. To przecież ja źle spałam. Budziłam się wiele razy, pięć albo sześć, i za każdym razem Chip był pogrążony w głębokim śnie. Może potrzebuje trochę samotności. Przychodzi mi

na myśl, że żałuje tego, co między nami zaszło. Wiem jednak, że tak nie jest. Wiem to na pewno.

W sklepiku z bajglami jest tłoczno; stoję na końcu długiej kolejki i zaraz dołącza do niej jeszcze troje ludzi. Czuję na sobie wzrok stojącego za mną mężczyzny. Po chwili od-chrząkuje i mówi:

- Ładny dzień.

- Tak - przyznaję, odwracając się lekko z uśmiechem.

- Pani tu mieszka? - pyta.

- W Ashton - odpowiadam, odwracając się przodem. Wygląda przyjemnie: ładne brązowe włosy, brązowe oczy, okulary w drucianej oprawie. Mniej więcej w moim wieku, dobrze ubrany: spodnie khaki i biała płócienna koszula z podwiniętymi rękawami. W dobrej formie. A do tego miły uśmiech, zadbane zęby. - Przyjechałam tu tylko na weekend - wyjaśniam.

Staje obok mnie.

- A ja tutaj mieszkam. Przy tej ulicy, przychodzę tu codziennie rano. Zarekomendować pani jakiegoś bajgla?

- Hm...

- Bajgiel „ze wszystkim” jest dobry - mówi. - Naprawdę jest w nim wszystko.

- Aha.

- Właściwie wszystkie są dobre. - Rozgląda się po sali, spostrzega zwalniający się stolik. - Zajmie mi pani miejsce w kolejce? A ja zajmę dla nas stolik.

- Och... Zajmę panu miejsce, aleja nie zostanę. Zabieram śniadanie do hotelu.

- Proszę tego nie robić. Proszę usiąść ze mną.

- Nie... Jestem z kimś, kto został w hotelu.

- O! - Mężczyzna rumieni się. Rozbrajająco. - Przepraszam, myślałem... - Nie szkodzi - mówię. - Ale zajmę panu miejsce, jeżeli zależy panu na tym stoliku.

- Nie, pomyślałem tylko, że gdyby pani zechciała... Miło byłoby z panią porozmawiać.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Niezręcznie staje znowu za mną. Zaraz, zaraz, ile razy coś takiego się zdarzyło? - myślę. Jakbym nie znała odpowiedzi.

Kiedyś, pamiętam, włączyłam telewizor i zobaczyłam kilka kobiet rozmawiających o frustracjach związanych z mężczyznami. Jedna z nich powiedziała: „Nie interesują się tobą, gdy jesteś wolna. Ale wystarczy, że pojawi się konkurencja, od razu ci nadskakują”.

Naprawdę? - pomyślałam, oblizując palec, którym następnie przejechałam po dnie pustej już torebki po frytkach z Cape Cod. A potem pomyślałam: Skąd niby miałabym to wiedzieć? Teraz już wiem.

Wsuwając klucz do drzwi, słyszę cichy głos rozmawiającego z kimś Chipa. Po wejściu do pokoju widzę go przy telefonie. Na mój widok rzuca pośpiesznie „okay, dziękuję” i odkłada słuchawkę.

Siedzi na sofie i uśmiecha się.

- Zaplanowałam cały dzień.

Stawiam torbę z bajglami. Zamiast spytać, z kim rozmawiał, upewniam się:

- Lepiej się czujesz?

- Dlaczego pytasz?

- Byłeś taki zmęczony.

- Tak, czuję się lepiej. Drzemka dodała mi sił.

- Ach tak. Więc co chciałbyś robić? Pokazuje mi listę.

- Najpierw księgarnie na Harvard Square. Potem muzeum nauki, możemy tam posiedzieć w ciemnościach i popatrzeć na gwiazdy. Przed chwilą rozmawiałem z nimi przez telefon, pokaz zaczyna się o trzeciej. A później, nie wiem, chyba przyda mi się ta cholerna drzemka. No i kolacja. Co ty na to?

Spuszczam wzrok. Kiwam głową. I jeszcze raz kiwam.

Już mam budzić Chipa, żeby zaczął się szykować do wyjścia na kolację, a tu słyszę, jak klnie pod nosem. Odkładam tomik poezji, który kupiliśmy, i wchodzę do sypialni. Siedzi na brzegu łóżka, wokół niego zebrane mokre prześcieradło. Spogląda na mnie.

- W porządku - mówię. - Zadzwonię po czystą pościel.

- Chryste!

- W porządku.

Unika mojego wzroku. Podchodzę, klękam przy łóżku, biorę jego ręce między swoje.

- Wiem, że czujesz się zakłopotany, ale niepotrzebnie, Chip. To nie twoja wina. Nic takiego się nie stało.

Bierze szklankę z wodą ze stolika przy łóżku, pociąga łyk. Trzęsą mu się ręce.

- Chip?

Odstawia szklankę, przyciąga mnie do siebie.

- Myra. Boję się.

- Wiem.

- Jesteś tu, tak? Jesteś tu naprawdę?

- Tak. Jestem tu.

Przytula mnie mocniej, potem puszcza. Patrzy mi w twarz i uśmiecha się takim uśmiechem, jakiego jeszcze nie widziałam, jak ktoś zagubiony w sobie.

- Czy już pora iść do restauracji? - pyta.

- Tak, pora się szykować. Wejdz pod prysznic. Ja się tym zajmę.

Wstaje, zrzuca ubranie. Wyciągam rękę.

Przyjeżdżamy do restauracji, a tam sadzają nas przy wygodnym, dużym stole pod oknem.

- Przepraszam za ten duży stół, ale to jedyny wolny - tłumaczy się kierownik sali.

- Bardzo dobry - zapewniam.

Zamawiam martini, a Chip wodę sodową. Rozkładam na kolanach serwetkę, opieram się wygodnie i rozglądam się po pięknej sali. Wtem widzę w drzwiach panią Peters.

- O Boże - szepczę. - Spójrz, kto przyszedł!

Chip potakuje z uśmiechem. Pani Peters spostrzega nas, macha ręką i kieruje się prosto do naszego stolika.

- Chwileczkę - mówię. - O co tu chodzi? Czy...

- Pani Peters! - Chip wstaje i całuje ją w policzek. Spada mu serwetka, więc ją podnoszę i odkładam na jego krzesło.

- Chip, dziękuję za zaproszenie. Czuję się zaszczycona. Zaprosił ją na kolację? - myślę.

- Witaj, Myra. - Pani Peters nachyla się, żeby mnie pocałować. Pachnie cudownie. Ma na sobie granatową sukienkę o tradycyjnym kroju, z pięknej tkaniny podobnej do krepy.

Kolczyki z brylantami i szafirami, podobną bransoletkę. Włosy elegancko upięte. Przypływa kelner.

- To co zwykle, pani Peters?

- Tak, Basil, dziękuję. - Po odejściu kelnera mówi: - To taki miły człowiek. Uwierzycie, że ma czterdzieści lat? Nie wygląda na więcej niż trzydzieści. Mieszka z bratem bliźniakiem na South End. Próbuje swoich sił w aktorstwie, jest naprawdę niezły, widziałam go w kilku sztukach w mieście.

Przy drzwiach robi się jakieś zamieszanie, a po chwili widzę DeWitta, który wchodzi w ciemnym garniturze, olśniewająco białej koszuli i jaskrawoniebieskim krawacie.

Patrzę na Chipa, otwierając usta ze zdumienia, a on nic, tylko się uśmiecha. Kto wie, co było powodem kłótni, lecz konflikt najwyraźniej został zażegnany. De Witt podchodzi do stolika, śmieje się wesoło do Chipa, patrząc na mnie, saltuje, a przedstawiony pani Peters pochyla się i z entuzjazmem „pompuje” jej ręką.

- Niezmiernie miło mi panią poznać, jak się pani ma?

Siada obok Chipa, a kiedy zjawia się Basil, DeWitt zamawia Glenlivet. Chciałam go zapytać, co się działo przy drzwiach, ale widzę, że wchodzi Murray z Ethel, a za nimi Fitz Walters i piękna czarnoskóra kobieta, zapewne jego nowa żona. Nic zabrakło także Marvelous, ubranej w biały kostium i kapelusz z piórem. Każde z nich promienieje i cała grupa, kierująca się do naszego stolika, ściąga na siebie spojrzenia wszystkich gości w restauracji. Co za zestawienie: Murray w jasnozielonym letnim garniturze i kwiecistym krawacie, Ethel w różowej szyfonowej sukience ze stanikiem w cekinach, z chustką udrapowaną wokół szyi i w srebrnych sandałach. Fitz jest w czarnym swetrze i spodniach, a żona w prostej czarnej płóciennej sukience bez rękawów. Potem dostrzegam Grace, która pojawia się w drzwiach w niebieskim spodniem z białym goździkiem w butonierce, prowadząc pod rękę Rose Banovitz, która okryła się starym trenczem, a pod spodem ma coś, co, mam nadzieję, nie jest czarną koszulą, choć na to wygląda. Nie chcę, bardzo nie chcę płakać, lecz łzy same cisną mi się do oczu. Gdy wszyscy usiedli i zostali sobie przedstawieni, ocieram twarz serwetką i zaczynam się śmiać.

- Przepraszam - mówię. A potem, rozglądając się dokoła,



dodaję: - To takie... dziękuję, że przyszliście. - Pod stołem Chip bierze mnie za rękę. Nie posiadam się ze szczęścia.

- To jakie serwują tu zarcie? - pyta DeWitt, otwierając kartę dań.

- Moim zdaniem, zestaw na spróbowanie to zawsze dobry wybór - podsuwa pani Peters. - Cudowna różnaitość.

- A tak, ja też lubię zestaw na spróbowanie - wtrąca Ethel. Murray marszczy brwi.

- A kiedy ty...

Ethel szybko odwraca się do niego, różowe wargi układają się w wąski uśmieszek.

- Nie byłam z tobą, kochanie. Byłam z moją grupą graczy w ma-dżonga.

- Nie będę niczego próbował. Chcę coś zjeść - oznajmia DeWitt.

- Ja też - przytakuje Murray. - Nie będę sobie żałował i zjem stek.

- Albo rybę - proponuje Ethel. - Możesz wziąć rybę.

- Ahi jest bardzo dobra - podsuwa pani Peters, a Ethel na to:

- Och, przepadam za ahi! Murray odwraca się do Fitza.

- Kogo ona chce oszukać, najbardziej wyszukaną rybą, jaką jada, są mrozonki od Gortona - mówi cicho. A potem pyta: - Czy mam przeczytać menu?

- Ja przeczytam - zgłasza się Rose. - Ja!

Czyta na stojąco. Bardzo wyraźnie, choć można mieć wątpliwości co do wymowy.

Leżymy razem z Chipem w łóżku. Przed chwilą wsadziliśmy DeWitta do taksówki, żeby odwiozła go do domu. Został z nami, kiedy pozostałych zabrała limuzyna zamówiona przez Chipa i panią Peters. Poszliśmy we trójkę do Oak Bar w Copley Plaża na strzemiennego. DeWitt i ja wypiliśmy martini, a Chip wypalił cygaro.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Chip, za to, co zrobiłeś.

- Mam nadzieję, że o czymś cię to przekonało.

- Tak.

- To dobrze.

- Widziałeś, jak Rose je rękami?

- No cóż. Egipcjanie zawsze jedli rękami.
- Naprawdę?
- Naprawdę. - Ziewa.
- Jesteś wyczerpany, Chip.
- Uciałem sobie drzemkę po południu.
- To za mało.
- Owszem, jestem zmęczony. Ale nie chcę spać, kiedy zostało tak mało czasu.
- Może zostało go więcej, niż myślisz. Nie wiesz tego.
- A jednak wiem. Odwracam się do niego.
- Co ty mówisz? Wzdycha.
- Już czas, Myra. To... siusianie do łóżka i inne... Przemyslałem to. Kilka tygodni po postawieniu diagnozy wiedziałem, że sam zadecyduję kiedy. Nie chcę czekać na to, co jeszcze się zdarzy. Nie chcę siedzieć uwięziony w samochodzie przez pięć godzin.
- Ale...
- Jestem przygotowany. Mam wszystko, co potrzeba. Chcę tylko... Nie chciałbym być sam. Będziesz przy mnie, gdy to zrobię? Możesz to zrobić?
- Milczę. W środku czuję się tak, jakby przykręcano jakąś śrubę, coraz mocniej.
- Wiem, że to duża prośba. Mam w Nowym Jorku przyjaciela, który to robi, jeśli ty nie możesz. Na samym początku kazałem mu przyrzec, że pomoże mi, kiedy mój stan się pogorszy. Powiedział, że mnie udusi, jeżeli to będzie konieczne.
- Och, Chip.
- Nie. Jest prawdziwym przyjacielem, skoro się zgodził.
- Ale w jaki sposób ty...
- Mam pigułki.
- Skąd? Milczy.
- O mój Boże. Od DeWitta.
- Od jego przyjaciela. Lekarza, który kupuje od DeWitta marihuanę.
- Chip, nie możesz tego zrobić. DeWittowi nie można ufać. A jeśli...
- Można mu ufać. Wiem dokładnie, jak to zadziała. Naj-

pierw trzeba wziąć coś na powstrzymanie wymiotów. Później, po około dwudziestu minutach, bierze się resztę.

- Resztę czego? Co on ci dał?

- Uznał, że lepiej, żebym nie wiedział. Ja też tak uważam. Leżę chwilę bez słowa. Potem mówię:

Odchodzę z tobą. Nie bądź śmieszna. Chcę to zrobić. Chip siada, zapala światło.

Okay. Wyjaśnimy to sobie teraz, raz na zawsze. Ubieraj się, wychodzimy.

- Chip...

- Myra, wydaje ci się, że mnie kochasz, tak? Przełykam ślinę.

- Ja cię naprawdę kocham.

Podnosi się z łóżka, sięga po spodnie i koszulę pozostawione na ławie.

- Więc chodź ze mną. Jesteś mi potrzebna. Proszę cię, chodź ze mną, chcę wyjść na dwór.

Odsuwam pościel, idę do garderoby.

- Dobry wieczór - mówi portier, kiedy wychodzimy frontowymi drzwiami hotelu. Stosowniejsze byłoby „dzień dobry”. Trzymając się za rękę, przechodzimy przez ulicę i siadamy na ławce koło fontanny. Przelatuje nad nami jakiś cień.

- Chip, co to było?

- Nie wiem - odpowiada. - Nietoperz? Czy są tu nietoperze?

- To było za duże jak na nietoperza.

- Może to był jastrząb.

- Na pewno nie.

- Umówmy się, że tak. Nie widzieliśmy go wyraźnie, a ja-lubię jastrzębie.

Patrzę na niego, na ładny profil rysujący się w nikłym świetle.

Dlaczego? - pytam. Co dlaczego?

- Dlaczego lubisz jastrzębie?

- Właściwie nie wiem. Lubilem je od dziecka. Sam siebie

nazywałem „Jastrzębiem”. Mój najlepszy przyjaciel, Timmy O'Conner, pamiętasz go?... był „Orłem”. Uśmiecham się.

- Ile mieliście wtedy lat? Rozsiada się na ławce.
- Niech sobie przypomnę. Jakies trzydzieści siedem, osiem. Śmieję się, a wtedy dorzuca:
- Dziesięć. Mieliśmy dziesięć lat. Jastrząb Reardon to ja.
- Brzmi nieźle.
- Wiesz, co robią jastrzębie w czasie godów?
- Nie. Co takiego robią?
- Najpierw latają razem w kółko na dużej wysokości, żeby się dopasować. Potem szepią się szponami i pikują ku ziemi.
- Ojej - mówię. - Ale w którymś momencie zmieniają kierunek lotu?
- Tak. Tuż przed zderzeniem z ziemią.
- Gdzie o tym przeczytałeś?
- Usłyszałem przez radio.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, a potem Chip mówi:

- Wiesz, Myra, myślę, że jedyna dobra rzecz, jaka wynika z takiej sytuacji, to to, że mamy okazję ostatecznie załatwić niektóre sprawy. Zanim wyjechałem z Nowego Jorku, poszedłem na zajęcia grupy wsparcia. Diann mi to podsunęła. To była grupa dla chorych na raka i tych, którzy ich kochają, takie coś. Spotykali się we środy wieczorem w podziemiach kościoła, siadali w kółku na rozkładanych krzesłach, wiesz, jak to wygląda. To nie dla mnie. Liderzy grup i pełne zapału pomocnice, roznoszące okropne ciasteczka. Przygnębieni ludzie, przygarbieni każdy na swoim krześle, jęczący i użalający się nad stratą, stratą, stratą. Ile tam było strachu! Byli też tacy, którzy udawali, że się nie boją, tacy, którzy nosili ubrania w kojących kolorach i afiszowali się ze swoimi łysymi głowami, jakby to była najnowsza moda. Tacy, którzy wiedzieli, że żyli przedtem i że będą żyli znowu, albo tacy, którzy wiedzieli, że „dołączą do Chrystusa w niebie”. W ponurej konkurencji rywalizowano, kto będzie żył najdłużej. A może, kto najwcześniej umrze, nie pamiętam. Nie chciałem należeć do tego klubu ani do żadnego innego. Ale podobała mi się jedna rzecz,

o której mówili: że ta choroba jest jak zawiadomienie z wyprzedzeniem. Można zakończyć pewne rzeczy, które w innej sytuacji mogłyby pozostać niedokończone. Długo nad tym myślałem. Dlatego postanowiłem przyjechać do domu. Czuję, że pogodziłem się z matką, a gdybym nie zachorował, pewnie nigdy bym tego nie zrobił. I jeszcze coś, czuję, że pogodziłem się ze sobą, że zaszła we mnie zmiana, jakiej wcale się nie spodziewałem. Nie planowałem tego, a jednak tak się zdarzyło.

- Co masz na myśli?

- To, o czym już mówiłem. Przez całe życie unikałem prawdziwego zaangażowania się. Nigdy nie nauczyłem się być tylko z jedną osobą. Powiedziałem sobie, że nie chcę, ale to bzdura. Po prostu się bałem. - Patrzy na mnie. - Dziś już wiem, co może dać kochanie tylko jednej osoby. Co może dać kochanie.

Milczę. Patrzę w bok.

- Wiesz, o czym mówię, prawda? Myra? Przetykam ślinę, próbuję coś powiedzieć, nie mogę. Bierze mnie za rękę, całuje ją.

- Cieszę się, że wiem, jak to jest. Cieszę się, że w końcu to mam.

Zaczynam płakać.

- Przecież ty wcale tego nie masz! Nie masz dość czasu, na to potrzeba czasu!

- Mam czas. Teraz. To się dzieje teraz i ja o tym wiem. Co więcej dostajemy? Umrę, tak, ale umrę wiedząc, że wreszcie nauczyłem się, jak kochać jedną osobę. Wiesz, dlaczego się nauczyłem? Bo pokazałaś mi, co trzeba kochać w drugim człowieku. To najważniejsza rzecz, jaką mi dałaś. Patrzę na ciebie i... Och, Myra, wiesz, jak wiele masz do ofiarowania? Nie możesz mi uwierzyć? Cholera, uwierzysz mi wreszcie?

Trwa to długo; woda rozlała szeroko, ale w końcu odpowiadam obco brzmiącym głosem:

- Wierzę ci.

- Ach. Dziękuję. - Całuje mnie w czoło. - Wiesz, co myślę? Myślę, że spotkaliśmy się ponownie po to, żebyśmy sobie pomogli. Gdybym miał żyć dłużej, Myra, to bym ci się oświadczył.

Śmieję się.

- Naprawdę!  
- Łatwo ci tak teraz mówić.  
- Wcale nie tak łatwo. Ale to prawda. - Wstaje z ławki i klęka przede mną. - Co mi tam. Myra Lipiński, kocham cię. I twojego pieska też. Czy wyjdiesz za mnie?

Milczę. Mam ściśnięte gardło.

- Przestań. To nie jest śmieszne.

Już się nie uśmiecha, wyciąga rękę i przykłada ją do mojego policzka.

- Myra - szepcze. - Powiedz „tak”.

Wieczorne powietrze jest takie łagodne. Gałęzie drzew tworzą koronkowy wzór. Słysząc fontannę, nierówny szmer wody. Myślę: Obym nie zapomniała niczego, co składa się na tę chwilę. A potem mówię „tak”. Chip wstaje.

- Dobrze. A teraz, zgodnie ze zwyczajem, dam ci w prezencie duży kamień.

Rusza ścieżką.

- Chip.

- Zostań - mówi. A potem, nachylając się: - Ten się nada. Wraca i daje mi kamień - nieduży, okrągły, gładki. Kładę go na serdecznym palcu lewej ręki.

- Piękny.

Znów siada przy mnie na ławce, obejmuje mnie ramieniem.

- Popatrz na tę gwiazdę. - Wskazuje na niebo. - Popatrz jaka jasna.

Odnajduję tę gwiazdę.

- Ciekawe, jak jest daleko.

- Arktur, który jest jasną gwiazdą, znajduje się, o ile dobrze pamiętam, w odległości trzydziestu sześciu lat świetlnych. To dwieście szesnaście trylionów mil. Ale możemy dostrzec gwiazdy oddalone o dziesięć tysięcy lat świetlnych.

Spogląda na mnie z uśmiechem.

Myślę o sześciolatniej dziewczynce, która była moją pacjentką, kiedy miałam dyżury na pediatrii. Przechodziła chemoterapię na raka nerek. Siedziałam na jej łóżku, kolorowałam z nią rysunki, a ona nagle odłożyła kredkę, opadła na poduszki i westchnęła. „Co się stało?” - spytałam. „Nie wiem - odpowiedziała. - Myślałam o tym, jakie wielkie jest niebo”. „Czy to cię przeraża?” A na to ona: „Nie. Kiedy o tym

myślę, czuję się lepiej". Chyba rozumiem, dlaczego Chip chciał wyjść na dwór.

W oddali widzimy idącego ku nam mężczyznę. Spostrzega nas, zatrzymuje się, a potem rusza w naszą stronę. Chodźmy - mówię do Chipa. Dlaczego? Tak tu przyjemnie. Patrzę na nadchodzącego mężczyznę, który jest coraz bliżej. Ciemna bluza z kapturem. Ręce w kieszeniach. Wstaję.

Chodź. Pośpieszmy się. Chip bierze mnie za rękę i pociąga, żebym usiadła.

To tylko facet, który wyszedł na spacer. Nie przejmuj się. Tyle że ten facet, który wyszedł na spacer, mierzy do nas z pistoletu. To poniekąd fascynujące; nigdy nie widziałam broni z tak bliska.

- Dobry wieczór państwu - odzywa się facet. - Zgadnijcie, co to jest.

- Nie mam nic przy sobie - mówię. - Nie mam torebki. - Trzęsę się; mam serce w gardle.

- Masz zegarek?

Zdejmuję zegarek i podaję. Gdy się po niego nachyla, widzę wyraźniej twarz napastnika. Biały, około pięćdziesiątki. Gęste czarne brwi, wąskie usta.

- To cała biżuteria?

- Tak.

- A co trzymasz w ręku? Rozwieram palce.

- Kamień. Śmieje się.

- Niewiele ci pomoże. - Kieruje pistolet na Chipa. - Masz portfel?

- Mam - odpowiada Chip zadziwiająco spokojnie. Wręcz przyjaźnie. Chciałabym na niego spojrzeć, ale boję się odwrócić głowę. - Coś ci jednak powiem. Nie mam ochoty oddać go tobie.

Mężczyzna prycha, przystępuje bliżej. Chip - szepczę.

A powód jest taki, że mam już wszystkiego dość. Jeżeli przyjrzyysz się mojej głowie, o tu, zobaczysz bliznę. Po operacji na raka mózgu. Nie udało się. Okradasz umierającego,

człowieku. Nie chcesz tego zrobić, bo twoja karma bardzo na tym ucierpi.

Napastnik przykłada lufę do skroni Chipa.

- Oddaj portfel, głupku.

Chip sięga do kieszeni, oddaje portfel. Potem zegarek.

- Teraz odejdę. Wy macie tu siedzieć. Jeżeli się poruszycie, a będę was jeszcze widział, zastrzelę oboje - grozi mężczyzna. - To dla mnie pestka, zabiłem już wielu.

Siedzimy nieruchomo. Za nami przejeżdżają ulicą samochody, wieje wiatr, ucicha. Kiedy mężczyzna już prawie znikł nam z oczu, zawraca i znowu idzie w naszą stronę. „O Boże!” - mówię i biorę Chipa za rękę. Co za ironia losu, że w ten sposób zginiemy. Żałuję - absurdalna myśl - że nie skończyłam deseru.

Mężczyzna znów staje przed nami i pyta Chipa:

- Naprawdę masz guz mózgu?

- Tak.

Zastanawia się chwilę i pyta dalej:

- Jakiego rodzaju?

- Nazywa się glioblastoma... zapomniałem jak dalej.

- Multiforme - dopowiadam. - Glioblastoma multiforme. - Daruj nam życie, jesteście tacy ulegli.

- Hm. To brzmi jak nazwa jakiejś włoskiej potrawy. Mężczyzna zwraca Chipowi portfel. Chip chowa go do kieszeni.

- Dziękuję.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

- Co mi tam. Moja mama umarła na raka piersi. - Wyjmuje z kieszeni zegarek, podaje Chipowi. - To też możesz sobie wziąć. - Odwraca się do mnie. - Ale twój muszę zatrzymać. Przepraszam.

- W porządku.

- Eee... to nie jest mój zegarek-mówi Chip.

- A jaki jest twój?

- Omega.

- A co tam masz?

Chip mruży oczy, przyglądając się zegarkowi.

- Wydaje mi się, że to podrabiany rolex.

- Który bardziej ci się podoba?

- Mój.



Mężczyzna sięga do kieszeni, wyjmując zegarek.

- Ten?

- Tak.

- Oddaj mi tamten.

Dokonują wymiany i mężczyzna prostuje się.

- Oczekuję, że pozwolicie mi odejść. Oczekuję, że posiedzicie tu jakiś czas, gdy już nie będziecie mnie widzieć, a potem stąd pójdziecie, jesteście głupi, że w ogóle tu przyszliście.

Mężczyzna odchodzi w ciemność. Znika nam z oczu.

- Czy już możemy iść? - pytam Chipa.

- Chyba tak.

Powoli wychodzimy z parku, a potem szybko przecinamy ulicę.

Kiedy już jesteśmy z powrotem w hotelu, pytam:

- Czy nie powinniśmy zawiadomić policji?

- Puść to płazem - radzi Chip.

Odwracam się do niego, chcę coś powiedzieć, urywam. Razem czekamy na windę. Jakże niewinnie brzmi dźwięczny gong, gdy winda nadjeżdża. To nedorzeczne.

W niedzielę wieczorem jesteśmy z powrotem w domu i leżymy w moim łóżku, trzymając się za ręce. Potrzebujemy lekkiego koca, żeby osłonić się przed powiewem od okna.

- Sierpień się kończy - mówię.

- Tak szybko minął - dodaje Chip. - Jakżeby inaczej.

- Tak.

- Zamierzam zrobić to w piątek, Myra. Przybędę do nieba na weekend, pewnie dzieje się tam wtedy wiele ciekawych rzeczy.

Milczę, zamykam oczy. Czuję, że odwraca się do mnie. Oczy mam wciąż zamknięte.

- Może Janis i Jimi dają w weekend koncerty. I Elvis. Może Liberace.

Otwieram oczy, patrzę na niego. Nie chcę podjąć tej zabawy.

- O co chodzi?

Siadam, zapalam lampę przy łóżku.

- No co? - dopytuje się. - Powiedz.

- Nie wiem. Może rzeczywiście powinieneś zbadać inne możliwości. Może istnieje jakaś eksperymentalna metoda leczenia, której warto spróbować.

- Och, Myra. Proszę cię.

- Ale może istnieje.

- Nie istnieje.

Długo żadne z nas się nie odzywa.

- Zgoda. Przepraszam. Powiedziałam, że uszanuję twoją decyzję i tak będzie.

- Tak jest lepiej, Myra, wierz mi. A teraz muszę omówić z tobą szczegóły. Dobrze?

- Tak.

- Jeżeli zmieniłaś zdanie i nie będziesz mi towarzyszyć do końca, zrozumiem. Jeżeli zmienisz zdanie w dowolnym momencie, poczynając od chwili obecnej aż do tej ostatniej, zrozumiem.

- Nie zmienię zdania.

- Dobrze. Chcę to zrobić w piątek. Ten dzień wybrałem. Myślałem, że... rano. Uznałem, że tak byłoby lepiej dla ciebie. Wiem, że musisz jutro iść do pracy, a ja mogę zostać sam. Zobaczę się z rodzicami i trochę podzwonię. Ale potem może wzięłabyś kilka dni wolnego.

Kiwam głową. Gaszę światło i kładę się koło Chipa. Jest niedziela wieczór. Jutro jest poniedziałek. Potem wtorek. Nic nie mogę na to poradzić, nigdy nie mogłam. Czytałam kiedyś o pewnej koncepcji w fizyce, zgodnie z którą czas rozgałęzia się, tworząc więcej niż jeden wymiar, więc to, co nie zdarza się w jednym świecie, może zdarzyć się w innym. Stare przyzwyczajenie - pocieszanie się myślami. Nie chcę do niego wracać.

Gdy miałam dziesięć lat, grupa dzieci z sąsiedztwa bawiła się latem codziennie po kolacji. Często przyglądałam się tym dzieciom przez okno; kilka razy dołączałam do zabawy w chowanego. Raz schowałam się za krzewami bzu z chłopcem, który najpierw gapił się zakłopotany przed siebie, a potem odwrócił się do mnie i szeptem, dość uprzejmie spytał: „Kto ty jesteś?” Najczęściej jednak tylko się przyglądałam. Widziałam, jak siedzą w kółku na trawie, jeżdżą na rowerach, bawią się w zastygające w bezruchu figury, rozmawiają

i śmieją się, tylko nie słyszałam z czego. Raz puściły z hukiem „wiśniową bombę”, a innym razem urządziły piknik przy księżycu: jadły pieczonego kurczaka Kentucky i piły lemoniadę.

Co wieczór około wpół do dziesiątej czy dziesiątej wołano te dzieci po kolei do domu. Matki wychylały się zza siatkowych drzwi, wykrzykując imiona, czasem po młodsze rodzeństwo przychodził starszy brat lub siostra. Dzieci, które odchodziły pierwsze, robiły to z wielkim żalem. Niepotrzeb-

nie. Nic się nie działo po ich odejściu. Wszystko dobiegało końca w zwolnionym tempie, jakby płatki opadały z kwiatu. Nie mogło być tak, że ludzie odchodzą, a potem dzieje się coś dobrego. Ci, którzy zostawali, niczym się już nie zajmowali, tylko czekali, aż ich zawołają. Więc wcale nie było tak źle pójść pierwszemu, skierować się w stronę ciepłego żółtego światła i łóżka z płócienną letnią pościelą. To było o wiele lepsze niż być ostatnim, stać samotnie, a na koniec iść do domu, chociaż nikt nie wołał.

W poniedziałek odwiedzam Rose, Ann Peters i Fitza Waltersa. Potem wchodzę do sklepu na kanapkę z tuńczykiem. Zjadam połowę i telefonuję z automatu do agencji, żeby powiedzieć, że od jutra biorę wolne na czas nieokreślony. Mówię też, że mogą skreślić DeWitta z listy moich pacjentów; ta wizyta będzie ostatnia, więcej nie potrzebuje. Następnie wykręcam numer DeWitta.

Odbiera telefon po pierwszym sygnale i sprawia wrażenie zaskoczonego, że słyszy mój głos. Ale nie zaczyna wrzeszczeć, że dzwonię o niewłaściwej porze. Jest niezwykle serdeczny.

- Tak, możesz teraz przyjść - mówi. - Właśnie miałem szykować lunch, zjesz ze mną.

- Nie, dziękuję - odpowiadam. - Jadłam przed chwilą.

- Ale nie to. Od tego, co tu mam, wyrosną ci włosy na piersi. No, może wołałabyś na głowie. Zrobiłem chili DeWitta. Trzy alarmy, dziecinko. Pięć gwiazdek. Posmakujemy, kiedy zmienisz mi opatrunek.

- Dwadzieścia minut - mówię i wyrzucam drugą połówkę kanapki do śmieci. Mam przeczucie, że DeWitt jest dobrym kucharzem. A nawet jeśli nie jest, i tak mu powiem, że jest. Czegoś od niego potrzebuję.

- Kucharz z The Four Seasons padłby przed tym na kolana, prawda? - DeWitt napęlnia mi talerz dokładką chili.

- To jest dobre - potwierdzam. - Skąd masz przepis?

- Sam wymyśliłem. Jeżeli chcesz dobrze gotować, musisz najpierw wyrzucić wszystkie przepisy, a potem słuchać tylko siebie. Książki kucharskie piszą same cipy. - Nakłada sobie drugi talerz. - Jeszcze chleba kukurydzianego?

- Nie, dziękuję.

- Piwa?

- Nie, niczego mi nie brak, dziękuję.

DeWitt stawia talerze na kuchennym stole i podsuwa sobie krzesło.

- Jak tam Chip? Dlaczego nie przyszedł?

- Miał... parę rzeczy do załatwienia. DeWitt patrzy ostro na mnie, więc mówię:

- Nie to. Jeszcze nie.

- Kiedy?

- Nie wiem.

- Chciałbym go jeszcze raz zobaczyć, powtórzysz mu?

- Tak.

- Pragnę się z nim porządnie pożegnać.

- Powiem mu. DeWitt... a skoro o tym mowa, mam pytanie.

- Nie mogę ci powiedzieć, co mu dałem.

- Nie zamierzałam cię o to pytać. - Odkładam łyżkę, odsuwam krzesło od stołu. - Chciałam wiedzieć... czy mógłbyś zdobyć jeszcze trochę tych narkotyków. Tę samą kombinację... Niedługo.

Marszczy czoło.

- Poco?

- No cóż... - Zamierzałam powiedzieć, że Chip obawia się, czy mu nie zabraknie, ale nie potrafię skłamać. - Dla mnie.

- Dla ciebie? Po co?

- To chyba dosyć oczywiste po co, DeWitt.

Wybałusza na mnie oczy. Smużka chili zabarwiła mu kącik ust i mam wielką ochotę ją obetrzeć. Ale nie robię tego.

- Posłuchaj, DeWitt. To bardzo skomplikowane. Ja...

- Nic więcej nie mów, nie strzęp sobie języka. Myślisz, że jestem stuknięty? Myślisz, że dam ci dragi, żebyś się wykończyła? Chip wie, że mnie o to prosisz?

- Nie.

- No właśnie. Co z tobą? Miałem cię za mądrą kobietę! A tu raptem wciskasz mi jakieś głupoty. Może nerwy ci siadają, może potrzebujesz odpoczynku, opatul się kocem i poleż sobie gdzieś na leżaku. - Wstaje, zanoszą naczynia do zlewu. - Gada o odebraniu sobie życia - mamrocze pod nosem. Odwraca się raptownie z założonymi rękami i gromi mnie spojrzeniem. - Myślisz, że to jest opera mydlana? Myślisz, że możesz wziąć te pigułki, a potem się obudzić? Uronić parę ładnych łez i wziąć prysznic?

- Nie będę z tobą rozmawiać o tym, dlaczego chcę to zrobić. Jeżeli mi nie pomożesz, zdobędę narkotyki gdzie indziej.

- Akurat.

- Właśnie, że tak.

- Po pierwsze, życzę powodzenia, to wcale nie takie proste. Po drugie, jeśli pamiętasz, mam powiązania. Dam znać ludziom na ulicy i od nikogo nic nie dostaniesz. Od nikogo.

- DeWitt. Proszę cię. Proszę cię, nie każ mi tego wyjaśniać. Wiem, co robię. Daj mi tylko to, co dałeś jemu. Proszę.

Siada przy stole.

- Nie mogę ci dać tych narkotyków, Myra. W ogóle ich nie mam. A nawet gdybym je miał, to i tak bym ci nie dał.

Siedzimy w milczeniu. Słyszę śpiew ptaka, najpierw jednego, potem drugiego, który mu odpowiada.

- Pozwól, że cię o coś spytam. Czy byłeś kiedyś zakochany? Czy byłeś kiedyś tak w kimś zakochany, że nie chciałeś bez tej drugiej osoby być na świecie?

- Cholera! - Wygląda przez okno.

- Byłeś?

- Wiem, jak to jest, gdy traci się kogoś bliskiego.

- Tak, ale... kiedy zabiera go śmierć?

- Tak. Tak właśnie było. Byłem raz żonaty. Żona umarła przy porodzie. Miała dziewiętnaście lat. Nie udało mi się szybko ściągnąć tej cholery karetki, nikt nie chce tu przyjeżdżać. Wykrwawiła się na śmierć. Leżała na sofie, w płaszczu, i czekała. Miała nawet chustkę na głowie. Klęczałem przy niej, mówiłem, że wszystko będzie dobrze. Dziecko też umarło. Zabrali ją stąd przykrytą prześcieradłem, widziałem tylko wystającą chustkę.

- Och, DeWitt. Tak mi przykro. Nie wiedziałam.

- Nikt nie wie. To było dawno temu. I przypadkiem nikomu nie mów.

- Nie powiem. DeWitt, jeżeli kochałeś ją tak, jak ja... Wstaje raptownie, przewracając krzesło na podłogę. Oddycha szybko, widać, jak pulsują mu skronie.

- Ani słowa więcej! Nie waż się mówić, że czułem dla tej dziewczyny mniej, niż ty czujesz dla Chipa! Ani ktokolwiek dla kogokolwiek!

- Wcale tak nie mówię, DeWitt. Wcale. - Zaczynam płakać i biorę z nakrytego do lunchu stołu papierową serwetkę, żeby obetrzeć twarz. - Ja tylko... Boże, ja tylko czuję, że bardzo długo żyłam, wiesz? I byłam taka samotna. Przy Chipie znalazłam coś, bez czego nie będę mogła żyć, i wiem, że drugi raz tego nie znajdę.

DeWitt podnosi krzesło, siada.

- Tego nie można wiedzieć.

- Nigdy tego nie znajdę. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, żebyś zrozumiał, myślę, że nikomu nie potrafiłabym tego wytłumaczyć. Nie zostanę tu bez niego. Nie zostanę. Ta decyzja dotyczy tylko mnie. Myślałam, że kto jak kto, ale właśnie ty zrozumiesz prawo dokonywania wyborów, nawet jeżeli te

wybory są poza prawem. Jeżeli nie dasz mi narkotyków, wezmę z piwnicy pistolet ojca. Zastrzelę się.

- Jak? Opowiedz. Opowiedz mi to dokładnie.

- Dobrze. Załaduję broń dzień wcześniej i ukryję ją w bielizniarce, za ręcznikami. Pójdę po nią zaraz po tym, jak Chip umrze. Położę się obok niego, bardzo blisko. Wezmę go za rękę. Drugą ręką przytknę do skroni lufę. Potem pociągnę za spust.

DeWitt milczy.

- To mnie nie przeraża, DeWitt. Opowiadając ci o tym, nie czuję nic oprócz pewności. W taki czy w inny sposób ja to zrobię.

Patrzy na mnie dłuższą chwilę, a potem mówi:

- Możesz przyjść po narkotyki jutro. O drugiej. Kiwam głową.

- Dziękuję.

- Za to mi nie dziękuj. I już nie chcę cię więcej widzieć w moim domu. - Wychodzi z kuchni, idzie korytarzem do sypialni i zatrząskuje drzwiami. Szybko się wynoszę.

Tak to się robi, gdy stoisz na samej krawędzi, bardzo wysoko. Pochylasz się lekko w odpowiednią stronę. Taki niewielki ruch. Prawie niewidoczny. Nieco bliżej do tego, co wydawało się kiedyś tak odległe. Potem to cię zagarnia, porusza się z własną szybkością i możesz już nie myśleć. Zawsze sądziłam, że każdy taki upadek jest bardzo cichy. I że cisza jest głosem ulgi.



Po przyjściu do domu znajduję Chipa śpiącego w sypialni. Leży na boku, a obok niego Frank. Frank unosi łeb i macha ogonem, więc szepczę: „Zostań”. Zamykam cicho drzwi i idę na dół, żeby poszukać w lodówce czegoś, z czego można zrobić kolację. Ser. Jajka. Salsa. Omlety?

Dzwoni telefon, szybko podnoszę słuchawkę. To Diann. Poznają po tonie, jakim wypowiada moje imię, że płakała.

- Powiedział ci? - zgaduję.
- Tak. I czuję się bardzo źle, że nie zostałam, że nie pomogłam więcej.
- W porządku. Dajemy sobie radę.
- Wiem. Mówił mi o was. Myślę, że to jest... że to jest dobre.
- Tak.
- Przyjadę i będę z tobą, jeżeli sobie życzysz.
- Nie, nie trzeba - odpowiadam, zbyt szybko.
- Będzie ci bardzo ciężko.
- Wiem. Ale potem będę potrzebowała побыć trochę sama. Może po kilku dniach przyjadę do ciebie.
- Bardzo bym tego chciała. Naprawdę. Powiedz... jak on się tak naprawdę czuje?
- Wzruszam ramionami, opieram się o ścianę w kuchni.
- Nie wiem. Można chyba powiedzieć, że jest pogodnie zrezygnowany. I bardzo spokojny. Jakby był pewien tego, co robi.
- Czy coś go boli?

- Bierze proszki przeciwbólowe i to pomaga. Choć już nie tak skutecznie. Trudniej mu utrzymać równowagę, co jakiś czas traci orientację. O wiele więcej śpi. Myślę, że wybrał dobry moment, Diann.

- To takie okropne. Cały czas myślę, że musi być coś, co mogłabym zrobić, a przecież nie ma. Ale cudownie nam się rozmawiało. - Śmieje się. - Jak nigdy dotąd.

- Tak. - Bawię się przewodem telefonicznym. Nie mam już nic do powiedzenia. Myślę o włączeniu automatycznej sekretarki. Żeby nie przyjmować więcej telefonów.

Diann widocznie to wyczuwa, bo mówi:

- Nie będę cię już męczyć, Myra. Chcę ci tylko powiedzieć, że jeżeli zmienisz zdanie i zechcesz, żebym przyjechała, zadzwoń. Przylecę najbliższym samolotem.

- Dobrze. Dziękuję.

- I powiedz Chipowi... Nie wiem. Nie wiem co. Powiedziałam mu wszystko. Ale powiedz mu, powiedz, że cały czas o nim myślę. - Zaczyna płakać. - I że mam nadzieję, że odejdzie w spokoju. I że tak mi przykro, że musiał cierpieć. I że go kocham, powiedz, że zawsze będę go kochała.

Teraz ja też zaczynam płakać.

- Powiem mu.

Długa cisza. Przerywa ją Diann:

- Zadzwoń, kiedy będzie po wszystkim, dobrze? Proszę cię, zadzwoń. Zrobisz to?

To będzie trudne, myślę. Ale obiecuję jej, że to zrobię.

Po kolacji - hiszpański omlet i sałatka - postanawiamy oboje iść z Frankiem na spacer do wypożyczalni wideo, trzy przecznice od domu. Człowiek, który tam pracuje, gapi się na Chipa, bo wie, że coś jest nie tak, ale nie może odgadnąć co. Chip powłóczy nogami, ma nierówny chód. Jego oczy zmieniły wyraz pod wpływem leków; wygląda, jakby był niespełna rozumu. Spodnie wiszą na nim z powodu utraty wagi. Ja już się do tego przyzwyczaiłam, przestałam to dostrzegać, więc kiedy widzę te zmiany na nowo, oczami obcego człowieka, czuję się nieswojo. Chcę jak najszybciej stąd wyjść.

Chip stoi niewzruszenie przed ścianą kaset wideo. Ma upośledzone poczucie czasu. Po drzemce, którą sobie uciął po południu, poszedł do łazienki umyć zęby. Gdy upłynęło pięć-

naście minut, zajrzałam tam, żeby zobaczyć, co się dzieje, a on wciąż mył zęby. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co robić. W końcu położyłam rękę na jego ręce i powiedziałam:

- Myślę, że już wystarczy.

Pokiwał głową i odłożył szczoteczkę. I to było wszystko.

- Jak myślisz? - mówię. - Może znajdziemy coś w dziale komedii?

- A może dostaniemy ten film o kobiecie, która jedzie autobusem.

- Kto w nim gra?

- Nie wiem, ta kobieta. Bardzo sławna. Wsiada do autobusu, bo chce pojechać do domu.

- *Wycieczka do Bountiful?* - pyta wypożyczający.

Mam ochotę powiedzieć mu, żeby pilnował własnego nosa, nie podsłuchiwał i przestał się wreszcie gapić, ale Chip przytakuje:

- Tak, to ten!

Ruszamy w stronę domu, spuszczam Franka ze smyczy i każę mu iść przy nodze. Przeszliśmy kawałek za następną przecnicę, gdy Chip się zatrzymuje. Stoi nieruchomo i raz po raz przęłyka ślinę. Potem wzdycha „och, och”. Schodzi na brzeg chodnika, siada na krawężniku, zwiesza głowę między kolanami i cicho wymiotuje. Dwoje ludzi w średnim wieku wymija nas szerokim łukiem.

- Obrzydliwość - mamrocze kobieta na tyle głośno, żebyśmy usłyszeli.

- Przepraszam - mówię. Kiedy kobieta odwraca się, dodaję: - Pieprz się!

- Hej! - rzuca jej towarzysz.

- Ty też się pieprz - ja na to.

- Myra, chodźmy do domu - prosi Chip. - Wstaje, przypina smycz Frankowi. - Chodź.

Stoję i patrzę za odchodzącą parą. Biorę Chipa pod rękę.

- W porządku? - pytam.

- Tak.

- Ludzie są tacy głupi.

- Pewnie pomyśleli, że jestem pijany. To jest obrzydliwe.

- Wcale nie. Śmieje się.

- Okay. Nazwiemy to sztuką.

Po kilkunastu minutach oglądania filmu, Chip zasypia. Oglądam jeszcze przez jakiś czas, potem delikatnie go budzę.

- Coś przegapiłem, tak? - pyta. - Znów zasnąłem.

- Nie szkodzi.

- Oglądałaś? Chciałem, żebyś go obejrzała. Siada prosto.

- Już późno?

- Nie jest bardzo późno.

- Cały czas jestem taki zmęczony. Przepraszam. Przesuwam się, żeby usiąść przy nim.

- Nie musisz za nic przeproszać. Chętnie pójdę na górę i położę się razem z tobą do łóżka. Tam jestem najszczęśliwsza.

Obejmuje mnie ramieniem.

- No to chodźmy.

We wtorek po południu, zaraz po lunchu, mówię mu, że muszę skoczyć do agencji i zostawić tam dokumentację, a potem zrobić zakupy.

- Życzysz sobie czegoś? - pytam.

- Lodów.

- Jakich?

- Nieważne. Zimnych. - Patrzy na mnie zdziwionym wzrokiem. - Nie czuję się dobrze.

- Co ci jest?

- Nie wiem. To tak... jak gumki.

- Nic rozumiem, co mówisz, Chip.

- Jak rozciągnięte gumki.

Nie wiem, o co mu chodzi, ale kiwam głową, jakbym rozumiała.

- Może zostanę - proponuję. - Nie wyjdę.

- Nie, nie trzeba. To nic nowego. Tylko... nasiliło się. Poczuję się lepiej, kiedy się zdrzemnę.

Siedzę przy nim, dopóki nie zaśnie. Nie chcę wychodzić, ale chcę dostać te pigułki. Jeżeli nie będzie dużego ruchu, obrócę w niecałą godzinę. Wołam Franka, żeby przyszedł do mnie, razem wychodzimy i wsiadamy do auta.

DeWitt przykleił taśmą do drzwi frontowych kartkę z moimi inicjałami. Czytam: „Przed pokojem, w którym zmieniamy opatrunek”. Nic więcej.

Zaglądam w krzaki rosnące pod oknem jego sypialni i znajduję dużą brązową kopertę, na której też widnieją moje inicjały. W środku są mniejsze koperty, oznaczone numerami 1, 2 i 3. W pierwszej kopercie poznaję środek przeciw wymiotom, ale pozostałych pigułek nie znam - jest dużo małych żółtych kapsułek i kilka większych czerwonych. Nieważne, co to jest. Składam kopertę, chowam do torebki. Dzwonię do drzwi De-Witta, słyszę szuranie. Czekam, lecz nikt nie otwiera. Jeszcze raz naciskam dzwonek, a potem odchodzę.

Po powrocie zastaję Chipa w salonie.

- Nie mogłem spać - wyjaśnia. - Przeszedłem się do biblioteki. I mam ci do opowiedzenia coś zaskakującego.

- Tak?

Wieszam torebkę w szafie, upewniam się, czy suwak jest zamknięty. Frank idzie do miski z wodą i startuje do maratonu chleptania. Cieszę się, że psy nie umieją mówić. „Hej, Chip. Poszliśmy do DeWitta, żeby Myra też miała pigułki!”

- Jesteś gotowa? - pyta Chip.

- Tak.

- Okay. Napoleon miał hemoroidy.

Śmieję się, podchodzę i siadam przy nim na sofie.

- Coś takiego!

- To prawda. Tak mu dokuczały, że nie mógł dosiąść konia w czasie bitwy pod Waterloo. Możesz mnie nazwać wariatem, ale wolę, by pamiętano, że miałem raka mózgu.

- Jest w tym więcej godności.

- Chcesz się dowiedzieć czegoś jeszcze?

- Pewnie.

- Kolibry potrafią latać do tyłu i biją skrzydłami przeszło sto razy na sekundę.

Uśmiecham się.

- Wiesz, jesteś najpiękniejszym mężczyzną, jakiego znałam. Jestem głupia jak każdy, więc twój wygląd to jeden z powodów, dla których cię kocham. Jednak ważniejszym powodem jest twoja... zdolność postrzegania. To, co podziwiasz i czym się zachwycasz. Kolibry. Rytuały godowe i gwiazdy. Rose Banovitz.

- I ty - dorzucasz. - Lecz ty sprawisz się o wiele lepiej ode mnie. Znajdziesz kogoś, kto nie będzie taki pusty.

- Nie jesteś pusty!

- Ależ tak... Człowiek makaron, cała substancja na zewnątrz. Stałem się teraz lepszy, to prawda, umieranie uczy, jak żyć. Ty na pewno dobrze o tym wiesz. Ale ja żyłem płytkim życiem. Trzymałem się z dala od siebie, tak samo jak od innych. Wiem, że jestem ci bliski. Ale ty nie kochasz mnie, Myra, zakochałaś się w myśli, że ktoś kocha ciebie. Znajdziesz kogoś o wiele lepszego ode mnie. Prawda jest taka, że nie jestem dla ciebie dość dobry.

Czuję się tak, jakby jakaś ręka podtrzymująca moje wnętrze nagle się cofnęła.

- Nieprawda!

- Prawda. - Odchyła się i poprawia. Coś go boli. - Co kupiłaś?

- Jeszcze nie byłam w sklepie. W agencji zeszło mi dłużej, niż się spodziewałam. Musiałam komuś przekazać wszystkich moich pacjentów.

Kiwa głową. A potem, z lekkim naciskiem, pyta:

- Myra, czy jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć?

- O czym?

- O czymkolwiek.

- Nie.

- Dobrze.

Frank, który wreszcie skończył pić, podchodzi i kładzie mi mokry pysk na kolanach.

- Och, coś ty narobił! - mówię i podrywam się, niewymownie wdzięczna za ten wtęret do rozmowy.

W czwartek, z samego rana, siedzę w salonie i piję kawę. Chip śpi. Kiedy wstanie, mamy gdzieś pójść. Poprzedniego wieczoru powiedział mi, że nie chce przesiadywać w domu i czekać. Chce zabrać Franka, koszyk z prowiantem i wyruszyć przed siebie. Może nad ocean, myślę, może do miasteczka Rockport. To tylko nieco ponad godzinę jazdy. Są tam parki, gdzie można się położyć i zdrzemnąć, ładne płaskie tereny spacerowe, co krok ławki.

Przez okno od frontu patrzę na samochody jadące ulicą, usiłuję rozróżnić rysy twarzy każdego kierowcy. To taka gra, w którą czasem gram. Jeżeli widzę jakąś twarz wyraźnie, wymyślam dla niej życie. Z rudowłosej kobiety uczesanej w koński ogon robię recepcjonistkę w klubie rekreacyjno-sportowym. Lubi strzelać z gumy, ma wielkie serce, zamiast kropki na „i” stawia skośną kreskę. A ten łysy starszy pan, nachmurzony za kierownicą, sprzedaje ubezpieczenia, kiepsko mu idzie, w dodatku odezwała się dna. A teraz nadjeżdża kobieta uderzająco podobna do mnie. Uderzająco! Wstaję, wyteżam wzrok, żeby lepiej ją zobaczyć. Jest ubrana w biały sweter, prowadzi czerwoną sentrę. Zdumiewające podobieństwo. Jakie jest jej życie? Jakie naprawdę jest jej życie, zastanawiam się.

Dzwoni telefon. Szybko odbieram.

- Myra - mówi matka Chipa. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.



- Nie, od dawna nie śpię. Jak się pani czuje?

- Jak by tu powiedzieć... To zupełnie do mnie niepodobne, ale dzwonię, bo zeszłej nocy miałam sen. Śniło mi się, że Chip umarł. Wiem, oczywiście, że zadzwoniłabyś do mnie, gdyby coś się stało. Tylko że to był taki wyrazisty sen. Chip umarł, a potem przyszedł do mnie i do ojca. Nic a nic się nie zmienił, chociaż umarł. Chciał wejść do swojego pokoju, powiedział, że czegoś zapomniał.

- Nic mu nie jest, pani Reardon. Śpi.

- Tak?

- Mogę go obudzić, jeżeli chciałaby pani z nim porozmawiać.

- Nie, to nie jest konieczne. A czy mogłabyś... Och, Myra, wiem, że to niemądre, ale czy mogłabyś się upewnić, że on śpi?

- Oczywiście. Chwileczkę.

Idę na górę z zimnem skoncentrowanym u dołu kręgosłupa i powoli pnącym się wzwyż. A jeżeli ona się nie myli? Otwieram drzwi sypialni. Chip unosi głowę, mruga sennie.

- Cześć.

- Cześć. Dzwoni twoja matka. Chcesz porozmawiać? Podnosi słuchawkę dodatkowego aparatu, mówi „Mamo”, a ja zamykam drzwi. Schodzę na dół i odkładam słuchawkę. Siadam obok telefonu, przewiążuję szlafrok i wmawiam sobie, że lepiej, żeby nie wiedziała.

Późnym popołudniem siedzimy pod drzewem na plaży i patrzymy, jak Frank bawi się z czarnym labradorem. Ich energia jest niespożyta: od pół godziny ganiają się - to wbiegają, to wybiegają z wody. Czasami jeden z psów pada i przez kilka sekund odpoczywa; potem wraca do zabawy.

Na plaży dzisiaj tłok: matki pilnują dzieci; dwoje starszych ludzi siedzi na leżakach, oboje czytają gazetę i popijają kawę ze wspólnego termosu; jest wielu młodych, w parach albo w grupach przyjaciół. Wysoko nad nami leniwie krążą mewy, wypatrując jedzenia. Kładę się, zamykam oczy, słucham szumu fal. Chip kładzie się obok i bierze mnie za rękę.

- Chcę, żebyś mi coś powiedziała - mówi.

- Co?

- Chcę, żebyś mi powiedziała, co będziesz robiła w sobotę rano.

Otwieram oczy, obracam się i spoglądam na niego.

- Nic. Nic nie będę robiła.

- Chcę, żebyś coś robiła. Chcę, żebyś wymyśliła sposób spędzenia z kimś czasu.

- Dobrze. Zrobię to.

- Nie, chcę, żebyś pomyślała o tym teraz. Powiedz mi, kto to będzie. Czuję, jak oczy napęcznieją mi się łzami.

- Nie chcę tego robić. Chcę pobyt tu i nic więcej, okay?

- Proszę cię, Myra. To dla mnie ważne.

Odwracam od niego wzrok, patrzę na cztery nastolatki, które usadowiły się dokoła fotela ratownika. Wszystko, co robią, jest obliczone na zwrócenie jego uwagi. Na razie spojrział na nie tylko raz. Wzdycham, odwracam się do Chipa.

- Zadzwoń do Diann. Pojadę ją odwiedzić.

- Diann.

- Tak.

- Pojedziesz w sobotę.

- Tak. Chyba tak.

- Wcale o tym nie myślałaś, Myra, prawda? O tym, co zrobisz, następnego dnia, przez kolejne tygodnie.

- Będę pracować, Chip.

- Nie to mam na myśli. Siadam, grzebię palcami w piasku.

- Robi się późno - mówię. - Masz ochotę na kolację? Nie odpowiada.

- Masz? Bo ja jestem bardzo głodna.

- Dobrze.

Powoli wstaje; wołamy Franka, który po chwili wyraźnego niezdecydowania biegnie do nas. Błyska mi myśl, że nie zabezpieczyłam jego bytu. Zostawię go u Teresy. Jakiś czas będzie na mnie czekał, a potem przywyknie do niej. Pochyliam się, żeby pogłaskać mokry łeb, i pozwalam, żeby pobiegł przodem.

Wracamy do domu w pół do dziewiątej. Chip idzie na górę pomoczyć się w wannie. Siadam w kuchni, patrzę przez okno na słońce zsuwające się coraz niżej po niebie i myślę o tym, że nie sporządziłam testamentu. To chyba nie ma znaczenia - przy braku spadkobierców. Należałoby jednak napisać list.

Idę do gabinetu, biorę kartkę i piszę: „Robię to z własnej nieprzymuszonej woli”. Przystaję pisać, poprawiam się na krześle. To dzieje się naprawdę. Naprawdę! Ktoś będzie musiał przejrzeć moje rzeczy. Czy powinnam coś wyrzucić? Bieliznę? Dziennik, który zaczęłam, a potem go zaniechałam?

Idę do piwnicy, oglądam praktyczne metalowe półki pod ścianą. Kupiłam je w sklepie Searsa, przytargałam do domu i sama złożyłam. Kiedy skończyłam, rozpierała mnie duma -wcale nie było tak łatwo je złożyć, jak zapewniano w instrukcji na opakowaniu. Chciałam pokazać komuś, czego dokonałam, i pamiętam, że siedziałam jakiś czas z kluczem do śrub, zadając sobie pytanie „Komu?” W końcu otworzyłam piwo i wypięłam je, przyglądając się dziełu moich rąk.

Na środkowej półce spostrzegam koszyk, z którego co roku rozdaję słodczyce dzieciom wołającym „smakołyk albo psikus”, widzę małe główki, otwarte rączki. W koszyku jest starannie złożony kostium clowna dla Franka. Są też nowe serwetki, które zostały z ostatniego Święta Dziękczynienia; zużyłam tylko dwie z tuzina, a były ładne; bardzo mi się podobały. Rogi obfitości.

Ozdoby na choinkę leżą owinięte po jednej w bibułkę i zapakowane do pudełek po żarówkach. Są pamiątkowe albumy mojej matki. Jaki smutny koniec je czeka. Biorę jeden z nich z półki, otwieram na moim zdjęciu z szóstej klasy. Uśmiechając się, zwieriałam wargi, myślałam, że dzięki temu będę mniej widoczna. Bardzo dobrze pamiętam ten dzień, podekscytowane dziewczynki za mną czesały się, a ja ze wzrokiem wbitym w podłogę posuwałam się powoli w kolejce. Pamiętam płaską twarz fotografa, gdy usiadłam na stołku, pamiętam, jak mnie upominał, żebym spojrzała do góry, do góry. Tak mocno zacisnęłam pięści, kiedy robił mi to zdjęcie, że odcisnęły mi się we wnętrzu dłoni ślady paznokci. Przerzucam karty na początek albumu, znajduję listy ojca do matki z czasów jego służby wojskowej. Listy miłosne. Zamykam album i odkładam na półkę.

Wędruję obok pralki i suszarki, obok mojej maszyny do szycia. Zanim to wszystko się zaczęło, zamierzałam uszyć flanelową kołdrę, zacząć ją latem, żeby była gotowa na zimę. Szukam materiału, z którego miałam szyc, rozkładałam różne

skrawki jeden obok drugiego. Ładne połączenie kolorów; wy-szlaby bardzo ładna kołdra.

Wracam po schodach do kuchni i otwieram szafki, żeby popatrzeć na moje naczynia. Jest dzbanuszek na śmietanę z zielonym paskiem, kupiony któregoś dnia na garażowej wyprzedaży, musztardowe talerze, które kupiłam u Filene, bo przypominały mi Włochy. Zawsze chciałam wybrać się do Włoch. I do doliny Loary. I do Japonii też; chciałam zobaczyć te niskie góry. Zamykam oczy, opieram głowę o lodówkę i czuję łeb Franka wciskający się pod moją rękę.

- Dobrze - mówię z uśmiechem. - Widzę cię. - Klękam, przyciągam go do siebie, chowam twarz w sierści na karku. Stoi tak nieruchomo.

Idę popatrzeć na meble w salonie, na moje dzieła sztuki: rycinę przedstawiającą bosonogą kobietę w zwiewnej białej sukni, siedzącą w świetle księżycy i grającą na flecie. Abstrakcyjny olej - ekstrawagancję, na którą sobie pozwoliłam. Na książki, które kupiłam, a wielu jeszcze nie przeczytałam. Siadam na sofie i myślę. Wtem uświadamiam sobie, że przecież nie zapłaciłam De Wittowi. Nie dałam mu pieniędzy za narkotyki. Idę do gabinetu, żeby stamtąd zadzwonić.

- Dlaczego jeszcze żyjesz? - pyta.

- Właśnie sobie uzmysłowiłam, że nie zapłaciłam ci za to, co mi dałeś. Chciałabym przesłać ci czek.

- Chcesz mi zapłacić.

- Tak.

- Dlaczego, porządkujesz swoje sprawy?

- Zgadłeś. Więc ile, DeWitt?

- Ile? Już ci mówię, każę ci zapłacić tyle, ile kazałem zapłacić Chipowi: nic. Bądź moją odpisywaną od podatku darowizną. A teraz skończmy z tymi bzdurami. Nie zadzwoniłaś do mnie, żeby gadać o płaceniu. Zadzwoniłaś, bo chcesz, żebym ci powiedział, że to, co robisz, jest w porządku. Mam za-szlochać „żegnaj, Myra, nie martw się, robisz to, co trzeba”. A to, co robisz, jest złe, i wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Jesteś tchórzem, wykorzystujesz Chipa jako pretekst, żeby wycofać się z czegoś, w co wcale nie weszłaś.

Słyszę skrzypnięcie drzwi do łazienki na górze. Ściszam głos do szeptu:

- Muszę już iść. Ale powiem ci jedno, DeWitt. Nie wiesz nic o moim życiu.

- Wiem mnóstwo o twoim życiu! Każdy głupek, który cię spotka, będzie wiedział mnóstwo o twoim życiu. Tylko ty jedna, żalosna kreaturo, nie widzisz, jakie jest twoje życie!

- Coś ci powiem. Uważam, że to ty jesteś tchórzem, trzymając się życia tak pełnego rozpaczy, że musisz codziennie się znieczulać!

- Rany, robisz się coraz głupsza, po co ja w ogóle z tobą gadam. Wszyscy bierzemy jakieś narkotyki, dzieciństwo. Tylko wybieramy różne rodzaje. Niektórzy siedzą w kościele ze ściśniętymi tyłkami. Niektórzy przez całe życie kupują gówno. Ale wszyscy, możesz być tego pewna, dziewczyno, wszyscy się znieczulamy. Tak to już jest. A teraz mam świetny pomysł. Może byś tak odłożyła słuchawkę i oszczędziła nam obojgu tej żalostnej szarpaniny, co?

- DeWitt - mówię. Lecz już go nie ma.

Słyszę, że Chip schodzi po schodach, więc odkładam słuchawkę, wchodzę do salonu i siadam na sofie.

- Z kim rozmawiałaś? - pyta.

- Z takim jednym sprzedawcą. Nie znoszę, kiedy dzwonią.

- Co sprzedawał?

- Aluminiowe oblicówki.

- Naprawdę?

- Mhm.

- Nie słyszałem, żeby dzwonił telefon.

- Tak? Widocznie lała się woda i nie dosłyszałeś. Tak trudno było się go pozbyć!

- Ostatnim razem, gdy odbierałem taki telefon, powiedziałem gościowi, że mój dom jest ze szkła, i spytałem, czy ma jakieś przezroczyste oblicówki. Wiesz, co odpowiedział?

- Co?

- Że musi sprawdzić. I poszedł sprawdzić! Potem znów się odezwał, informując, że nie ma przezroczystych oblicówek, ale zapytał, jakie mam okna. W szklanym domu! Przysięgam, że tak było.

Siada przy mnie, uśmiecha się.

- Boże! Chyba dobrze jest pomyśleć o rzeczach, których nie będzie mi brakowało.

- Tak. Sporo się tego znajdzie.

Wzdycha.

- Ostatnia noc. Chciałbym nie spać do rana, ale, cholera, jestem zmęczony.

- Możemy iść do łóżka - mówię.

- Zostańmy tu jeszcze chwilę.

Biorę go za rękę, opieram się na poduszkach.

- Wiesz, Chip, przeszkadza mi, że twoi rodzice nie wiedzą.

- Wiedzą. Prostuję się.

- Skąd?

- Sam im powiedziałem.

- A oni...

- Poprosili, żebyś zadzwoniła, kiedy będzie po wszystkim. - Patrzy na mnie. - Zdumiewające, prawda?

- Nie chcieli być tutaj?

- Prosiłem, żeby nie przychodzili. Tylko... rozmawialiśmy. Myślę, że moja matka pożegnała się ze mną w dniu, w którym przestała nalegać na dalsze leczenie. A mój tata... My się rozumiemy.

A więc to pewnie rodzice Chipa będą musieli zastanowić się, co ze mną zrobić. Dopiszę coś do listu, żeby wynikało z niego, że państwo Reardon nie ponoszą za mnie odpowiedzialności, niech władze stanowe zadecydują, co ze mną zrobić, nie obchodzi mnie, kto o tym zadecyduje. Zaczekam, aż Chip zaśnie, a potem wymyślę, co dopisać. Nie będzie tego dużo. Przychodzi mi na myśl, że to ostateczna miara tego, czym było nasze życie - co mamy do powiedzenia tym, którzy po nas zostają. A ja nie mam nikomu nic do powiedzenia.

- Boże, jaki jestem zmęczony - mówi Chip. - Chyba pójde do łóżka.

Idę razem z nim na górę, kładziemy się do łóżka. Całuje mnie w czoło, w nos, w oczy, a potem, bardzo lekko, w usta.

- Dziękuję ci - szepcze. Kiwam głową, boli mnie gardło.

- Ach, Myra. Byłoby tylko coraz gorzej.

- Wiem.

- Kiedy odejdę, chcę, żebyś czym prędzej stąd uciekła.

- Zrobię to. - Przynajmniej nie kłamię.

Nadchodzi ranek. To takie oczywiste. Chip budzi się pierwszy - gdy otwieram oczy, widzę go siedzącego koło mnie na łóżku.

Jestem zdumiona, że spałam. I zła. Kiedy Chip zasnął, poszłam na dół dokończyć swój list, a potem długo siedziałam w gabinecie. Wróciłam do łóżka z zamiarem niezmrużenia oka i dotrzymania towarzystwa Chipowi. Najwyraźniej to mi się nie udało.

- Kocham cię - mówi Chip. - Chciałem, żeby to były pierwsze słowa, które dziś rano usłyszysz.

Uśmiecham się, siadam przy nim.

- Nie śpię od dawna. Jestem gotów, Myra. Teraz?

- Chyba powinienem coś zjeść. Chociaż trochę. Może grzankę?

- Okay. - Mój Boże, teraz? - To... zejdziemy na dół?

- Wolałbym zostać tutaj, okay?

- Dobrze. Zaraz wracam.

Schodzę na dół, wypuszczam Franka na podwórko, potem napelniam miski jedzeniem i wodą i też wynoszę je na dwór. Głaszczę psa, ale nie mogę na niego patrzeć.

- Dobry pies - mówię.

Wracam do środka, nastawiam wodę, żeby się zagotowała, a potem idę po pigułki schowane w torebce.

Wkładam chleb do tosterka, biorę małą torebkę, do której wrzucam pigułki. Jest pięć czerwonych, ze dwadzieścia pięć żółtych. Przez zmrużone oczy oglądam żółtą pigułkę, próbując znaleźć nazwę producenta. Nic nie widzę.

- Myra?! - woła Chip z góry, aż podskakuję. Chowam pigułki do kieszeni szlafroka.

- Tak?

- Nie smaruj grzanki masłem, dobrze?

- Dobrze. - Stawiam na tacy dwa kubki, wrzucam torebki z herbatą, zalewam wrzątkiem. Na talerzyku kładę dwie grzanki. Czuję, jakbym miała powiększone serce; wali mi w piersi. Zaczynam wchodzić na górę, potem zawracam do gabinetu i jeszcze raz czytam napisany w nocy list.

Robię to z własnej nieprzymuszonej woli. Chcę, żeby poddano mnie kremacji, a moimi szczątkami niech zadysponują władze stanowe. Mój pies ma być oddany sąsiadce, Theresie Bartone, zamieszkałej przy Russell Road 36. Zysk ze sprzedaży domu i samochodu ma być przekazany Marvelous Brooks, 4945 Cedar Street, numer 2, Dorchester.

Rozglądam się po gabinecie, myślę o tym, co jeszcze mam na górze. Ubranie, pościel, ręczniki. Krople na kaszel w nocnej szafce, krem w szufladzie w łazience. Niewiele jak na całe życie, które przeżyłam. Siadam przy biurku, porządkuję pióra i ołówki.

Któregoś wieczoru zabrałam Franka na spacer wokół naszego kwartału i zaglądałam do okien wszystkich salonów, które mijałam. W jednym pokoju zobaczyłam małą dziewczynkę biegnącą w szlafrocжку, jakby popisująca się tańcem przed rodzicami, i pomyślałam: zapamiętaj to. W innym - dwoje ludzi spędzających razem czas na lekturze i jak zwykle ogarnęła mnie tęsknota. Potem widziałam starszą kobietę, która siedziała na ganku i robiła wrażenie bardzo samotnej. Wzrok miała utkwiony przed siebie, ręce złożone na kolanach. Przywitałam się, ale nie odpowiedziała. Ja też tak skończę, pomyślałam.

Okazuje się, że nie. Kładę na liście przezroczysty szklany przycisk i idę na górę. Po raz ostatni wchodzę po tych schodach, chcę sobie powiedzieć, ale ta informacja zatrzymuje



się przed drzwiami do mózgu i uparcie tam tkwi. Nie może wejść.

Kiedy docieram do szczytu schodów, Chip akurat wychodzi z łazienki.

- Masz? - pyta. A ja na to:

- Tak, przyniosłam śniadanie dla nas obojga. - Stawiam tacę u stóp łóżka. - Zaraz wracam - mówię.

Idę do łazienki, myję twarz i zęby. Potem już tylko stoję i patrzę w lustro. Wyciągam rękę, żeby dotknąć swojego odbicia, po czym wycieram ślady palców ze szkła. Zwijam jednorazową chusteczkę i przykrywam nią torebkę pigułek w kieszeni. Wracam do sypialni i kładę się obok Chipa.

- Pierwszą wziąłem około dwudziestu minut temu -komunikuje.

Kiedy słyszę te słowa, chce mi się krzyknąć. Ale mówię tylko:

- Och. Okay.

- Teraz powinienem coś zjeść.

Nalewam nam obojgu herbaty, ręce wcale mi się nie trzęsą. Myślę o eleganckiej strukturze wody, modelach atomów z drewnianych kulek połączonych drutem, o zimowym kursie chemii, która bardzo mi się spodobała. Pamiętam wysokie, sklepione okna w klasie, zapach gorąca, syczące grzejniki. Raz w czasie tych zajęć zaczął padać śnieg, niemożliwie wspaniałe śnieg, ogromne płatki wyglądały jak sztuczne, jak skrawki papieru. Profesor spojrział przez okno i powiedział, żebyśmy przestali pisać i zamiast tego popatrzyli. Był już stary i wiedział, co jest najważniejsze. Chętnie zrezygnował z wykładu z chemii na rzecz śnieżnego baletu.

- Niezbyt wystawny ten ostatni posiłek - konstatuje z uśmiechem Chip.

Raptownie wracam do terażniejszości i patrzę na równo przypieczony kawałek chleba na talerzu.

- Ale smaczny - mówię i odgryzam kęs chleba. Potem drugi. Herbata. Grzanka. Idealny posiłek.

Opieram się na poduszce, pełna smutku i rezygnacji, jakbym wszystko zegnała przed ostatecznym pożegnaniem. Myślę o mleczach wydających nasiona, o delikatnej bieli trzymanej dumnie w górze i czekającej na powiew wiatru, który bę-

dzie zarazem końcem i początkiem. Zawsze podobały mi się przekwitłe mlecze. Jako dziecko doprowadzałam się do rozpacz, próbując układać z nich bukiety. Wciąż na nowo usiłowałam je ze sobą połączyć, a one wciąż mi się rozpadały.

- Potem muszę wziąć tę wielką porcję żółtych pastylek -odzywa się Chip. - A po kilku minutach te czerwone.

- Dobrze. - Teraz wiem, co mam robić.

- Pomożesz mi, gdyby... gdyby coś się stało, prawda?

- Tak.

Bierze mnie za rękę, zamyka oczy. I zaczyna płakać.

- Boże, Boże! - powtarza.

Przysuwam się bliżej, obejmuję go, przytulam jego głowę do piersi.

- Powiedz mi coś, Myra. Cokolwiek. Mów do mnie.

- Dobrze. Dobrze. Tylko zamknij oczy i trzymaj się mnie. Coś ci powiem. Nie boję się. Nie boję się o ciebie. Tam, gdzie odchodzisz, jest pięknie. Wiem to. Nie wiem skąd, ale wiem. To nie będzie bolało, będzie ci dobrze, po prostu odpłyniesz. A potem myślę, że... będziesz latał.

Kiwa głową, nieruchomieje i czeka. Odchrząkuję, mówię dalej.

- Spotkałam raz człowieka, który chodził po lesie. Długo razem spacerowaliśmy. Czuł się szczęśliwy. Powiedział mi, że dawniej był strażnikiem więziennym. Nosił zawsze wielki pęk kluczy u pasa i czuł się bardzo ważny, jakby mógł otworzyć każdy zamek. Powiedział, że tego właśnie brakowało mu po odejściu z pracy. A ty teraz będziesz miał klucze do wszystkiego, przez cały czas, Chip.

Wzdycha. Czuję, jak się rozluźnia i wtula we mnie.

- Wczoraj obserwowałam dwa kardynały w karmniku, jeden kardynał karmił drugiego. Samczyk karmił samiczkę. Mogła jeść sama, ale on podawał karmę jej, a ona ją przyjmowała.

Słyszę dobiegające z zewnątrz krzyki dzieci, szum przejeżdżających samochodów.

- Co jeszcze? - pyta Chip. Co jeszcze?

- Hm... Kiedyś na lotnisku widziałam, jak człowiek czekający w kolejce do taksówki, staje na głowie. Niezwykły widok, ni stąd, ni zowąd wyszedł z kolejki i stanął na głowie!

Długo wytrzymał w tej pozycji, miał na sobie brązowy garnitur, marynarka opadła mu na głowę, a spodnie obsunęły się na nogach, odsłaniając ładne brązowe skarpetki. Nie wiem, czy dostał jakiegoś bólu w krzyżu i coś w nim sobie nastawiał, czy jeszcze co innego. Ale gdy to zobaczyłam, pomyślałam: No wiecie państwo, jak to nigdy nic nie wiadomo. I zapragnęłam... Chciałam go poznać, chciałam poznać człowieka, który coś takiego robi.

Chip odsuwa się ode mnie, siada prosto.

- Dobrze. Dobrze. Dziękuję. - Wzdycha. - Okay. Jestem gotów do następnej tury.

Wkłada do ust garść żółtych pigułek, popija je herbatą, opada na poduszkę i zamyka oczy. Szybko wydaję z kieszeni pierwszą pigułkę i połykam. Nie chcę zostać za daleko w tyle.

Bierze drugą garść. Raptem siada, nieruchomieje. Po chwili kładzie się i mówi:

- Muszę poczekać chwilę, zanim wezmę resztę.

- Dobrze.

Ujmuje moją rękę, patrzy czule.

- Myra. Tak mi przykro. Wymagam od ciebie zbyt wiele.

- Nie. Chcę być tutaj.

- Ale i tak mi przykro.

- W porządku.

Bierze kolejną garść żółtych pigułek, połyka.

- Czerwone wezmę za kilka minut. Przypomnij mi.

- Przypomnę.

- Boże. Już jestem senny. Czy to możliwe?

- Czy jesteś... czy chcesz się położyć?

- Potem. Kiedy skończę ze wszystkim. - Patrzy przez okno. - Spójrz. Spójrz, jaki piękny dzień.

Patrzę na niebo, bezchmurne, bladoniebieskie. W moim ogródku pszczoły na pewno już wdrapują się do kwiatów naparstnicy. Lilie otwierają się trochę szerzej. W stawie w lasku po drugiej stronie ulicy płotki jak ciemne chmury będą sunąć od brzegu do brzegu.

- Myra? Wiesz, myślę, że... powinienem resztę zrobić sam. Może lepiej zejść na dół.

- Nie.

- Możesz zejść. Nic mi nie jest. Już się nie boję. Mogę to zrobić, a ty nie musisz być tutaj. Zadzwoń tylko do moich rodziców, gdy będzie po wszystkim. Idź już. - Zbiera palcami pięć czerwonych pastylek, połyka. - Nic mi nie jest. Już prawie śpię. Naprawdę. - Kładzie się z rękoma złożonymi na brzuchu, zamyka oczy.

Kładę się obok niego, delikatnie obracam jego twarz w moją stronę, a on otwiera oczy.

- Jestem tu - mówię. - I nie opuszczę cię.

- Och, Myra. Chciałbym...

- Wiem.

- Opowiedz, co będziesz robiła jutro. - Mówi wolniej i mniej wyraźnie. Trzymam go mocniej za rękę.

- Okay. Opowiem ci, co będę robiła jutro. Pojadę na farmę Hansena. Zbiorę trochę jajek z kurzych gniazd, jajka są zawsze ciepłe, i jest też piękny czarno-biały kogut, bardzo dumny, ze złymi żółtymi oczkami. Kupię kukurydzę, bazylię i zieloną fasolkę. Dotknę skórki moreli, gładkiej jak policzek niemowlęcia, i wybiorę kilka, żeby przynieść do domu i położyć na zielonym talerzu na kuchennym stole. Popatrzę na śliwki, brzoskwinie i wiśnie, wezmę wszystkiego po trochu. A po powrocie do domu usiądę na podwórku i będę czuła twoją obecność wszędzie dokoła. Nie odejdziesz, Chip. Nigdy ode mnie nie odejdziesz.

Znów ma zamknięte oczy i bardzo głęboko oddycha. Przyśpieszony oddech? Jeszcze nie, nadal jest regularny.

- Pod koniec każdego dnia będę z tobą na głos rozmawiać, tak jak teraz. Zawołam cię, żebyś przyszedł na jakiś czas. Wiem, że przyjdiesz, tak jak wiem, że będziesz bezpieczny. Od tej chwili będziesz bezpieczny. Nie będziesz czuł bólu. -Całuję go. - Chip?

Nic.

Powolusieńku cofam rękę. Potem sięgam do kieszeni, wydaję torebkę, wysypuję żółte pastylki na dłoń, wrzucam do ust. Trzeba się spieszyć. Są gorzkawe. Siadam powoli, uważając, żeby nie wstrząsnąć łóżkiem, i sięgam po herbatę. Przykładam filiżankę do ust, pociągam łyk i długo trzymam płyn razem z proszkami w ustach. A potem, z cichym płaczem, wypływam wszystko do filiżanki.

Kładę się, przyciągam Chipa do siebie, wypowiadam jego

imię. Mamrocze coś niezrozumiale i więcej się już nie odzywa. Przytulam go mocno, aż ustaje mu oddech. Trwa to całe życie. Pół sekundy. Może pół godziny; dzień lub dwa.

Przykładam rękę do jego piersi, potem dwa palce do tętnicy szyjnej. Nic. Zatrzymanie serca, ustanie akcji oddechowej, podpowiada stara część mózgu. Całuję Chipa w policzek, który już zaczyna stygnąć, po czym schodzę na dół. Siedzę jakiś czas przy telefonie, jedną ręką przytrzymując drugą, w końcu dzwonię.

Nie ruszam się, aż do momentu, kiedy słyszę wjeżdżającą na podjazd taksówkę. Nie myślę. Ale potem wpuszczam De-Witta, a gdy obejmuje mnie chudymi ramionami, wreszcie się załamuję.

- Właśnie tak - mówi. - Tak trzeba. Och, dziecinko, no już dobrze, dobrze, trzymam cię.

Płaczę, płaczę, płaczę, aż bolą mnie płuca i plecy. Ale nie myślę o tym, czego można by się spodziewać. Wcale nie myślę o Chipie.

Opiekowałam się kiedyś dobiegającym sześćdziesiątki pacjentem, który wprowadził się do małego mieszkanka po sześciu latach bezdomności i sypiania na kratkach. Gdy go odwiedziłam pierwszy raz, zobaczyłam w kącie legowisko z koców, prześcieradeł i poduszek.

- Spisz na podłodze? - spytałam.

- Tak. - Roześmiał się zakłopotany.

- Dlaczego?

Podrapał się w głowę, przygładził resztkę włosów.

- To łóżko, które mi dali, jest bardzo ładne. Ale nie mogę w nim spać. Nie mogę oka zmrużyć, dopóki nie położę się na podłodze.

- Rozumiem.

- Tak nie będzie zawsze - zapewnił. - Pracuję nad tym. Chyba już czas! A na razie zawiesiłem karnisze! Nawet nie wiedziałem, że jest coś takiego!

Pokazał mi i karnisze, i zasłony, które też zawiesił. Nie były nowe, za to bardzo ładne, czerwono-kremowy wzór wydawał się jeszcze piękniejszy dzięki temu, że trochę spłowiał. Powiedziałam mu to.

Trzy tygodnie później przespał już całą noc w łóżku.

- To nie z powodu łóżka - zapewnił. - Łóżko jest wspaniałe. Lecz coś pani powiem. Co wieczór na nim siadam i myślę: Zaraz, zaraz, czy chcę spać w łóżku, czy na podłodze? I pewnie już mi tak zostanie.

- Możliwe - odparłam. I nachyliwszy się bliżej, dodałam: - Ale to nic nie szkodzi.

## *Epilog*

Zbliża się koniec października, jest piękne ciepłe popołudnie. Piątek. Wyprowadziłam Franka na spacer do lasu, pozwalam mu się wybiegać, bo zostawię go samego na ładnych kilka godzin. Wybieram się na randkę. Trzecią z tym samym facetem. Ma na imię Fred. Jest nauczycielem, a poznałam go, gdy opiekowałam się jego matką po operacji serca. Jest miły i nawet całkiem przystojny. Mamy wiele wspólnych upodobań, dobrze nam razem.

Idę powoli, rozmyślając o podobnym jesiennym dniu przed wielu laty, kiedy Chip zorganizował w ostatniej klasie wagary. Udało się prawie w stu procentach - jeden jedyny Thomas Osterhout powiedział, że byłoby rzeczą niemoralną nie pójść do szkoły, i poszedł. Ale my, cała reszta, wsiedliśmy do wynajętego autobusu, na który się złożyliśmy, i pojechaliśmy do McDonalda na śniadanie, a potem do szpitala Dana-Farber w Bostonie. Leżał tam nasz kolega Danny Christiansen. Nikt z nas nie wiedział, na co jest chory, wiedzieliśmy tylko, że już nie wróci do szkoły.

Chip poszedł na piętro, porozmawiał z pielęgniarkami i w końcu wpuszczono nas wszystkich - osiemdziesiąt siedem osób. Wchodziliśmy do pokoju Danny'ego po piętnaścioro, a reszta czekała spokojnie w poczekalni. Każdy coś dla niego miał: książkę, czekoladowe ciasteczka, maskotkę, magazyn porno. Ja przyniosłam mu parę krążków na 45 obrotów z Beatlesami, a Mandy Clark, który siedział koło mnie w autobusie,

przyniósł puszkę pełną fotografii zebranych przez komitet przygotowujący album roku. Chip dał Danny'emu - który nadaremnie próbował dostać się do drużyny futbolowej - swój sweter zawodnika, żeby Danny mógł się ubrać w coś innego oprócz szpitalnego szlafroka. Danny miał ten sweter na sobie, kiedy przyszła moja kolej na odwiedzin, i pamiętam, że bardzo mi z tego powodu ulżyło, bo ów sweter odciągał moją uwagę od łysej głowy Danny'ego, jego wychudłych rąk i niepojętego dla mnie sprzętu, który go otaczał.

Wprawdzie na krótko i nie do końca, ale nasza wizyta tego dnia przywróciła Danny'go do normalności, wyrwała z izolacji i strachu, pozwoliła odczuć bezmierną ulgę, jaką daje obecność kochających osób. W liście, który moja klasa dostała potem od pani Christianson, przeczytaliśmy, że ta wizyta podtrzymywała go na duchu aż do dnia śmierci. Wszystko, co mu przynieśliśmy, trzymał rozłożone wokół siebie. Matka napisała, że umarł w głębokim przekonaniu, że był bardzo kochany. Mam nadzieję, że to prawda.

Dochodzę do drzewa stojącego w złoto i czerwień jesieni. Kładę się pod nim, zamykam oczy i pozwalam myślom błądzić. Leżąc tu, myślę o tym, co dzieje się gdzie indziej. Słyszę w pobliżu odgłosy robót drogowych. Gdzieś, w innym miejscu, skrzeczą na drzewach małpy. Konik morski zachodzi w ciążę. Tworzy się diament, pszczoła rysuje tańcem trasę lotu, pęka przednia szyba auta. Gdzieś matka smaruje masłem orzechowym kanapkę na lunch dla syna, kochanek wzdycha, robiąca na drutach wykańcza brzeg rękawa. Gromadzą się chmury przed deszczem, dojrzewa pszenica w polu, dzieli się komórka raka, zespół małej ligi zdobywa punkt. Gdzieś rozwija się kwiat, mężczyzna wbija głębiej nóż, malarka przyciemnia błękit. Kasjerka wysypuje na wyciągniętą dłoń nowy bilon, tęcze jaśnieją i gasną, płyty kontynentalne przesuwają się i nieruchomieją. Kobieta otwiera aksamitne puzderko, pająki samce delikatnie grają na sieciach samiczek, jastrzębie atakują z przestworzy. Abstrakcje są realne, a czas jest kłamstwem, nie da się go zmierzyć, jeżeli jedna chwila może pomieścić wszystko. Możesz pragnąć życia, a wybierasz śmierć; możesz pragnąć śmierci, a wybierasz życie. Co nas tu właściwie trzyma? Nić, którą rwie podmuch wiatru. Nić, której nie da się zerwać.



Otwieram oczy, patrzę na skrawki nieba w ramkach z liści. Mam nadzieję, że Danny wiedział. I że Chip też wiedział. Jestem teraz pełna nadziei.

Wstaję, otrzepuję dzinsy, wołam Franka. Pora wracać do domu i szykować się do wyjścia.